

Sekret Alchemika Sedziwoja

PILIPIUK ANDRZEJ



calibre 0.7.28

PROLOG

Wicedyrektor Lucjusz powoli wędrował amfiladą sal. Ze ścian patrzyły na niego portrety ludzi, którzy umarli dawno temu. Lubił czasem przystanąć, by popatrzeć im w oczy. Nie musiał czytać podpisów pod obrazami. Znał je wszystkie na pamięć. Gmach, zawierający przygarniętą przez krakowski oddział Muzeum Narodowego kolekcję Czartoryskich, był o tej porze niemal pusty. Do godziny zamknięcia ekspozycji brakowało jeszcze dwu kwadransów. Wszedł do galerii sztuki starożytnej. Wątpliwe, aby ktokolwiek miał się tu jeszcze dziś pojawić. Przeszedł wzdłuż gablot ciesząc oczy nagromadzonymi wewnątrz skarbami pokoleń, które odeszły w zapomnienie. Sprawdził okna. Pilotem uruchomił system alarmowy i zatrzasnął ciężkie drzwi. Przeciągnął sznurek przez kolko ze stalowego drutu i wgniotłszy go w plastelinę odcisnął swoją pieczęć. Za oknami zapadł już wilgotny jesienny wieczór. Uszy muzealnika wychwyciły szum drzew szarpanych wiatrem. Zbliżał się do ostatniej sali, gdy nieoczekiwanie usłyszał fragmenty rozmowy. Ktoś mimo późnej pory nadal zwiedzał muzeum. Kustosz unosił ze zdumieniem krzaczaste brwi. Popatrzył na zegarek. Do zamknięcia zostało kwadrans. Nie sądził, że jeszcze się na kogoś natknie.

Przeszedł przez drzwi i zatrzymał się na progu sali. Dwie młode dziewczyny stojące koło wiszącego na ścianie obrazu usłyszały jego kroki i odwróciły się zaskoczone. Widząc pracownika muzeum uspokojone powróciły do przerwanej rozmowy.

-...proces postępuje - powiedziała ta niższa, ciemnowłosa. - Sądzę, droga kuzynko, że musimy przeprowadzić sprawę w ciągu kilku najbliższych tygodni. Albo zrezygnować...

Druga z dziewcząt przesunęła w zadumie dłońmi po grubym warkoczku.

-Taką i moja wiedza - powiedziała. - Tylko jakie mamy szanse powodzenia? Minęło pięćdziesiąt lat. Nawet jeśli nasze podejrzenia są słuszne, Storm mógł przed śmiercią zniszczyć manuskrypt. Albo komus go przekazać.

Stary muzealnik przechadzał się wolno oglądając portrety i wreszcie podszedł do dziewcząt. Nieoczekiwanie zachwiał się na nogach i nerwowym ruchem poprawił okulary. Młodsza, blondynka z grubym warkoczem uniosła głowę z lekko kpiącym uśmiechem. W pierwszej chwili pomyślał, że to sportretowana przed czterema wiekami dziewczyna zstąpiła z obrazu na drewniany parkiet muzeum. Jej twarz była identyczna, jeśli pominąć cieniutkie metalowe oprawki okularów. Ubrana była wprawdzie inaczej, ale na wysmukłej szyi miała identyczny srebrny krzyżyk, wysadzany rubinami. Nawet jej uśmiech niczym się nie różnił.

-Jak pani stamtąd zeszła? - wykrztusił wreszcie sensowne, jak mu się wydawało, pytanie.

Uśmiechnęła się sympatycznie.

-A jakos tak zeskokczylam - powiedziala przechylajac figlarnie glowe. - Patrze, a tu dwudziesty wiek. Bardzo sie zdziwilam.

Przeciągala nieco koncowki wyrazow, jej wymowa byla tez odrobine zbyt miękka. Czyzby pochodziła z Kresow? Jej towarzyszka także sie usmiechnela. Mozg staruszka wykonal wolte. Przeciez nikt nie moze zejsc z portretu. To pewnie przypadek...

-Podobienstwo jest zaiste uderzajace - powiedzial przychodzac wreszcie do siebie.

Usmiechnela sie jeszcze raz.

-To rodzinne - powiedziala. - Czasami lubie sobie popatrzec na moja daleka prababke.

-Wiec pani...

-Nawet nazywam sie identycznie - jej glos mial bardzo mily tembr. - Dzieli nas wprawdzie roznicza pietnastu pokolen, ale sadze, ze poza cechami fenotypu odziedziczylam tez cos z jej charakteru.

-Uchowaj Boze - mruknal. - Ta mloda dama zaszlachtowala sztyletem wlasnego meza.

Jej blekitne oczy staly sie na moment chlodne jak kawalki lodu.

-Czy przypadkiem nie dlatego, ze przegral ja w karty z wyjatkowo odrazajacym typem, dostarczajacym mlode dziewczeta na dwor sultanski? Zreszta - wzruszyla ramionami. - Tamtego tez dopadla i wykonczyla w Kamiencu Podolskim. Nie pomogl mu nawet list zelazny wystawiony przez polskiego krola. Z tego co wiem, wyciela mu przyrodzenie... Nalezalo im sie.

Kustosz uniosl brwi ze zdumieniem.

-Widze, ze dobrze zna pani historie swojej rodziny - zauwazyl.

Usmiechnela sie.

-Mlodziez powinna szukac sobie dobrych wzorcow do nasladowania.

Jej kuzynka parsknela smiechem.

-Czy pani krzyzyk...?

-Tak, to ten sam co na portrecie - wyjasnila. - Przechodzi w naszym rodzie z pokolenia na pokolenie.

Rozpiela stalowy lancuszek obiegajacy jej szyje i podala mu klejnot. Obracal go przez chwile w palcach. Nieczesto zdarzalo mu sie widziec tak piekny przyklad sztuki jubilerskiej.

Krzyż był bardzo prosty, prawie pozbawiony ozdób, ale z bliska widac było wijące się wygrawerowane w srebrze linie. Po drugiej stronie pionowo biegły głęboko wycięte litery hebrajskiego alfabetu. Od częstego stykania się z materiałami metal wytarł się, ale ciągle jeszcze były czytelne.

- "I tak wszystkie rzeczy stały się z jednego" - odczytał.

Uśmiechnęła się.

- Dokładnie tak - powiedziała.

- Dziwne, że wyryto ten napis hebrajskimi czcionkami, właśnie na krzyżu - powiedział. - To przecież cytata z tablicy...

- Szmaragdowej - dokończyła. - Wedle rodzinnej tradycji krzyż ten pierwotnie należał do alchemika Sedziwoja.

- Od dawna jest pan pracownikiem tego muzeum? - zagadnęła druga z dziewcząt.

- Od czasów wojny. Więcej. Jestem wicedyrektorem do spraw gromadzenia zbiorów - powiedział z dumą.

Uśmiechnęły się obie.

- Z tego co słyszałam - powiedziała brunetka - macie w swojej kolekcji autentyczny atanator mistrza Sedziwoja?

Zamyslił się na chwilę.

- Faktycznie jest u nas coś takiego. Ale nigdy nie wystawiamy go na widok publiczny. Skąd pani o tym wie?

- Na wystawie poświęconej kulturze czasów Stefana Batorego prezentowaliście państwo zrekonstruowane wyposażenie pracowni alchemicznej - uśmiechnęła się.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Owszem, była taka wystawa, ale z tego co pamiętam chyba w 1879 roku!

- W 1878 - sprostowała odruchowo brunetka.

- Możliwe, ale skąd pani o tym wie? - zdumiał się.

Zawahała się na chwilę. Może szukała odpowiedzi w pamięci, a może zmyślała coś na poczekaniu.

-Czytałam niedawno w Bibliotece Jagiellonskiej gazety z mniej więcej tego okresu - powiedziała wreszcie. - No coż, na nas niestety czas - kiwnęła dłoń na kuzynkę.

Gest był dziwny. Ostry, rozkazujący. Druga z dziewcząt podporządkowała się natychmiast. W drzwiach sali odwróciły się jeszcze na chwilę.

-Do widzenia panu - powiedziała blondyneczka.

-Milo było pana poznać - uśmiechnęła się druga.

Zniknęły. Staruszek usiadł na foteliku postawionym pośrodku sali. Popatrzył w zadumie na portret. Po wyjściu dziewcząt czuł dziwną pustkę.

-Sympatyczne cielątka - powiedział cicho - I mają ciekawe zainteresowania.

Wreszcie wstał i ruszył w stronę wyjścia po drodze gasząc światła.

-Może jeszcze kiedyś je spotkam - mruknął sam do siebie.

Wiatr za oknem zachichotał, a w szyby uderzyły ciężkie krople deszczu. Przeszedł do swojego gabinetu. Z polki zdjął herbarz i kartkował go dłuższą chwilę.

-Katarzyna Kruszevska herbu Habdank, po mezu Skorlinska - znalazł wreszcie. - Po zaboju malzonka poszukiwana. Zaginęła bez wieści. Na jej osobie wygasł rod Kruszevskich...

-Hochsztaplerki - uśmiechnął się wreszcie. - Ale, trzeba przyznać, niezłe to wykombinowały...

Rozdział I

Deszczowy poranek * List z Krakowa * Mistrz Sedziwoj z Sanoka i jego pisma * Zaskakująca propozycja * Niema księga

Popatrzyłem w okna chłostane rzesistym, jesiennym deszczem. Przed grobem Nieznanego Żołnierza mokli okryci pelerynami wartownicy. Szef zagwizdał pod nosem kilka taktów. Oderwałem wzrok od szklanej tafli i obejrzałem się na niego. Studiował w zadumie wydruk z najnowszymi listami które przysły poczta komputerowa. Wyglądał na zadowolonego.-Nie miałbys ochoty wybrać się do Krakowa? - zagadnął.

-Do Krakowa? - zdziwiłem się. - W sumie dlaczego nie. Sympatyczne miasto. A mamy tam coś do załatwienia?

Pan Samochodzik uśmiechnął się lekko.

-Cos sie kroi - powiedzial. - Moze powinniśmy być na miejscu...

-Czyżby widziano Bature wędrującego kruzgankami Wawelu i patrzącego łakomym wzrokiem na arras?

-Odpukaj w niemalowane drewno - huknął. - Tylko tego brakowało. Nie, po prostu dostałem ciekawy list.

-Zamieniam się w słuch.

-Miejscowe muzeum dostało propozycję, jak się to mówi, nie do odrzucenia. Ktoś chciał się zamienić.

-O. Czyżby zaproponowano wymienienie jednego zabytku na jakiś inny?

-Dokładnie tak. List zawierał kserokopie pierwszej strony traktatu "O Rteci", pióra alchemika Sedziwoja oraz rzeczową propozycję wymieniania go na znajdujący się w zbiorach muzeum atanator.

-Co to za traktat i co zaczął atanator? - zaciekawilem się.

Szef westchnął bardzo ciężko i popatrzył na sufit jednocześnie bebnąc palcami po blacie biurka.

-Traktat "O Rteci" zaginął jeszcze podczas pierwszej wojny światowej - powiedział. - To opis doświadczeń przeprowadzanych z rtecia.

-Mistrz Sedziwoj z Sanoka? - zagadnałem. - Ten o którym był taki film w telewizji, skończyło się tym, że wsiadł na Pustyni Bledowskiej do UFO.

Szef westchnął bardzo ciężko.

-Nasza kinematografia umiera - zawyrokował. - Dokładnie ten sam. A atanator to specjalny piec alchemiczny. Jedyne zachowane w Polsce egzemplarze znajdują się właśnie w zbiorach muzeum.

-Trudny wybór - powiedziałem. - Zaginiony traktat... Czy to także jedyny egzemplarz?

-Tak się wydaje. W każdym razie pracownicy Biblioteki Narodowej nie zdołali znaleźć ani jednego, a poszukują od pięćdziesięciu lat.

-A więc unikatowa książka za unikatowe urządzenie. Poważny dylemat...

-Nie ma tu żadnego dylematu - powiedział Szef. - Po prostu tego typu zamiany zostały raz na zawsze zakazane przez odpowiednie przepisy.

-Czyżby pracownicy muzeum zrezygnowali z szansy choćby skopiowania unikatowego dzieła?

-Nie. Zaproponowali tysiąc złotych w zamian za możliwość wykonania mikrofilmu. Nie otrzymali odpowiedzi, ale list został podjęty ze skrytki kontaktowej.

Pokiwalem w zadumie głową.

-Tylko co z tego wynika? - zapytałem. - Jak do tej pory nie widzę tu żadnych przesłanek do tego, abysmy mieli jechać do Krakowa. Ktoś zaproponował wymienienie książki na zabytkowy piecyk. Jeśli jest jej właścicielem, to nie popełnia żadnego przestępstwa. Może dysponować swoją własnością wedle uznania. Choć dziwię się, że zrezygnował z pieniędzy za wypożyczenie do skopiowania. Ale ostatecznie kolekcjonerzy to w większości przypadków swiry.

Szef uśmiechnął się.

-Widzisz, wczoraj złożono kolejną propozycję. Tajemniczy nadawca napisał, że jest na tropie słynnej "Niemej Księgi". Zaproponował, że dorzuci ją do poprzedniej oferty.

-Czym jest "Niema Księga"? - zapytałem.

-Coz. Istnieją dwa dzieła noszące ten tytuł. Templariusze, jeszcze przed likwidacją zakonu, posilkując się wiedzą alchemiczną uzyskaną w Ziemi Świętej, a wzbogaconą własnymi badaniami, sporządzili słynną "Niema Księgę". Zbiór kilkudziesięciu akwafort przedstawiających poszczególne etapy produkcji złota. Co ciekawe, w tym okresie w księgach królowały miniatury malowane ręcznie lub obrazki odbijane z drzeworytów. Pierwsze znane akwaforty powstały w latach dwudziestych szesnastego wieku. Te są od nich ponad czterdzieści lat starsze.

-Producenci złota - mruknąłem.

-Właśnie. Oprócz wielu ciekawych zajęć, zajmowali się alchemią. "Niema Księga" to tylko obrazki. Nie ma pod nimi żadnych podpisów.

-Dedukuje, że to dzieło nie jest unikatowe?

-Jest. W pewnym sensie. W bibliotece Sorbony mają początek. Około jednej trzeciej kart. Obecny król Szwecji poświęcił niemal czasu i pieniędzy aby przez swoich agentów skompletować to dzieło.

-Skompletować? - zdziwiłem się.

-Jeden egzemplarz trafił w początkach dwudziestego wieku do Kopenhagi. Jakis miejscowy antykwariusz za dyche doszedł do wniosku, że najlepiej będzie sprzedać dzieło

po detalu. Wycial wszystkie karty, oprawil w ramki i posprzedawal.

-Barbarzynstwo! - wyrazilem swoje oburzenie.

-Owszem. Od tamtej pory niektore zawedrowaly nawet do Australii. A pewna czesc mogla oczywiscie ulec zniszczeniu. Krol zebrał jak do tej pory okolo jednej czwartej.

-A skad wiadomo, ile ich powinno byc?

-Strony sa numerowane. I znany jest numer koncowej.

-Czy to mozliwe, zeby jeden egzemplarz znajdowal sie w Polsce?

-Autor listu powiedzial, ze jest na tropie. Nie napisal, gdzie szuka dzieła.

-- A moze chodzi mu o ta druga? Skoro powiedzial pan ze sa dwie?

-Tak... Druga powstala w siedemnastym wieku, w kregach powiazanych z rozokrzyzowcami. Jak sie wydaje stanowi cos w rodzaju bardzo nieudolnego wykonanego z pamieci odpisu z wczesniejszej. Zachowala sie w kilkudziesieciu egzemplarzach...

-I jakie byloby nasze zadanie? - zapytalem.

-Ustalenie osoby oferenta, a potem przekonanie go, aby pozwolil wykonac kopie dzieła Sedziwoja.

Zamyslilem sie.

-Kiedy mielibysmy wyruszyć?

-Jutro.

Rozdzial II

"Zloto alchemikow" * Historia hermetyzmu * Teorie Lukrecjusza * Tygrys we mgle * Czym byly egipskie baterie * Zaginiony dorobek starozytnosci.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Szef prowadzil. Rozlegle mazowieckie rowniny byly przerazajaco monotonne.-Niech pan opowie o alchemikach - poprosilem Szefa. - Bo tak na dobra sprawe to niewiele wiem...

-A co wiesz? - zaciekawil sie.

-To byla banda takich wesolyh swirow, ktorzy usilowali wyprodukowac zloto z ołowiu -

powiedzialem.

-To faktycznie niewiele wiesz - usmiechnal sie. - No to teraz posluchaj. Zasadniczo w tym, co powiedziales, jest troche racji. Faktycznie tego typu proby trwaly. Gdy bylem mlody i studiowalem, zaproszono nas kiedys do skarbcza Narodowego Banku Polskiego i pokazano panstwowe rezerwy zlota. Czas byl paskudny, przeprowadzano rewizje u ludzi podejrzewanych o handel kruszcem i walutami. Kilkanascie osob nawet za to rozstrzelano. Nam, mlodym historykom sztuki, postanowiono pokazac skarby zdobyte podczas rewizji. A byly tam prawdziwe skarby, w tym wiele bardzo cennych monet. Pokazano nam tez miedzynarodowe oznaczenia sztabek zlota i to wprost na sztabkach - usmiechnal sie. - NBP mial niewielka pracownie, gdzie wylozono mam zasady okreslania proby kruszcow. No nie wazne. Oprocz tych wszystkich złotych fidrygalkow pokazali nam takze pieciokilogramowa sztabke z radzieckimi oznaczeniami. Wykonano na niej punca napis: "Zloto Alchemikow".

-Komunisci produkowali zloto za pomoca Kamienia Filozoficznego? - zdumialem sie.

Parsknal smiechem i omal nie wyladowalismy w rowie.

-Pawle, to ci sie udalo! Nie, oczywiscie ze nie. "Zloto alchemikow" to nazwa, powiedzmy umowna, bo nie figuruje w miedzynarodowych slownikach zlotniczych, ale i tak kazdy bedzie wiedzial o co chodzi. Zloto alchemikow to stop zawierajacy 967 czesci miedzi, 3 czesci magnezu i 30 czesci antymonu. Genialna rzecz. Kolorem nie rozni sie od zlota. Twardoscia praktycznie tez nie. Posiada niemal identyczny opor elektryczny i bardzo zblizona temperature topnienia.

-Niezle - mruknalem. - Zapewne jest nieco lzejsze?

-Tak, gestosc jest o kilkanascie procent mniejsza, ale jesli bedziesz mial kilogramowa sztabke, to nielatwo bedzie ci ja odroznic od prawdziwej. Zakladam, ze wiesz, jak sie rozroznia proby zlota?

-Mozna zadrapac przedmiot kamieniem probierczym, a potem zanurzyc go w kwasie. Kwas czesciowo wytrawi ryse, a potem mozna porownac to z wzorcowymi. Druga metoda jest nakrapianie powierzchni przedmiotu kwasami, zdaje sie mieszanina siarkowego z azotowym. Istnieja stezenia dla roznych prob, jesli uzyje sie silniejszego, to pojawiaja sie ciemne plamy. Trzecia metoda jest przyklejanie kuleczek rteci. Do zlota przyklejaja sie, do innych metali nie... Jest tez jakas proba z oparami amoniaku...

-No coz, wymieniles najwazniejsze. A wiec zloto alchemikow dzieki obecności antymonu wychodzi z wiekszosci tych prob bez szwanku. Naprawde latwo sie naciac. Nazwa wskazuje, ze pierwsze receptury tego stopu powstaly juz w sredniowieczu...

-A czym w takim razie jest tombak? - zaciekawilem sie.

-To stop miedzi i okolo 10 - 20 % cynku. Tez niezle udaje zloto, ale jest duzo latwiejszy do

rozpoznania.

Zamysliłem się.

-Ale miałem mówić o alchemii - przypomniał sobie Pan Samochodzik. - No to posłuchaj małego wykładu. Alchemicy wywodzili swoją naukę od Hermesa Trismegistosa, utożsamianego z egipskim bogiem Totem - patronem rzeczy tajemnych, sekretnych i niebezpiecznych, opiekunem nauki i pisarzy... Ten wielki poprzednik późniejszych alchemików żyć miał około 2700 roku p.n.e. Jego dorobek naukowy oceniano na 36 tysięcy ksiąg; nie rob takiej zdziwionej miny, wówczas księga była zwojem papirusu, który mógł mieć kilkanaście metrów długości lub tylko kilka... Z tego dorobku nic nie zachowało się do naszych czasów, zakładając, że Tot był postacią faktycznie istniejącą i jakkolwiek dorobek po sobie pozostawił... Oczywiście uczeni wysmiewali się z tego podkreślanego przez średniowiecznych alchemików starożytnego rodowodu swojej profesji. Gdy ja chodziłem na studia, informowano nas, że najstarszym zabytkiem w którym pojawiają się pierwsze nieskonkretyzowane jeszcze idee alchemiczne, jest tak zwany "Papirus z Lejdy" zawierający sporo ciekawostek z dziedziny chemii i pewne idee alchemiczne. Papirus ten spisano w trzecim wieku przed naszą erą, a odnaleziony został w dziewiętnastym wieku. Niedługo później historii alchemii trzeba było nieco cofnąć w czasie. W latach dwudziestych Niemcy badający pałac króla Assurbanipala w Niniwie odnaleźli w jego ruinach niezwykle bogatą bibliotekę, spisana na płytkach glinianych pismem klinowym. Pożar pałacu i zawalenie się tego skrzydła pozwoliły im zachować się w stanie wręcz doskonałym. Ogień wypalił je, zwiększając ich twardość. Przygniecione gruzami przetrwały ponad dwa i pół tysiąca lat. Wśród nich znaleziono traktat o nazwie "Wrota Pieca", opisujący sposoby przygotowywania kolorowej glazury, a także przemiany metali. Ponieważ biblioteka pochodzi z siódmego wieku przed naszą erą, oznacza to, że już w tym okresie szukano sposobów takich przemian. Oczywiście tekst mógł być skopiowany ze znacznie starszych ksiąg...

Zamyslił się na chwilę.

-Znasz oczywiście legendę o królu Midasie, który swoim dotknięciem zamieniał wszystko w złoto. W tym także własna córka, co należy jednak potraktować jako wypadek przy pracy... Grecy parali się chemią, przeprowadzali także eksperymenty alchemiczne...

-Niech zgadnę. Czyżby wyszli od teorii Empedoklesa o czterech żywiołach: wodzie, ogniu, ziemi i powietrzu? - uśmiechnąłem się.

-Chyba tak. Empedokles żył w piątym wieku przed naszą erą, w tym też okresie zaczynają się wzmianki o jakichś tego typu próbach. Ale dopiero Arystoteles założył, że istnieje piąta esencja, eter, kształtująca niebo i ziemię, przenikająca wszystkie przedmioty. Alchemicy zawsze poszukiwali ducha materii, najczystszych pierwiastków, żywego złota, wody, która nie moczy rak... No i nie należy też zapominać o Lukrecjuszu, żyjącym w pierwszym wieku przed naszą erą. Był uważany za jednego z wybitniejszych filozofów, a głosił pogląd, że lwy mogą rodzić się z zageszczonej porannej mgły...

Popatrzyłem na białe opary snujące się nad zaoranymi polami.

-Lepiej niech pan odpuka w niemalowane drzewo - powiedziałem.

W tym momencie Pan Samochodzik wdepnął hamulec. Przed nami na drodze siedział tygrys.

-O rany - powiedziałem.

-To nie lew - uspokoił mnie Szeff. - To tygrysek.

Tygrysek był wielkości mniej więcej wilczura.

"Z krwi, mgły i piasku" - zacytował Szeff. - Ponieważ nie wierze w teorie Lukrecjusza, ciekaw jestem skąd się to tu wzięło.

Zwierzak ruszył w naszą stronę.

-Złapać go, Szeffie?

Zamyslił się.

-Dawno już nie miałem pieska - westchnął. - Ale nie mam ochoty hodować w domu tygrysa. Tak czy siak, lepiej, żeby nie siedział na szosie, ktoś mógłby go przejechać. Potrafisz go złapać? Tylko nie mów, że w Czerwonych Beretach polowaliście na wilki gołymi rękami...

Wyjąłem ze skrytki kanapkę i odpakowawszy z folii wysiadłem z wozu. Tygrys na mój widok ucieszył się wyraźnie i ruszył w moją stronę. Przykucnąłem i wyciągnąłem rękę przed siebie. Podszedł nieufnie i obwąchał moje drugie śniadanie.

-Jedź, to z kiełbasa - zachęciłem go.

Z bliska wydawał się jeszcze mniejszy. Był mniej więcej wielkości spaniela. Wziął kanapkę w zęby i dał się pogłaskać. Nie było sensu dłużej czekać. Złapałem go w pol i wsadziłem na tylne siedzenie samochodu. Usiadłem obok niego i Szeff ruszył.

-Ma obrozę? - zaciekawił się.

-Nie. Pewnie oznakowany jest mikroprocesorem. Ciekawe skąd się urwał. Może drapał z jakiegoś cyrku.

-Zobacz czy nie będzie miał wytatuowanego numeru za uchem, albo po wewnętrznej stronie uda - powiedział Szeff.

-Niestety, nie ma - powiedziałem po pięciu minutach, coniebadz podrapany.

-Może przyjdzie nam uwierzyć Lukrecjuszowi - westchnął Szefer. - No nie ważne. - O, kontrola radarowa.

Faktycznie na poboczu drogi stał radiowóz. Zjechaliśmy na pobocze. Jeden z policjantów podszedł do samochodu i zaskłutował.

-Macie panowie jakiś kłopot? - zapytał uprzejmie.

-Można to tak określić - wskazałem tygrysa. - Złapaliśmy jakieś dwadzieścia kilometrów stąd takiego osobnika.

Podszedł drugi policjant.

-No, w świetle przepisów chwytanie dzikich zwierząt to kłusownictwo - powiedział z szerokim uśmiechem. - Tygrysyca Magda... Zawiadomimy cyrk, że się znalazła.

-Uciekła z cyrku? - zaciekawił się Szefer.

-Tak, zgubili ją podczas transportu. Wskoczyła sobie na szosę, a zauważyli brak dopiero gdy dotarli na miejsce. Pewnie jest wygłodzona, trzeci dzień się już błąka.

-Ja mam chyba w radiowozie puszkę golonki sokolowskiej - powiedział drugi. - Spiszemy protokół i możecie panowie ją nam zostawić, i tak za pół godziny zjeżdżamy do bazy, to ją odstawimy na miejsce.

Formalności zajęły nam tylko chwile. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Katem oka uchwyciłem obraz. Tygrysyca na smyczy jadła golonkę z puszki. Na tle błękitno-granatowego radiowozu żółte zwierzę i czerwona puszka wyglądały niezwykle dekoracyjnie.

-A jak się tu zapłacze jakiś kryminalista, to go policja poszczuje tygrysiem - uśmiechnął się Szefer. - Wiesz, miałem rację nie wierzyć w teorię naszego drogiego greckiego filozofa.

-Czy greccy chemicy mieli jakieś poważniejsze osiągnięcia? - zapytałem.

-Właściwie z tego co wiemy, to raczej nie. Umieeli farbować i bielić tkaniny, wytwarzali trochę kosmetyków. Garbowali skóry, produkowali kolorowe szkło i polewy ceramiczne. Zнали niektóre leki, ale w porównaniu z Egipcjanami ich wiedza była w powijakach.

-A jak to wyglądało w Egipcie?

-Długo lepiej. Można nawet powiedzieć, że starożytni Egipcjanie zapoczątkowali fizykę jądrową. I to w pokojowych celach...

-Jak to? - zdumiałem się.

-Używali tlenku uranu w życiu codziennym - uśmiechnął się. - Sproszkowany i wymieszany

z tłuszczem, służył im jako czernidło do brwi. Byli poza tym mistrzami w wytwarzaniu kosmetyków, zwłaszcza pachnących olejków. Jeśli popatrzysz na malowidła z grobowców przedstawiające egipskie elegantki zauważysz na ich głowach dziwne stożki, umieszczane na peruce.

-Widziałem.

-A zastanawiałeś się kiedyś, co to takiego?

-Szczerze powiedziawszy nie. Uznałem to za jakiś ozdobny kok, albo element biżuterii...

-A to właśnie pachnidła. Wonny olejek rozprowadzony z woskiem i tłuszczem, uformowany w stożki stawiano na peruce. Zapewne jakos przytwierdzano, żeby nie spadał. Pod wpływem ciepła topił się powoli nasaczając perukę lub włosy wonnym tłuszczem...

-Koszmarne - westchnąłem.

-Ale najważniejsze odkrycia chemiczne Egipcjan wiązały się z mumifikacją. Zwłoki dostojników poddawano procesom trwającym siedemdziesiąt dni. Stosowano między innymi miód, kwas mrowkowy, sód oraz szereg różnych mieszanin i związków chemicznych. Oczywiście, im ktoś był biedniejszy, tym mniej skomplikowane i krótsze procesy stosowano. Zupelnie biedacy spoczywali w piasku zawinięci tylko w całun. Suche pustynne powietrze wysysało z ich ciał wilgoć i zwłoki wysychały. Z punktu widzenia religii to wystarczało. Ciało nie ulegało rozkładowi, więc dusza mogła spokojnie żyć w krainie zmarłych. Biedacy nie lekali się rabusiów grobow, jedynym wrogiem ich wiecznego spoczynku były hieny...

-A egipskie baterie? - zapytałem.

-Baterie? - zdziwił się Szefer.

-Znajdowano garnki z elektrodami...

-Ach tak. Gratuluje, właśnie dałeś się nabrac. Faktycznie, od czasu do czasu znajduje się w Egipcie niewielkie naczynka gliniane z tkwiącymi wewnątrz metalowymi sztyftami zanurzonymi u dołu w izolującej masie bitumicznej.

-Właśnie. Gdyby nalać do środka nawet dość słabego kwasu i wetknąć drugą elektrodę, to można uzyskać prąd elektryczny.

-Teoretycznie - uśmiechnął się Szefer. - Te zagadki rozwikłał już dawno profesor Andrzej Niwinski z Uniwersytetu Warszawskiego. W pierwszej chwili można oczywiście sądzić, że to ogniwa elektryczne. Zbiornik, izolacja z bitumitu, sztyft wyglądający jak elektroda. Wystarczy jednak pobrać próbkę tej "masy izolującej" i lekko ją podgrzać, a w powietrzu uniesie się niebieski zapach.

-To znaczy? - zaniepokoiłem się.

-Te jak to nazywają "baterie", nie mają nic wspólnego z elektrycznością. To po prostu naczynia na wonności z tkwiącymi jeszcze wewnątrz szpatulkami służącymi do ich nabierania. Ukryte lub wyrzucone... Przez tysiące lat wonności skamieniały, zamieniły się w smołę... A skoro już poruszymy problemy egipskie, to nie zapominaj, że w okresie hellenistycznym, po włączeniu tego kraju do imperium Aleksandra Macedońskiego, w Aleksandrii założono słynna Akademia. Jej częścią były nie mniej słynna biblioteka i muzeum. Aleksandria była też miejscem, gdzie po raz pierwszy sformułowano teorie o istnieniu eliksiru życia i podjęto próby uzyskania go. A przyczyną rozwoju medycyny była bardzo prozaiczna. Ptolemeusz II Filadelfos, żyjący w trzecim wieku p.n.e., był bardzo słabego zdrowia, a przy tym miał dużo pieniędzy. Stąd też hojnie sponsorował badania medyczne i paramedyczne. Wreszcie w Aleksandrii żyła pierwsza kobieta alchemiczka: Maria Prophetissa.

-A potem przyszły pożary i zniszczenia - westchnąłem.

-Tak. Cały dorobek starożytnego świata, siedemset tysięcy zwojów papirusu, padł ofiarą płomieni. Nieliczne ocalałe przewieziono do Konstantynopola. Arabowie, podbiwszy Egipt, także nie wszystko zniszczyli. Wiele dzieł starożytnych uczonych i filozofów znamy dzięki temu, że po podboju przelożono je na arabski. Reszta zachowała się w średniowiecznych klasztorach, gdzie starożytne traktaty przepisywano. Oczywiście przy tej okazji też wiele uległo zniszczeniu, bowiem kopisci przepisywali wolniej niż papirusowe księgi rozpadały się w proch, a przy tym ponieważ przepisywano na dość drogim pergaminie, więc siłą rzeczy musiano ograniczać liczbę kopiowanych dzieł. Nie zapominaj, że kopista w tym czasie jedną literkę rysował i cieniował przez piętnaście minut. Wreszcie od czasu do czasu dochodziło do pożarów lub celowego palenia ksiąg uznanych za bezbożne, grzeszne czy zakazane... Na przykład papież Grzegorz VII w 1073 roku nakazał spalić biblioteki klasyczne w Rzymie i Konstantynopolu. Przy okazji przepadł prawie cały dorobek greckiej poetki Saffo.

-Jedni ratowali, inni niszczyli - westchnąłem.

-No, nie przejmuj się. Ciągle jeszcze mamy szansę poznać nieco z dorobku starożytności.

-W jaki sposób? - zdziwiłem się.

-W Egipcie ciągle znajdują się kolejne papirusy. Niedawno natrafiono na fragment księgi jednego z rzymskich historyków, która dotąd znana była jedynie z odpisów. Natrafia się na fragmenty pism chrześcijańskich, w tym na liczne apokryfy. Obecnie znanych jest coś zdaje się dwadzieścia siedem fragmentów różnych ewangelii, które nie weszły do kanonu... Jednak największe nadzieje wiąże się z Herculaniem.

-To miejscowość niedaleko Pompei, także zniszczona przez wybuch Wezuwiusza - zauważyłem. - Dlaczego właśnie tam...

-Widzisz Pawle, Pompeje zasypał gorący popiół i deszcz rozżarzonych kamyczków. Natomiast Herculanium i Stabie zalane zostały wulkanicznym błotem o temperaturze kilkudziesięciu stopni. Błoto pokryło miasto warstwą grubości kilkunastu metrów i stopniowo stwardniało na kamień. W Pompejach archeolodzy znajdują spalone książki, zwęglone na skutek przysypania gorącym popiołem, lub po prostu od leżenia przez blisko dwa tysiące lat w popiele. Odwijanie ich i odczytywanie jest niezwykle zmuśnym zajęciem, ale przynosi już pewne wymierne korzyści. Szczególnie ciekawe mogą być badania willi na zboczach góry. Tam mieszkali najbardziej wykształceni pompejanczykowie. Mieli z pewnością wiele ksiąg, i może coś z tego uda się odnaleźć. Do tej pory na przykład z wykopalisk mamy fragment nieznaną dotąd sztuki Ajschylosa.

-Dlaczego archeolodzy wiążą nadzieje z Herculanium?

-W gorącym błocie mogło zachować się więcej, poza tym gdzieś tam był gimnazjon z bogatą biblioteką, liczącą kilka tysięcy zwojów. Niestety, najpierw trzeba dokończyć badanie Pompejów, a to robota jeszcze na dziesięciolecia. Do tej pory, a kopie się tam od przeszło dwustu lat, odsłonięto 3/5 powierzchni miasta. Kto wie, jakie jeszcze tajemnice kryją gruzy zniszczonych miast i piaski pustyni. No i jest jeszcze jedno źródło, do niedawna lekceważone.

-Jakie? - zaciekawilem się.

-Etiopia i Armenia. Kraje leżące na obrzeżach ówczesnego świata. Znane są greckie traktaty filozoficzne, które przetrwały tylko w postaci przekładów na ormiański. Znane prace historyczne z I wieku naszej ery, które zachowały się tylko w językach ormiańskim, amharskim i giez. Ocalało sporo. Trzeba to tylko odnaleźć...

Rozdział III

Sekrety grafologii * Kto może potrzebować atanatora? * Kim są nasze przeciwniczki? * Zasadzka na Plantach * Straszliwy łomot * Tajemnicza Stasia * Srebrny krzyżyk.

Gabinet wicedyrektora Lucjusza był dość ciemny. Cała jedna ściana zajmował regał skłębony z różnych przypadkowo zebranych desek, zastawiony ciasno dziesiątkami książek. Kilka przedwojennych foteli otaczało niewysoki stolik. Na biurku stał komputer. -Wygodnie się siedzi? - uśmiechnął się stary muzealnik.

-Bardzo - powiedział Szef. - Gdzie je pan zdobył?

-Coż, pewna pomyślona staruszka zapisała je naszemu muzeum. Sądziła, że to bezcenne antyki. Nie wypadło odmówić, ale nie mamy ekspozycji mebli z lat międzywojennych, więc na razie wykorzystujemy je w tak prozaiczny sposób - uśmiechnął się.

-Porozmawiajmy o sprawie, która nas tu sprowadza - zaproponował Pan Samochodzik.

Nasz gospodarz wyjął z szuflady list napisany na ręcznie czerpanym papierze.

-Oto nasza zagadka - powiedział. - Zwroćcie panowie uwagę jaką piękną kaligrafią. Każda literka dopracowana.

-Odciski palców? - zapytałem.

-No cóż. Cała masa. Trzech różnych osób. Tyle tylko, że nie figurują w rejestrach policyjnych. A nie sprawdzimy przecież, jakie linie na paluszkach mają wszyscy mieszkańcy Krakowa.

Poskrobałem się w zadumie w głowę.

-Może dać ten list grafologowi - zaproponowałem

-Myśleliśmy o tym, ale policyjni są strasznie zawaleny robotą. Musielibyśmy czekać przeszło dwa miesiące na odpowiedź.

-Mam przyjaciela, który się tym amatorsko zajmuje - powiedziałem. - Z tego co wiem, głównym źródłem jego utrzymania jest badanie listów motywacyjnych wysyłanych do kilku dużych firm.

-Próbuje z kroju pisma wyczytać czy dany człowiek nadaje się na pracownika? - uśmiechnął się pan Lucjusz. - Jeśli nie kosztowałoby to zbyt dużo...

-Dla mnie robi to gratis. Jest mi winien przysługę.

-Tam jest skaner. W komputerze jest modem, gdybyś chciał mu to przesłać przez sieć - wskazał gestem.

-Ja jakos nie mogę się przyzwyczaić do tych nowoczesnych środków komunikacji - westchnął Szef.

-Ja musiałem. Ostatecznie jestem tu wicedyrektorem, muszę być kompetentny - uśmiechnął się.

Zabrałem się do dzieła. Położyłem list na płycie skanera, uruchomiłem podgląd.

-Nie ma pan teorii kto mógł zapragnąć wejść w posiadanie atankatora? - zapytał Szef.

-Mam - westchnął. - Ale jest ona tak skrajnie nieprawdopodobna, że darowałem sobie sprawdzanie jej wiarygodności.

-Nasz kolega po fachu Sherlock Holmes - zacząłem.

Dokonczenie zdania przerwał mi wybuch homeryckiego śmiechu. Rechotali obaj. Wreszcie

Szef opanował się z wysiłkiem.

-Mów, mów, przepraszam...

-Nic nie szkodzi, Szefie. Detektyw uważał, że jeśli wykluczy się wszystkie rzeczy niemożliwe, to pozostałe, nawet jeśli będą mało prawdopodobne, muszą być prawdziwe.

Pan Lucjusz kiwnął głową w zadumie.

-No dobrze. Jakis miesiąc temu spotkałem w muzeum dwa sympatyczne cielatka w wieku około osiemnastu-dziewiętnastu lat. Szczerze mówiąc, jedna z nich mało mnie nie przyprawiła o zawał, bo wyglądała dokładnie jak dama sportretowana na jednym z wiszących w tej sali obrazów...

Sluchałem go przygotowując pocztę do wysłania.

-Sprawdziłem wszędzie, nawet do książki telefonicznej zajrzałem - dokonałem. - W Krakowie nie ma żadnych Kruszkowskich.

-A dlaczego pan sądzi, że była z Krakowa? - zaintrygowałem się. - Skoro sam pan wspominał, że miała dziwny, jakby kresowy akcent...

-Dlatego tak sądzę, wielki detektywie, - uśmiechnął się z politowaniem - że powiedziała, iż czasem lubi wpasć i popatrzeć sobie na ten obraz. Z tego wydedukowałem, że musi mieszkać gdzieś niedaleko. Bo przecież nie będzie jechała przez połowę Polski tylko po to, żeby wpasć do muzeum. Zwłaszcza, że nie potrzebuje nawet kopii tego obrazu. Wystarczy, że popatrzy w lustro.

Kiwnałem głową.

-Może mieszkać gdzieś daleko, ale chodzić do liceum w Krakowie - zasugerował Szef. - Albo studiować...

-Chyba ciut za młoda. No chyba, że jest na pierwszym roku - powiedział pan Lucjusz. - Tak więc te dwie dziewczyny były jedynymi, od których kiedykolwiek słyszałem pytanie o to urządzenie.

-Jak wygląda ten ataman? - zainteresowałem się.

-Chodźcie, pokażę wam - uśmiechnął się.

Wstaliśmy. Magazyn muzealny urządzone był na strychu. Gospodarz otworzył ciężkie stalowe drzwi i wkroczyliśmy pomiędzy regały zastawione gesto drewnianymi skrzyniami i tekturowymi pudłami.

-Nie mamy tu właściwie nic cennego - powiedział. - Kilka starych zastaw stołowych, setki

swiecznikow z roznych epok, troche secesyjnych sreber i cala kupe przedmiotow codziennego uzytku z ubieglego wieku i poczatkow naszego. Nie wystawiamy ich, no za wyjatkiem niewielkich wystaw tematycznych od czasu do czasu. A oto i nasz eksponat.

W kacie magazynu stalo cos w rodzaju blaszanego piecyka typu koza. Czarne blachy poznaczone byly wzerami w miejscach, gdzie troskliwa reka uzbrojona w nasaczona nafta szmatke usunela rdze. Od spodu znajdowal sie zbiornik na oliwe, wykonany z pociemnialego mosiadzu. Dyrektor otworzyl pokrywe, osadzona na zawiasach i naszym oczom ukazalo sie wnetrze piecyka.

Scianki, jak sie okazalo, wykonane byly z dwu warstw blachy, pomiedzy ktore ubito gline. Od dlugiego uzytkowania wypalila sie na czerwono-czarny kolor. W glebi pieca na warstwie piasku lezalo szklane jajo zaopatrzone w wentyl. Szklo bylo lekko zielonkawe, pelne pecherzykow. Z jednej strony troche sie zakleslo, jakby zbyt wysoka temperatura spowodowala czesciowe stopienie sie jaja.

-Wiec za ta kupke pordzewialych blach oferowano bezcenny starodruk? - zdumialem sie. - Na miejscu muzeum nie wahalbym sie ani minuty!

Stary kustosz westchnal.

-Panie Tomaszu - powiedzial - Skad pan wytrzasnal tego swojego pomocnika?

-Wyszedl pewnego dnia z krzakow ubrany w dres Adidasa.

-Czy mial telefon komorkowy i kij do bejsbola? - zaciekawil sie pan Lucjusz. - Wyobraz sobie, mlody czlowieku, ze ta kupka pogietych blach to jeden z dwu istniejacych na swiecie autentycznych piecow tego typu pamietajacych siedemnasty wiek. A nasz jest jedynym kompletnym.

-Przepraszam - powiedzialem ze skrucha.

-Ale starodruk, albo przynajmniej jego kopie warto by zdobyc - powiedzial SzeF. - Jak mozemy skontaktowac sie z nadawca listu?

-Na Plantach, niedaleko od Barbakanu znajduje sie stary dab. Czesciowo wyprochnial, dziura zabezpieczona jest siatka. Nadawca polecil umiescic odpowiedz za nia.

-Mam plan - powiedzialem. - Zostawimy wiadomosc, ze sie zgadzamy.

SzeF popatrzy na mnie zaciekawiony.

-I co dalej?

-Ustalimy miejsce przekazania. Wymienimy manuskrypt na odpowiednio zmodyfikowany

piecyk typu "koza", ze szklanym slojem umieszczonym wewnatrz. Jesli wymieniaczacy potem sie zorientuje, to oddamy mu jego starodruk, oczywiscie uprzednio wykonawszy kopie.

-Troche to nieetyczne - mruknal gospodarz.

-Skrajnie nieetyczne - westchnal Pan Samochodzik. - Czy masz jeszcze jakies rownie dobre pomysly?

-Ten jest niezly - pan Lucjusz podniosl glowe. - Ale zrobimy to troche godniej. Zadnego piecyka typu koza. Zaproponujemy wymiane. Prawo do skopiowania starodruku, w zamian za prawo do skopiowania piecyka.

-Choroba, to mi nie przyszlo do glowy - powiedzialem ze skrucha.

-Trzeba miec tu - SzeF puknal sie palcem wskazujacym w czolo. - A nie tylko tu - zgal ramie parodiujac gest powszechnie znany z pokazow kulturystycznych.

-A jesli wlasciciel traktatu nie zgodzi sie na nasza propozycje? - zapytalem.

-Wowczas wymyslmy cos innego - powiedzial SzeF. - Proponuje przygotowac list.

Uśmiechnalem sie w skrytosci ducha. Wiedzialem juz, co bede robil dzisiejszego popoludnia.

Padal deszcz, gdy za kratke we wskazanym miejscu wsunalem koperte. Rozejrzalem sie, czy nikt mnie nie sledzi, ale nikogo nie bylo widac. Wycofalem sie i usiadlem na laweczce stojacej opodal. Zalozyłem specjalne okulary. Ich szkła byly od srodka napyłone do polowy srebrem, dzieki czemu majac je na oczach mozna bylo patrzec do tylu. Za to duzo gorzej patrzylo sie od przodu. No coz, cos za cos. Rozlozyłem sobie gazete i udawalem, ze czytam. Nie byl to chyba najrozsadniejszy pomysl, bo szybko przemiekla od deszczu a potem rozpadla sie. Minely cztery godziny. W tym czasie alejka przeszlo kilka osob, ale zadna nie zakrecila w strone drzewa. Wreszcie gdy prawie tracilem nadzieje, na sciezce pojawila sie niewysoka postac ubrana w jasna kurtke przeciwdeszczowa. Szla nienaturalnie powoli. Wyczulem w tym falsz. Podczas deszczu nikt nie spaceruje sobie bez celu. Kazdy spieszy sie do domu, albo w inne miejsce gdzie moze liczyc na suchy kat i odrobine herbaty. Postac zakrecila w strone drzewa. Po chwili dlon wylowila koperte z listem zza siatki. Wstalem i ruszyłem szybkim krokiem w tamta strone. Odbiorca przesyłki nie spieszył sie, nie zauwazyl mnie. Rozprul palcem koperte i czytala list. Podkradłem sie bardzo cicho. Dopiero gdy byłem nie dalej niz metr od dziupli, czytający uslyszal mnie. Rzucil list na ziemie i z miejsca przyjal postawe obronna. Szeroki kaptur zaslanial twarz.

-Mozemy porozmawiac? - zagadnalem.

-W zadnym wypadku!

Stala przede mna dziewczyna. Akcent nie pozwalal miec watpliwosci, pochodziła z Kresow.

-Nalegam - powiedzialem.

-Z drogi - zazadala kierujac sie prosto na mnie.

Wyciagnalem reke. Zaatakowala z szybkościa kobry i zwinnością kota. Rabnałem plecami w mokre listowie dobre dwa metry dalej. Usilowalem wstac, gdy nieoczekiwanie niewielka stopa obuta w bialy adidas przygniotla moja piers z powrotem do ziemi.

-Nie uczyla cie mamusia, ze to bardzo niegrzecznie przeszkadzac damie w lekturze listow?
- zapytala.

Zamiast odpowiedziec zlapalem ja za stope specjalnym chwytem i pociagnalem skrecajac jednocześnie. Padajac wyprowadzila druga noga cios, ktory rozkwasil mi nos i sprawil, ze przed oczyma zatanczyly kolorowe kolka. Poderwalismy sie jednocześnie. Tym razem zdecydowalem przejac inicjatywe i wyprowadzilem noga uderzenie w kierunku jej kolana. Uskoczyla z zadziwiajaca latwoscia, po czym nieoczekiwanie stwierdzilem, ze jej lokiec trafil mnie w splot sloneczny. Przed oczyma rozblysko mi oslepiajaco jasne slonce, a potem zgaslo, a ja bylem rozbitkiem z lodzi podwodnej, ktoremu skonczylo sie powietrze. Dluго nie moglem zlapac oddechu, wreszcie gdy przed oczyma robilo mi sie juz ciemno zdolalem napelnic pluca ozywczym tlenem. Stwierdzilem przy okazji, ze znowu leze na mokrej ziemi, wsrod gnijacych lisci.

-Nie slyszales, ze kobiety nie nalezy bic nawet kwiatkiem? - uslyszalem znowu ten sam mily glos.

-Slyszalem - wymamrotalem. - Chcialbym tylko porozmawiac.

-Nie ladnie tak sie narzucac z towarzystwem - powiedziala. - Ale w dzisiejszych czasach malo kto pamieta jeszcze, co wypada, a co nie.

Z trudem dzwignalem sie na nogi. Westchnela ciezko.

-Sadze, ze powinienes juz isc - powiedziala z udawana troska. - Zbyt dlugie siedzenie na lawce w deszczu moze sie skonczyc zapaleniem pluc.

Zrzucilem idiotyczne szpiegowskie okulary, aby odzyskac pelne pole widzenia.

-Do trzech razy sztuka - powiedzialem przyjmujac postawe obronna.

-Trzy razy to juz lezales na ziemi - powiedziala. - Ale skoro sobie zyczysz...

W tej chwili uslyszalem charakterystyczny dzwiek bezpiecznika od jakiejs wyjatkowo duzej

spluwy. Lufe ktos oparl mi za uchem.

-Ladnie to tak napastowac bezbronne dziewczeta w parku? - uslyszalem glos.

Ten takze nalezal do mlodej dziewczyny. Jej wschodni akcent byl slabszy.

-Stasia, daj mi go do konca zlomotac - poprosila moja oprawczyni. - Tylko mu dam malego kopa w zadek, zeby mu wrocila swiadomosc klasowa i juz mozemy isc.

Ucisk lufy za uchem zniknal.

-Dobrze, zalatw go szybko i idziemy, bo zupełnie przemokne na tym deszczu - powiedziala ukryta za moimi plecami.

Pierwsza ruszyla w moja strone. Z trudem opanowalem narastajaca panike. Tym razem bylem wystarczajaco skoncentrowany. Zablokowałem pierwszy z jej ciosow. Za drugim razem zdolalem poslac ja na ziemie, zarobilem jednak jednoczesni silny kop w kolano. Lezaca poderwala sie natychmiast. Kaptur spadl jej z glowy, odslanjajac mila twarz i gruby, jasny warkocz. Byla bardzo ladna i faktycznie nie mogla miec wiecej niz osiemnascie lat. Chwila zagapienia wystarczyła, by slodkie dziewczce poslalo mnie znowu na ziemie. Tym razem wyrznelam glowa w jakis korzen i na dluzsza chwile stracilem ochote do kontynuowania znajomosci. Tajemnicza Stasia, ciagle trzymajac mnie na muszce, podeszła do drzewa i poniosła porzucony list. Czytala go zupełnie spokojnie.

-Ty tego pilnowales? - zapytala.

-Chcialem sprawdzic, kto po to przyjdzie - wychrypialem.

Ciagle mialem problemy z ustabilizowaniem oddechu.

-Kopia nas nie interesuje - powiedziala. - Gdybysmy zmienily zdanie, napiszemy kolejny list.

-Moge go jeszcze raz kopnac? - zapytala pierwsza zakladajac kaptur.

-Przeciez lezacego sie nie kopie - zaprotestowalem.

Ciagle nie moglem sie podniesc.

-Zostaw. Po co bic, sam zdechnie - oswiadczyla Stasia i obie oddalily sie z godnoscia.

Zastanawialem sie dluzsza chwile, czy nie sprobowac dyskretnie podazyc za nimi, ale zdecydowalem, ze na razie mi wystarczy tych atrakcji. Powoli dzwignalem sie na czworaka. Caly przod kurtki zachlapany mialem krwia z rozbitego nosa. Przed oczyma ciagle lataly mi kolorowe plamy.

-Stasia - mruknalem.

Rozkaszałem się i powoli wstałem. Nieoczekiwanie wśród zmierzwionych liści, które przed chwilą były widownią mojej kleski, spostrzegłem coś błyszczącego. Pochyliłem się, co spowodowało kolejny krwotok z nosa i podniosłem masywny srebrny krzyżyk wysadzany rubinami. Po chwili znalazłem rozerwany lancuszek i zab. Zbadalem palcem szczęke, ale jak się okazało miałem wszystkie. Po bliższych oględzinach do mojego zamroczonego mózgu dotarło, że

to swinski kiel. Powoli, starając się nie nadwerezac potluczonego kolana, pokustykałem w stronę hotelu.

Rozdział IV

Antykwariat pana Aarona * Znowu niema ksiega * Cadyk Salomon Storm * Kto szuka ksiazek Sedziwoja? * Wieczorna wizyta *

Gdy wszedłem do pokoju hotelowego, Szef gwizdzał z zaskoczenia. -Rany boskie, kto cie tak zalałwil? - zapytał.

Z torby wydobyl zaraz buteleczke wody utlenionej i jakies inne medykamenty.

-Nie uwierzy pan, Szefie, jakie te krakowianki bestie - powiedzialem moze niezbyt gramatycznie, ale sadze, ze stan w jakim sie znajdowalem, usprawiedliwial mnie.

-Krakowianki cie zalałwily? - zdumial sie. - Ile ich bylo, dziesiec?

-Dwie - wymamrotalem. - Ale bila jedna...

Scierajac krew z twarzy i piorac kurtke relacjonowalem Szefowi swoje dokonania.

-No ladnie - westchnal. - Spartoliles nam cala operacje. Trzeba bylo pojsc dyskretnie za nimi, a nie startowac od razu z propozycjami rozmow.

-Przepraszam, Szefie... Za to przynajmniej wiemy, ze przeciw nam sa tylko dwie dziewczyny. Latwo sobie poradzimy...

Z trzaskiem zatrzasnal ksiazke.

-Te wszystkie ciosy chyba zaszkodzily ci na mozg - powiedzial ze zloscia. - Poradzilbym ci, zebys sie puknal jeszcze raz, ale boje sie, ze ci do reszty uszami wycieknie! Obudz sie wreszcie. Po pierwsze czlowiek, ktory ma starodruk mogl wyslac po koperte sasiadke, znajoma licealistke, jesli jest nauczycielem to uczennice, albo nawet corke lub wnuczke. Po drugie, nawet jesli faktycznie mamy przeciw sobie tylko dwie mlode dziewczyny, to zdaje sie jedna z nich spuscila ci baty, jakich nie zebrales od czasow, gdy poszukiwales

Bursztynowej Komnaty! Jesli umysl ma rownie rozwiniety jak muskulature, to zle z nami.

Zamilknałem. W tym, co mówił, było dużo racji. Podszedł do mnie i popatrzył uważnie na moją fizjonomię.

-Nos na szczęście ci nie posiniał, oczy nie są podbite. Pojdziemy się przejść...

-Co ma mój wygląd do celu przechadzki? - zaciekawilem się.

-Idziemy w miejsce, gdzie porozbijana twarz sprawiałaby niekorzystne wrażenie.

W kilka minut później wędrowaliśmy uliczkami. Deszcz na szczęście przestał padać, niebo odrobine się przetało. Zapadał wczesny jesienny zmierzch. Zatrzymaliśmy się przed witryną niewielkiego antykwariatu w jednej z bocznych uliczek odchodzących od Rynku. Antykwariat wydawał się być zamknięty, ale gdy Szefer nacisnął na guzik dzwonka, drzwi gościnnie otworzyły się. W progu stanął bardzo stary człowiek. Zza drucianych okularów błysnęły ciekawie czarne oczy.

-Ach, witam panowie - powiedział cofając się w głąb. Weszliśmy. Zasunął ciężka zasuwę.

-Aaron Apfelbaum - przedstawił się podając mi dłoń. Uścisk był zaskakująco mocny.

-Paweł Daniec - przedstawiłem się.

Pan Samochodzik nie musiał się przedstawiać; na pierwszy rzut oka widac było, że się świetnie znają. Antykwariat wewnątrz okazał się znacznie większy, niż się to na początku wydawało. Ruszyliśmy w głąb, pomiędzy regałami zastawionymi książkami. Nasz przewodnik oświetlał drogę świecą osadzoną w starym, srebrnym lichtarzu. Wreszcie przeszliśmy przez ciężkie, metalowe drzwi i znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu, także ciasno zastawionym

książkami. Na ścianie wisiała lampa chanukowa, zupełnie poczerniała ze starości. Usiedliśmy na wyscielanych krzesłach ustawionych wokół starego stołu. Na blacie pysznił się wielki carski orzeł intarsjowany czarnym debem. Gospodarz postawił świecznik pośrodku. Pstryknął pilotem i zapaliła się lampa pod sufitem. Zmrużyliśmy oczy.

-Chciał pan, Panie Tomaszu, dowiedzieć się, skąd można w Krakowie "Niema Księgi" wytrzasnąć... - powiedział w zadumie. - To ja wam powiem. Miałem ją w rękach siedemdziesiąt lat temu i jak głupi wypuściłem... Za marny grosz sprzedałem, tylko po to, żeby był obrot. Nie ma handlu, będzie bieda, jak mówi stare żydowskie przysłowie. Duży obrot, mały zysk. W tym przypadku popełniłem życiowy błąd. Gdybym poczekał parę lat, gdybym znalazł zagranicznego kupca. Gdybym wreszcie wiedział, co za skarb trafił mi w ręce... Ja byłem młody. Ja tego nawet się nie domyślałem. Ja potem wiele nocy przewracałem się z boku na bok i przeklinałem, jak tylko my Żydzi potrafimy. Kląłem swoją głupotę. Kląłem swoje nieuctwo... ale co się stanie raz, tego już się nie cofnie. Myślałem, że

po wojnie, po wszystkich moich przyczynach, ucichnie głos drwiący w mojej duszy z mojego błędu. Ale nie ucichł. Miałem ją w rękę i tylko raz przejrzałem. Ale brakło w niej kilku stron ze środka. Jedna udało mi się odzyskać kilka lat temu... Prawdopodobnie pochodzi z egzemplarza kopenhaskiego...

Wyjął z biurka album wypełniony pojedynczymi kartami, oprawionymi w celofanowe obwoluty.

-Tak to wygląda - położył przed nami stronicę książki. Na pozostawionym, zwijającym się przy rogach pergaminie, wyraźnie odznaczały się cienkie czarne kreski dużego, skomplikowanego rysunku. Przedstawiał człowieka idącego drogą i niosącego bele materiału. Nad nim zaznaczono schematycznie słońce i księżyc.

-Kto kupił tamten egzemplarz? - zaniepokoił się pan Tomasz.

Stary antykwariusz uśmiechnął się.

-Wczoraj zadano mi już to pytanie, ale od drugiej strony - powiedział. - Przed wojną byłem w tym interesie, jak się to mówi: młody szcurek, ale przejąłem dokumentację po kilku antykwariatach, które z różnych przyczyn przestały istnieć. Mam spisy, co kupowano i sprzedawano w dziesięciu takich sklepikach od połowy ubiegłego wieku. Wiem o dziesiątkach i setkach ludzi. Wiem o tysiącach starodruków, które przeszły przez krakowski handel. Niektórzy

z tych klientów jeszcze żyją. Inni potracili swoje biblioteki w czasie wojny. Wiem, co gdzie trafiło. A wczoraj przyszła do mnie młoda dama z warkoczem i zapytała, jaka była zawartość biblioteki Salomona Storma.

-Kim był Salomon Storm? - zapytałem.

Aaron uśmiechnął się lekko, ale jego oczy pozostały poważne.

-Dla mnie był sprytnym klientem, któremu przez własną głupotę sprzedałem Niema Księgę za setną część jej faktycznej wartości.

-Storm - mruknął Szefer. - Gdzieś już słyszałem to nazwisko.

-Storm - starszy człowiek uśmiechnął się wspominając widocznie swoje młode lata. - Przed wojną to był ktoś. Cadyk, kabalista, jeden z najwybitniejszych w Krakowie. Najwybitniejszy znawca "Sefer Jecirach" od czasów kabalistów szkoły reńskiej. Jego komentarze do tej księgi rzucają nowe światło na wiele zagadek i praw, którymi rządzi się matematyka sefiriotycka...

-Po co mu było dzieło o alchemii? - zdziwiłem się.

Antykwariusz uniosł znad stołu głowę i popatrzył na mnie bystro.

-Być może chciał uzyskać złoto? - powiedział. - A może chciał ją wymienić na coś innego? Może gdzieś za granicą odnaleziono na przykład pergaminy wielkich znawców kabali i zaproponowano mu transakcję na sztych - towar za towar. Ktoż to może wiedzieć. Storm myślał inaczej niż zwykli ludzie. Był cadykiem balszen-tow, cudotwórcą. Coś w tym musiało być, bo gdy kupiłem księgę wieczorem, rano przybył do mnie, aby ją kupić. I wiedział, przynajmniej z grubszą, po co przyszedł.

Zamyslił się głęboko.

-On nie żyje? - bardziej stwierdził niż zapytał Pan Samochodzik.

-Nie wiem, ale miałby ponad sto lat. Nie, on musiał umrzeć. Podobno był w getcie na Kazimierzu prawie do końca. Nigdy nie wiedziałem gdzie mieszka. Gdyby przyszedł do mnie po wojnie, gdy uruchomiłem znowu antykwariat. Ja chodziłem wtedy na Kazimierz. Nikt z naszych już tam nie wrócił, a od Polaków kupowałem żydowskie książki za bezcen. Za flaszkę, za dwie. Zebrałem wówczas najwspanialszą bibliotekę, jaką kiedykolwiek miałem w życiu. Bardzo niewielu właścicieli zgłosiło się po swoje... Tym oddałem, a i tak zostały mi tysiące zwojów. Ale to nie ważne.

-Dziewczyna, która pytała o Storma i jego księgozbiór, miała grubą warkocz, a na szyi taki srebrny krzyżyk - pokazałem mu.

Obrzucił moje znalezisko przelotnym spojrzeniem i kiwnął głową.

-Zgadza się. Mile dziecko. Nawet znała trochę jidysz, choć pakowała dużo rusycyzmów.

-Musiały przyjechać ze wschodu - powiedział Szefer w zadumie. - I ty, i Lucjusz słyszeliście wschodni akcent. Używała jidysz w wersji rosyjskiej...

Stary antykwariusz wzruszył ramionami.

-Nie wiem, czy jej akcent był w wystarczającym stopniu identyfikowalny, żeby stwierdzić, że faktycznie przybyła z Kresów. Może mieszkała tam jakiś czas, a może wyuczyła się akcentu przebywając wśród ludzi stamtąd. Na Ziemiach Odzyskanych są wsie, gdzie większość mieszkańców tak "zaciungą".

Obrócił krzyżyk w dłoni. Przesylabizował na wpol zatarte napisy na odwrocie.

-Ona po to wróci - powiedział w zadumie. - A wówczas miejcie się na baczności.

Gdy opuszczaliśmy antykwariat, było już ciemno. Przeszliśmy przez uspięty Rynek i dotarliśmy do naszego hotelu.

-Przekasimy cos i chyba trzeba isc spac - powiedzial SzeF - A jutro zajmiemy sie szukaniem Storma.

-Tylko czego konkretnie mamy szukac? - zamyslilem sie. - Skoro nie zyje, a jego prochy spoczely gdzieś w masowych grobach Treblinki albo Sobiboru...

-Nie zapominaj, ze nasze uroczę przeciwniczki sa na tropie "Niemej Ksiegi". Moze Storm przekazal komus swoja biblioteke przeczuwajac, ze zginie. A moze zamurowal najcenniejsze starodruki w scianie i przekazal komus informacje o tym. Ten ktos przezył wojne i powiedzial... Nadal sadze, ze dziewczęta sa tylko posredniczkami. Wyslanniczkami kogos waznego.

Poskrobalem sie po glowie.

-No moze, tylko dlaczego nie poszedl sam do pana Aarona pytac o ksiegozbiór Storma?

-Moze jest sparalizowany i porusza sie na wozku inwalidzkim. A moze jest na tyle znany w Krakowie, ze bal sie rozpoznania...

W tym momencie rozleglo sie delikatne pukanie do drzwi.

-Prosze - odezwal sie SzeF.

Drzwi uchylily sie i do srodka wslizgnela sie ciemnowlosa dziewczyna.

-Witam panow - powiedziala.

Drgnalem zaskoczony. To ona musiala byc ta tajemnicza Stasia, ktora trzymala mnie na muszce kilka godzin temu. Teraz chyba nie miala przy sobie broni. Zlustrowala szybkim spojrzeniem pokoj.

-Zeby nie przeciągac sprawy przejde od razu do rzeczy - powiedziala. - Pan - wskazala mnie cienkim dlugim palcem - znalazl pewien drobiazg nalezacy do mojej kuzynki.

-Istotnie - kiwnalem glową. - Lancuszek musial sie zerwac, gdy probowala mi nakopac w zadek, na co zreszta pani wyrazila ochoczo przyzwolenie...

Wzruszyla ramionami.

-Ta rzecz jest dla nas wyjątkowo cenna, stanowi fragment historii naszej rodziny. Dlatego proponuje uczciwa zamiane.

Z cienkiej, plastikowej teczki wyjela plik oprawionych razem kart pergaminu i polozyla je na stoliku.

-Traktat mistrza Sedziwoja "O Rteci" w zamian za zwrot krzyza - powiedziala twardo.

-A jeśli odmowie? - zagadnałem.

Bez słowa wyciągnęła z kieszeni kurtki rewolwer, z którym miałem już przyjemność zawrzeć bliższą znajomość.

-Obawiam się, że w przypadku odmowy nie pozostawicie mi panowie specjalnie wielu wyjść... - zaplatała się trochę w gramatyce.

-Schowaj pistolet, młoda damo - powiedział Szeff. - I posłuchaj naszej propozycji. Oddamy wam krzyżyk bezinteresownie. W zamian za to chcemy wykonać kopie tego manuskryptu.

-Pan Samochodzik - uśmiechnęła się. - Zawsze szlachetny, zawsze dbający o rozwój nauki... Słyszałam o panu. Choć nie sądziłam, że przyjdzie nam się kiedyś zmierzyć.

-Jestem zwolennikiem własności prywatnej - powiedział. - I praw do tej własności. Oddaj jej, Pawle, krzyżyk.

-Szeffie, narazę życie żeby go zdobyć - powiedziałem podając klejnot dziewczynie.

Uśmiechnęła się, gdy jej smukła dłoń zacisnęła się na srebrze.

-Narazę życie? - zdziwił się Szeff. - A mi się wydawało, że znalazłeś go dopiero po walce... Tak przynajmniej mówiłeś...

-Ale mogłem zginąć. Gdyby tak kopnęła mocniej...

-Następnym razem może kopnąć mocniej - uśmiechnęła się Stasia. - Ale myślę, że nie będzie takiej konieczności. Dopieliscie panowie swego - gestem wskazała starodruk. - Teraz możecie odejść i pozostawić sprawę swojemu biegowi.

-"Niema Księga" w zamian za kupkę pogiętych blach - powiedziałem. - Sądzicie, że uda wam się ją odnaleźć?

-Nie mam pewności, ale szanse są spore - powiedziała. - Ale to moja sprawa. Jeśli dyrektor Lucjusz nie zgodzi się na zamianę, poszukamy gdzie indziej. Może za granicą znajdziemy ludzi wystarczająco rozsądnych lub... wystarczająco chciwych. Wprowadzenie innego atenuatora raczej koliduje z naszymi planami, ale w ostateczności... Pożegnaj panów.

-Jak będziemy mogli zwrócić to po skopiowaniu - Szeff uderzył dłonią w traktat.

-Przekazcie go anonimowo do Biblioteki Jagiellońskiej.

-Ta książka ma spora wartość.

-To bez znaczenia. Dla nas liczyła się jej treść. A my już wykonaliśmy sobie kopie.

Wyszła. Za drzwiami musiała czatować drugą dziewczętą, bowiem w szparze mignął mi przez chwilę jasny warkocz.

-No coż - powiedział Pan Samochodzik kartkując traktat. - Wygląda na to, że wykonaliśmy nasze zadanie, i to z nawiązką.

Zamysliłem się.

-Wracamy do Warszawy? - zapytałem. - Czy może spróbujemy dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi?

Uśmiechnął się szeroko.

-Przypomnij sobie, jak opowiadałem o swoim pierwszym spotkaniu z Winnetou. Przyjechałem do Złotego Rogu z zamiarem powstrzymania rozbiórki zabytkowego obiektu. Wykonałem zadanie i już miałem jechać dalej, gdy nieoczekiwanie poczułem, że stoję u progu przygody. Zostałem i faktycznie przeżyłem przygodę. Oczywiście, że zostaniemy. Bardzo jestem ciekaw, czy tym miłym cielátkom uda się odnaleźć "Niema Księgę". Moglibyśmy poczekać w stolicy, aż złoza panu Lucjuszowi kolejną propozycję, ale myślę, że ciekawiej będzie odszukać ją wcześniej i zobaczyć, co robią w tym przypadku.

-Ale komu do licha potrzeby może być atanator? - zapytałem. - Przecież nie do podgrzewania fasolki. Z tego co wiem, taki piecyk może mieć tylko jedno zastosowanie. Eksperymenty chemiczne lub alchemiczne.

-Wspomniales niedawno myśl Sherlocka Holmesa. Jeśli odrzucimy to, co niemożliwe, to co mało prawdopodobne...

-Sugeruje pan, że one chcą powtórzyć jakieś doświadczenia alchemiczne?

Uśmiechnął się.

-Powiem ci, co chcą zrobić. Sędziwoj poza produkcją złota, robił także kolorowe szkło. Na witraży. Gdy przed kilkoma laty przystąpiono do renowacji bazyliki Mariackiej oczywiście zakonserwowano także witraże. Wiesz co się okazało? Stare kolorowe szkło bardzo kiepsko zniosło kilkaset lat wpływów atmosferycznych. Z jednym wyjątkiem. Błękitne szkło z dodatkiem kobaltu wyglądało, po oczyszczeniu z brudu, jak wczoraj odlane. Sądziłem, że wyczytały w jakichś pismach alchemicznych przepis na coś takiego. Może na szkło, może na roztwory galwaniczne. Coś, co może być ciekawe nawet dla nas. Zresztą rekonstrukcja dawnych technologii może być bardzo pożyteczna dla konserwatorów dzieł sztuki. Sądziłem, że tu chodzi o tego typu wyniki. Nie zdziwie się, jeśli po odtworzeniu dawnych barwników, pigmentów, czy odczynników te miłe dziewczęta zgarną za to wcale niemałą sumkę pieniędzy. Zresztą mam jeszcze jeden pomysł, jak można na tym zarobić. Mogą przygotowywać materiały do obszernej pracy naukowej na temat alchemii. Może dla jakiegoś bogatego zagranicznego naukowca?

-Nie sadze, Szefie - powiedzialem. - Gdyby tu chodzilo tylko o pieniadze, to poszlyby z dzielem Sedziwoja do dzialu zakupow Biblioteki Jagiellonskiej lub Biblioteki Narodowej, albo do dowolnego antykwariatu i zaspiewaly za to kilka lub kilkanascie tysiecy zlotych. Musi istniec inne wytлумaczenie.

-Dlatego zostaniemy i sprobujemy sie dowiedziec, o co w tym wszystkim chodzi - usmiechnal sie. - Chodźmy cos zjesc, a przy okazji zdeponujemy ten druczek do rana w hotelowym sejfie. Unikatowych dzieł lepiej nie zostawiac na noc bez opieki.

Rozdział V

Wycieczka na Kazimierz * Jesteśmy śledzeni * Dzieje Kazimierza * Tajemnice oszmiańskiego powiatu * Synagoga Stara * Jak cadyk Golema budował * Tajemniczy grób * Dom cudotwórcy

-Ach, nie ma to jak świeże powietrze - powiedział Szefer stojąc w otwartym oknie. Popielniczkę postawił na parapecie, żeby nie prosić popiołem papierosa na ulicę. Otworzyłem leniwie oczy. Po wczorajszym deszczu wypogodziło się ładnie. -Znowu mamy jesień - powiedziałem. - I co tu dalej robić z dniem tak miłe rozpoczętym?

-Wyberzemy się na Wawel - powiedział Pan Samochodzik. - Zobaczymy co mają w swoich zbiorach z urządzeń alchemicznych. A potem przejdziemy się do archiwum miejskiego i pogrzebiemy za tajemniczym Salomonem Stormem.

-Może najpierw pogrzebiemy za Stormem - zaproponowałem. - A potem pojedziemy sobie zwiedzać muzea. Bo boję się, że nasze przeciwniczki wyprzedzają nas o kilka długosci. Wczoraj, Szefie, mówił pan, żeby ich nie lekceważyć.

Uśmiechnął się lekko.

-Dobra. Jak zamierzasz się za to zabrać?

-Raczej nie w archiwum miejskim... Chodźmy na Kazimierz. W jednej z synagog urządzone jest muzeum żydowskie. Sadzę, że mają tam też archiwum, a może nawet kopie akt znajdujących się w innych ośrodkach.

Kiwnął głową.

-No to do dzieła.

Wsiadliśmy w tramwaj i po kilkunastu minutach zatrzymaliśmy się koło sporej hali targowej.

-Podjechalismy troche za daleko - powiedzial Szefer przegladajac plan miasta. - Ale tedy tez chyba bedziemy mogli przejśc.

Ruszyliśmy wzdłuż hali, później przeszliśmy koło szkoły i niebawem zatrzymaliśmy się koło wysokiego muru z czerwonej cegły.

-To chyba jest stary cmentarz żydowski - powiedział Szefer - A za tym nasypem będzie Kazimierz.

W tym momencie do moich uszu doleciał dziwny dźwięk. Ktoś grał dziwną, rwącą się, pełną bólu melodię.

-To "sonata wiosny" Konstantinasa Ciurlionisa - zauważył Pan Samochodzik.

Rozglądaliśmy się szukając źródła dźwięku. Wokół nas było jednak zupełnie pusto. Opodal koło przedszkola dokazywały dzieci.

-Ki diabeł? - mruknąłem. - Ktoś bawi się fletem.

-To nie flet - zaprotestował Szefer. - To oboj.

-Jaka różnica? - wzruszyłem ramionami.

-Mniej więcej dwudziestokrotna w cenie instrumentu - mruknął. - Flet można zrobić z kilku różnych materiałów, a oboj tylko z hebanu. Tam jest!

Do cmentarza przylegał niewielki budynek o zamurowanych naглуcho oknach. Opierając się plecami o jego ścianę siedziała okrakiem na murze dziewczyna z jasnym warkoczem. Na nasz widok uśmiechnęła się i odkładając instrument do futerału radośnie pokiwała nam dłonią. A potem zsunęła się na cmentarz, znikając nam z oczu.

-Scigamy ją? - zapytałem.

Szefer zamyslił się na chwilę.

-Można by - powiedział. - Tylko właściwie po co? Jeśli to ta, o której wspominales, to spuści ci znowu łomot.

-Bila nieprzepisowo i zaskoczyła mnie - mruknąłem.

Wspomnienie doznanej porażki paliło moją duszę jak ogień.

-Ciekawe po co nam się pokazała - zamyslił się Pan Samochodzik.

-Może po prostu lubi tu siedzieć i grać - zastanowiłem się.

Pokreślił powoli głową.

-Myśl trochę Pawle. Sądzę raczej że chciała nam dać do zrozumienia, że będa

obserwować nasze poczynania. Zwrociła na siebie nasza uwagę.

-Gdyby nie zagrała na tej fujarce nie spostrzeżelibyśmy jej - mruknąłem.

-To obojętne a nie fujarka - przypomniał mi szef. - Grac na nim jest sztuka...

Przeszliśmy przez tunel wydrążony w wale kolejowym i znaleźliśmy się na Kazimierzu. Niebawem pojawiała się przed nami wielka murowana synagoga. Parkowały przed nią dwa autokary, a hałasliwie stadko turystów ładowało się do wnętrza budynku.

-To Synagoga Stara - wyjaśnił Szef. - Najstarsza na Kazimierzu. Pochodzi prawdopodobnie z przełomu piętnastego i szesnastego wieku. W jej wnętrzu przemawiał Tadeusz Kościuszko, przed swoją słynną przysięgą na krakowskim Rynku.

-Tadeusz Kościuszko był Żydem? - zdumiałem się.

-Raczej chodziło mu o zagrożenie do walki mniejszości narodowych. Albo księża nie chcieli udostępnić mu ambon kościelnych. Nie wiem... Ucierpiała trochę podczas wojny, ale w latach pięćdziesiątych odbudowano ją, lokując wewnątrz to, co nas interesuje.

-To znaczy?

-Zbiory judaistyczne Muzeum Historycznego Miasta Krakowa. A przy okazji zapewne spore archiwum, zawierające być może informacje o poszukiwanym przez nas człowieku.

-Piętnasty wiek - mruknąłem. - A jak dawne jest żydowskie osadnictwo w tej części Krakowa?

-No cóż, skoro tak lubisz archeologię, choć podejrzewam czasem, że twoja miłość jest dość pobieżna, to powinieneś się orientować, że nie można mówić o osadnictwie w tej części Krakowa, bowiem Kazimierz przyłączono do miasta dopiero w 1800 roku. Wcześniej była to oddzielna miejscowość posiadająca prawa miejskie, a nawet mury obronne. Prawa miejskie nadal Kazimierzowi król Kazimierz Wielki w 1335 roku... Ale wbrew temu, co bredzili w filmie "Lista Schindlera", wcale nie on osiedlił tu Żydów. Spisy z tego okresu wymieniają wśród mieszkańców miasta zaledwie kilkunastu wyznawców judaizmu... Zaczeli się tu osiedlać dopiero w końcu XV stulecia, po tym, jak nasz król Jan Olbracht wysiedlił ich z Krakowa.

-Dlaczego wysiedlił? - zaciekawilem się.

-No cóż. W mieście wybuchł pożar. Jak zwykle przy takich okazjach doszło do zamieszek i pogromów. Jak to się mówi, szukano winnych. Zresztą wysiedlono ich po raz kolejny w 1776 roku, po małej epidemii dżumy, a w 1800 roku wydano ustawę zakazującą Żydom zamieszkiwania w Krakowie. W szesnastym wieku na Kazimierzu osiedli także uchodźcy z Hiszpanii, Portugalii, Włoch i Czech. Taka mieszanka etniczna doprowadziła do wytworzenia

sie na tym niewielkim obszarze niezwykle bogatej i roznorodnej kultury. Zapamiętaj, na styku kilku kultur rodzą się najwybitniejsze jednostki i powstają najwspanialsze dzieła sztuki i literatury. Lwów, Wilno, Kraków, zamieszkały częściowo przez Ormian Zamość, Gdańsk... Są też rejony naszej planety jakby szczególnie predysponowane do tego by wydawać z siebie jednostki naprawdę wybitne. Weź oszmiański powiat na Wilenszczyźnie.

-Kto się tam urodził? - zdziwiłem się.

-Józef Piłsudski, trzydzieści kilometrów od jego domu był majątek Dzierżyniów w którym zobaczył świat krwawy komunistyczny oprawca Feliks Dzierżyński. Jego sąsiadem był Andrzej Sarjusz - Zawojski, bohater wojny domowej w Rosji, nieustraszony adiutant generała Wrangla. W drugą stronę jeszcze dwadzieścia kilometrów i majątek Jaruzelskich, tych z których pochodził Wojciech Jaruzelski, stamtąd między znajdował się Nowogródek w którym urodził się i wychował Adam Mickiewicz... A zupełnie niedaleko, może sto kilometrów na północ leży Kalnibrze, gdzie urodził się Piotr Stolypin. I zdaje się Czesław Miłosz.

-Ciekawe miejsce - zauważyłem.

-A tak dla dopełnienia, w samym sercu oszmiańskiego powiatu urodził się Herakliusz Pronobis i ja... - uśmiechnął się skromnie. - Turysci, jak widzę, przestali blokować wejście, pora i na nas.

-Co można zobaczyć w środku? - zaciekawilem się.

-Piękna kolekcja rytualnych judaików - powiedział Szef. - I nieduża ekspozycja poświęcona utworzonemu tu podczas wojny gettu.

Weszliśmy w ślad za Amerykanami. Nasze legitymacje utorowały nam drogę do serca muzeum. Niebawem siedzieliśmy po raz kolejny na wygodnych fotelach w pokoju zastawionym regałami z książkami.

-Storm, Storm - mruknął Icek Berok, kustosz zbiorów archiwalnych. - Cadyk Salomon Storm. A jakże. Słyszałem to nazwisko. Nie dalej jak przedwczoraj pytała o niego taka miła dziewczuszka... Pogrzebalismy razem w naszym archiwum. Sporo się o nim zachowało dokumentów.

-Kim był? - zapytałem. - To znaczy wiem, że był cadykiem, ale co takiego robił, że zachował się w ludzkiej pamięci?

-Był kabalista - uśmiechnął się kustosz. - Ale wy nie jesteście z naszych, więc trudno będzie wam to zrozumieć. Storm przed wojną robił rzeczy szalone. Zbudował Golema według wskazówek zawartych w pismach rabina Lowe ben Becalela z Pragi.

-Legenda o Golemie - mruknął Szef. - W Krakowie?

-To nie legenda - usmiechnal sie pan Icek. - To najprawdziwsza prawda. Ulepil go z ziemi na cmentarzu, kolo ktorego zapewne musieliście przechodzic. Napisał na srebrnej plytce tekst, ktory mial mu nadac pozory zycia. Ale jakos nie nadal. Nie wyszło, choc zrobil wszystko wedle wskazowek. Wielu Zydow bylo bardzo zdziwionych, ze mu nie wyszło.

-Chyba raczej zdziwiliby sie, gdyby mu sie udalo - mruknal SzeF.

-Och, niekoniecznie. On robil nie takie rzeczy. Czytal z ludzkich oczu jak z ksiegi. Poznawal losy czlowieka z przypadkowego dotknienia dloni. Robil tez doswiadczenia alchemiczne i mial nawet kopie Szmaragdowej Tablicy.

SzeF pokiwal w zadumie glowa.

-To sporo wyjasnia - mruknal. - A wiec zajmowal sie alchemia.

-Tak, zgromadzil ponoc wspaniala bogata kolekcje starodrukow alchemicznych, w tym takze oslawiona "Niema Ksiege".

-Co sie z nim stalo? - zapytal SzeF.

-Byl w Gettcie. Nie wiem. Po wojnie nie wrocil juz do Krakowa. Prawdopodobnie zamordowali go hitlerowcy, choc byloby to raczej dziwne. On swietnie potrafil przeczuc niebezpieczenstwo. Ludzie opowiadaja, ze czytala w myslach. Otaczala go slawa wielkiego cudotworcy.

Usmiechnal sie lekko i z polki zdjal nieduze tekturowe pudelko. Wewnatrz znajdowala sie ulepiona z blekitnej gliny reka. Palce pokryte byly gesto hebrajskimi napisami.

-Czyzby to byl...

-Tak. To kawalek Golema, ktorego zbudowal. Zwroccie panowie uwage na piekny blekitny kolor.

-To nie jest malowana glina - mruknalem. - Ani tez nie biala - kaolinitowa.

Kustosz uniosl brwi w niemym pytaniu.

-Rozrozniamy zasadniczo dwa rodzaje gliny - wyjasnilem. - Zelazista, pospolita, ktora po wypaleniu robi sie czerwonego koloru. Zawiera domieszke zelaza, dlatego podczas wypalania metal utlenia sie i czerwona barwa cegiel lub garnkow pochodzi wlasnie od tlenku zelaza.

-A drugi rodzaj? - zaciekawil sie.

-To glina kaolinitowa. Rozni sie tym, ze nie zawiera zelaza. Po wypaleniu robi sie biala lub zolta. W Polsce byla wydobywana w okolicach Ilzy i Sandomierza.

-Czyli mamy do czynienia z jeszcze innym rodzajem gliny - mruknął. - Co mogło nadac jej blekitna barwe? Kobalt, mangan może molibden...

-Kobalt - odezwał się cicho Szef. - To glina kimberlitowa, wydobywana w kraterach i kominach dawno wygasłych wulkanów. Zawiera dużo kobaltu i innych pierwiastków ciężkich, ale jest praktycznie wolna od żelaza. W Chinach wyrabiano z niej słynne blekitne wazy, będące dziś przedmiotem pożądania licznych kolekcjonerów. Jej nazwa pochodzi od miejscowości Kimberley w RPA. Tam właśnie znajduje się ogromny krater wygasłego wulkanu wypełniony tysiącami ton blekitnej gliny. Od wielu dziesięcioleci eksploatuje ją największa na świecie spółka zajmująca się wydobyciem diamentów.

-Czy w Polsce są złoża takiej gliny? - zdziwiłem się.

Uśmiechnął się.

-Są. Najbliższe, pół godziny drogi stąd.

-Gdzie?

-Na Wawelu - odpowiedział poważnie. - Niewielka część wzgórza to bardzo stary, zerodowany stożek wulkaniczny. Wygasł jeszcze przed stu pięćdziesięciu milionami lat, zanim powstały wapienne skały na których posadowiony jest zamek. Gliny kimberlitowe muszą widocznie w jakimś miejscu wychodzić na powierzchnię. Chyba, że przywoził sobie materiał gdzieś ze Śląska.

-Ciekawe - mruknął kustosz. - Na naszym cmentarzu, nigdzie nie widziałem blekitnawej gliny...

-Może zalega głębiej - zastanowiłem się. - Wiem, że garncarze w poszukiwaniu dobrego surowca drążyli szyby nawet czterometrowej głębokości. Może brał udział w jakimś pogrzebie i spostrzegł, jak bardzo głęboki wkop grobowy dotarł do warstw innego koloru niż na powierzchni. A z czego wykonany był Golem, ten o którym opowiadają legendy z Pragi?

-Tego nie wiem - powiedział Szef.

-Ja też nie mam pojęcia - dodał kustosz.

-A ten, dlaczego został rozbity? - zaintrygował się Pan Samochodzik. - Ktoś go zniszczył?

-Sam cadyk. Zbudował go w poniedziałek i aż do czwartku usiłował ożywić. Ponieważ mu się to nie udało, zdecydował się go rozbic, aby przypadkiem nie ożył podczas Szabasu. Według naszych legend Golem, który będzie w tym czasie żywy może próbować wdrzeć się do domu modlitwy. Tego jednak nie wolno mu uczynić.

-Dlaczego? - zainteresowałem się.

-Było by to swietokradztwo. W Boznicy nie może przebywać istota nie posiadająca duszy. A Golem, choć jak pierwszy człowiek został uczyniony z gliny, otrzymał życie, a przynajmniej pozory życia, jednak dusze mogłyby dać mu tylko Bóg. Istota pozbawiona duszy może zniszczyć synagogę... Nie wiem, czy panowie o tym słyszeli, ale na naszych ziemiach była jeszcze jedna próba budowy Golema.

Brwi Szefa uniosły się w niemym pytaniu.

-W Lublinie, około szesnastego wieku miejscowy rabin miał się podjąć tego zadania. Ta legenda podobno jest nawet starsza niż praska. Ale wszystkie one pochodzą z zachodu, prawdopodobnie z krajów iberyjskich. Blakające się po świecie gliniane ciało pozbawione duszy... W naszych basniach, czy też raczej można powiedzieć apokryfach wyrastających z gleby ortodoksyjnego i chasydzkiego judaizmu, wspomina się też o dybukach - duszach tragicznie zmarłych, które blakają się po świecie w poszukiwaniu nowego ciała.

-Gdzie mieszkał Storm? - zaniepokojony się Szef.

-Och, niedaleko stąd. Jeśli macie panowie ochotę się przejść, to ja też z przyjemnością lykne trochę świeżego powietrza.

Opuszciliśmy gościnne progi muzeum i powędrowaliśmy ulicą Szeroką na północ. Niebawem zatrzymaliśmy się przed niewielką synagogą, odgradzoną od ulicy murem, zaopatrzonym w bramy.

-Boznica Remu - wyjaśnił ochoczo nasz przewodnik widząc nasze zaciekawienie. - Wzniesiona w połowie szesnastego wieku, przez Izraela Isserelesa Auerbacha, ale nazwę swoją przyjęła od jego syna Mojżesza Jsserelesa zwanego Rabbi Moses Remuch.

-Słyszałem o nim - powiedział Szef. - Był dość znanym jak na owe czasy filozofem i uczonym.

Przewodnik uśmiechnął się. Widocznie fakt, że Szef zidentyfikował osobę, sprawił mu przyjemność.

-Pobożni Żydzi pielgrzymują tu, aby zobaczyć miejsce gdzie nauczał. W boznicy, w miejscu gdzie siadywał, na pamiątkę pali się zawsze lampa.

-Storm też tu wykladał? - zaniepokojony się.

-Nie, on zachodził do boznicy Na Górze, stojącej też przy tej ulicy, tylko bardziej w głąb. Była nieco młodsza, pochodziła z początków siedemnastego wieku. Ufundował ją Mojżesz Jekels dla swojego zięcia Natana Spiry - popatrzył pytająco na Szefa.

Ten zamyslił się na chwilę, widocznie przeszukując zakamarki pamięci.

-Natan Spira - powiedział wreszcie. - To on jako pierwszy publicznie zaczął nauczać Kabaly. Napisał na ten temat dzieło, ale niestety nazwa jego uleciała mi z pamięci.

- "M'galeh Amukot" - powiedział przewodnik. - Czyli "Odsłaniający Tajemnice".

Szef w zadumie popatrzył na mury Bożnicy Remu. Dalej wzdłuż ulicy ciągnął się wysoki mur.

- Tu znajduje się stary cmentarz - powiedział.

- Tak. Nowy, ten na którym Storm budował Golema, jest po drugiej stronie nasypu kolejowego.

- Przechodziliśmy tamtędy - wyjaśniłem. -ładny ten skwerek...

Posrodku ulicy znajdował się nieduży, prostokątny trawnik. Choć rośliny pozółkły, nadal ożywiały kamienny bruk.

- To nie skwerek - uśmiechnął się przewodnik. - To wedle naszych legend grob.

- Kogo pochowano tak bez nagrobków? - zdziwił się Szef. - Miejsce też chyba nieco dziwnie dobrane.

- Grupa ludzi wyprawiała wesele. Świątowali kilka dni i nie uszanowali Szabasu. Umarli wszyscy, a tutaj zostali pochowani.

- To można by łatwo sprawdzić - powiedziałem. - Wystarczyściągnąć archeologów...

Szef posłał mi niechętnie spojrzenie. Poczulem niestosowność swojego zachowania.

- Tylko po co? - zagadnął pan Icek. - Przyjmijmy, że znaleźlibyśmy szkielety. Albo byśmy ich nie znaleźli. W pierwszym przypadku potwierdziłoby się to co wiemy, w drugim zniszczylibyśmy jedną z legend naszego miasta. Zbyt duże ryzyko, aby mogło się opłacać... Salomon Storm mieszkał w tym budynku - wskazał nam odrapaną, walącą się kamienicę po drugiej stronie placu.

Budynek opłatywały rusztowania, po których leniwie dreptali budowlancy.

- Hmm - mruknął Szef. - Przy okazji remontu co nieco można znaleźć. Pamiętam, jak w Warszawie podczas burzenia ruin kamienic na terenie getta ludzie opowiadali sobie o różnych precjozach...

Kustosz uśmiechnął się zagadkowo.

- Nie doceniacie panowie naszej inteligencji - powiedział z zadowoleniem w głosie - Zanim przystąpiono do remontu, ten budynek spenetrowali pracownicy naszego muzeum. Użyliśmy

najnowsze sprzety, wykrywacze metali, echosondy i kamery termowizyjnej.

-Biedni budowlancy nic nie znajda.

-A panowie co znalezi? - zainteresowalem sie.

-Niewiele - westchnal. - W jednym pomieszczeniu byl ukryty w scianie sejf, a w nim pol miliona zlotych w przedwojennych banknotach. Natomiast mieszkanie Storma bylo dokladnie puste. Zerwalismy nawet podloge, w nadziei, ze cos pod nia ukryl. Niestety. Jesli w jakis sposob zabezpieczyl swoje zbiory, to musial to zrobic gdzie indziej. Jesli nie macie panowie wiecej pytan, pora dla mnie wracac do pracy.

Nie mielismy pytan. Pozegnal sie i poszedl.

-No to klapa - powiedzialem.

-Czekaj - mruknal Szef. - Zastanowmy sie. Zalozmy taka hipoteze robocza: Storm zgromadzil spora kolekcje dzieł alchemicznych, w tym "Niema Ksiege" i traktaty Sedziwoja. Pojdziesz do antykwariatu, w ktorym bylismy wczoraj, i dowiesz sie wszystkiego na temat tego, jakie dzieła Sedziwoja przeszly przez rece krakowskich bukinistow w ciagu ostatnich stu, moze stu dwudziestu lat. Wynotujesz daty pojawiania sie kolejnych pozycji.

-Co nam to da? - zainteresowalem sie.

-Och, to proste. Skad Storm mogl miec pisma Sedziwoja? Mogl je kupic albo natrafil na skrytke. Poza tym, te mile cielatka musialy gdzies zdobyc "Traktat o Rteci". Albo go kupily, albo przywiozly gdzies spoza miasta, albo tez dobraly sie juz do biblioteki Storma. Tak czy siak, pojdziesz i sprawdzisz. Wynotujesz, jakie ksiegi mial w swojej kolekcji, a potem zbadasz, czy cos z tego pojawilo sie po wojnie w handlu.

-A pan, Szefie?

-A ja pojde na Wawel. Cos tam musze sprawdzic...

Rozstalismy sie na ulicy Stradom. Zakrecilem w strone Rynku, a Pan Samochodzik powedrowal naprzod.

Rozdzial VI

Ponowna wizyta w antykwariacie * Ucze sie targowac * Ponowne spotkanie ze Stasia * Skad wziac atanator?

Pan Aaron na moj widok nie okazal wiekszego zdziwienia.-Coz tym razem sprowadza? - zagadnal z usmiechem. - Udalo wam sie cos ustalic, czy tez coraz wiecej zagadek?

-Mam pytanie - wyluszczylem mu prosbe Szefa.

-No, macie szczescie, ze trafiliscie wlasnie namnie - usmiechnal sie.

W jednym z pokoi na zapleczu antykwariatu stal komputer. Staruszek usiadl przy nim i ostroznie wystukal palcami odpowiednie komendy. Z pudelka wyjal CD-Rom i umiescil do w czytniku.

-Moj prawnuk wstukal mi w maszynie wszystkie wykazy - wyjasnil. - Bez tego szukalibysmy przez cale miesiace.

Po chwili urzadzenie wyplulo liste ksiazek.

-To wszystko, co kupil Storm. A teraz zobaczmy, od kogo kupili to moi poprzednicy... No prosze. Cos podobnego!

Jego twarz rozjasnil chytry usmiech.

-Jan Moritz von Jungfrau sprzedal w 1887 trzydziesci ksiazek i listow pozostalych po alchemiku Michale Sedziwoju w szesciu roznych antykwariatach... - zamyslil sie na chwile. - W co najmniej szesciu - uzupelnil - Nie mam przeciez kompletu ksiag. A wiec handlowano nimi przez nastepne czterdziesci lat. Glownie jeden antykwariat sprzedawal drugiemu, cene oczywiscie caly czas podbijano. Kilka trafilo w rece roznych klientow, ale czesc wrocila z powrotem. W latach dwudziestych wszystkie, ktore przeszly przez tych bukinistow, ktorych wykazy mam, wykupil cadyk Salomon Storm. O, jest jeden wyjatek. Jedna pozycje kupila w 1921 roku mloda dama.

-Jak sie nazywala?

-Tego niestety nie wiem - westchnal. - Proszcie mnie dobrze zrozumiec. Prowadzenie takich spisow teoretycznie w ogole nie powinno miec miejsca. Inaczej. Oczywiscie, w tym fachu zawsze zapisuje sie, od kogo sie kupilo, ale nigdy nie powinno sie zapisywac, komu sie sprzedalo. Ale to takie skrzywienie zawodowe. Jesli ktos kupuje manuskrypt, na ktory potem trafia sie klient, to mozna probowac odkupic go z powrotem i odsprzedac drozej. Widze, ze sie zgorszyles. Po prostu nie masz handlowej duszy - blysnal zebami. - Ale z tym to trzeba sie urodzic. Zannotowac mozna oczywiscie tylko informacje o tych klientach, ktorych sie zna. Ale to nietrudne. Mamy niewielu przypadkowych nabywcow. Z reguly kolekcjonerzy wpadaja raz w tygodniu, inni dzwonia czy jest

juz to, co zamowili. Sa wreszcie tacy, nazwijmy uprzywilejowani, ktorzy tylko zostawiaja telefon, a jak wpadnie cos z ich list, to my dzwonimy.

-Kim byl ten Jungfrau? - zapytalem.

Starzec usmiechnal sie zadowolony.

-To byla cala rodzina. Dostarczyli nam setki ciekawych ksiazek. Mozna powiedziec: stali

dostawcy. Przez trzy pokolenia bogacili się na nich krakowskie antykwariaty.

Popatrzyłem na niego zdumiony.

-To byli ludzie z głową na karku. Mieli firmę rozbiórkową. Zanim rozwalali budynek, zawsze dokładnie penetrowali strychy i piwnice.

-Czyli widocznie rozbierali kamienice należące do Sedziwoja i na strychu albo w jakimś zamurowanym pomieszczeniu znaleźli jego bibliotekę - domyśliłem się.

Westchnął ciężko.

-Z dedukcji piątka. Z przygotowania naukowego pała - podsumował mnie. - Obudz się, młody człowieku. Poczytaj sobie jakiś przewodnik. Wiesz co, nawet nie będziesz musiał daleko szukać...

Podszedł do regału z nowszymi książkami i zdjął z niego grubą tomik w lakierowanej okładce.

-Czterdzieści złotych - powiedział mrużąc oczy.

-A gdybym chciał tylko zajrzeć do środka?

-To tylko dwadzieścia za jedno zaglądnięcie - uśmiechnął się.

-Nie ma handlu, będzie bieda - zacytowałem jego własne słowa. - Ja chcę tylko zajrzeć i za to dwadzieścia złotych?

Tym razem zachichotał.

-Młody człowieku, widac od razu, że nie łapiesz za dobrze współczesnej cywilizacji. Ja tomik traktuję jak towar i zajrzenie też jak towar. A ty pomyśl chwilę i powiedz mi dlaczego.

-Rozumiem. To nie książka jest towarem, tylko zawarta w niej informacja. Ale czy jest warta aż dwadzieścia złotych?

-Możesz utargować na osiemnastu.

Zamysliłem się.

-To mi się chyba nie opłaca. Jaka mam gwarancję, że w środku jest coś na temat kamienicy w której mieszkał Sedziwoj, a jeśli nawet coś jest, to czy ta informacja do czegośkolwiek się przyda.

Popatrzył na mnie jakby bardziej życzliwie.

-Wiec teraz sam widzisz, ze nie oplaca sie kupic zajrzenia nawet za pietnascie zlotych. A moze ty bys chcial za dwanascie? Za malo dajesz...

-Jedno zajrzenie nie oplaca sie nawet za dziesiec - mruknalem. - Ani nawet za piec.

-Ja wcale nie mowie, ze sie oplaca.

-Trzydziesci zlotych za ksiazke - zaproponowalem znienacka.

-Trzydziesci zlotych to jakby o dobre osiem zlotych za malo - westchnal. - Pomysl, ze mozesz tu spedzic jeszcze kilka dni. Z pewnoscia wiele razy bedziesz chcial zajrzec do srodka. Co najmniej trzydziesci osiem razy...

Wyjalem portfel i odliczyłem trzydziesci osiem zlotych.

-Od razu widac, ze nie lubisz sie targowac - usmiechnal sie. - A w tym jest caly urok handlu. Bylem gotow sprzedac ci ja za trzydziesci piec zlotych, albo nawet za trzydziesci cztery. A tak, twoja strata. No to sprawdz teraz, czy przynajmniej jest w niej ta informacja, ktorej szukasz.

Przekartkowalem indeks i otworzyłem na odpowiedniej stronie.

-Kamienica Sedziwoja zostala zburzona prawdopodobnie w koncu osiemnastego wieku. W 1809 roku w tym miejscu wzniesiono budynek, ktory rozebrano w 1908 by w jego miejscu wybudowac gmach Towarzystwa Rolniczego - referowalem zdobyte informacje.

-No widzisz. Jesli ty teraz chcesz sprzedac mi te ksiazke, to dam za nia dwadziescia dwa zlate - usmiechnal sie chytrze.

Polubilem go.

-Ksiazka sie przyda - powiedzialem chowajac ja do torby. - Sam pan mowil, ze posiedze tu jeszcze kilka dni. Przewodnik po tym pieknym miescie moze byc mi potrzebny.

-Pan Samochodzik slusnie wybral sobie ciebie na pomocnika - usmiechnal sie - Ale jeszcze wiele musisz sie nauczyc. Mysle, ze powinienes poczytac sobie zyciorys Sedziwoja. Moze tam natrafisz na jakies wskazowki prowadzace do jego biblioteki. Tak czy siak, nawet jesli byla zamurowana gdzies w jego kamienicy, to zostala znaleziona znacznie wczesniej, niz do nas trafila.

-No to przejdzmy do drugiej czesci mojego zadania. Czy ktoras z ksiazek Storma trafila do handlu po wojnie?

Palce antykwariusza zatanczyly po klawiaturze. Stukal w klawisze z szybkoscia karabinu maszynowego. Wreszcie na monitorze wyswietlila sie lista.

-Ze stu szescdziesieciu pozycji, ktore przed wojna sprzedano Stormowi, przez moj antykwariat przeszlo ponad osiemdziesiat - powiedzial. - Wszystkie praktycznie zaraz po wojnie, gdy kupowalem ksiegi na Kazimierzu. Pozniej trafialo do mnie nie wiecej niz jedna co dwa-trzy lata. Oczywiscie nalezaloby sprawdzic tez w innych antykwariatach, sadze, ze trafila tam po prostu reszta. Mieszkanie Storma przez jakis czas stalo zapewne otwarte i ktos je wyrabowal. Ksiazki w wiekszosci przypadkow byly zapisane lacinskim alfabetem, dlatego nie zostaly zniszczone.

-Rozumiem.

-Ale jest jeszcze cos. W moich spisach nie wystepuje ani jedno dzieło Sedziwoja.

-A to oznacza, moze oznaczac, ze najcenniejsze egzemplarze kolekcji gdzies ukryl.

-Ma pan racje. Tak widocznie musialo byc. Moze uda sie wam je odnalezc.

-Wlasciwie to sam juz nie wiem czego szukam - mruknalem. - SzeF chce chyba odnalezc "Niema Ksiege", ale nie po to zeby ja miec, a tylko w tym celu, aby dowiedziec sie do czego tym dwu milym dziewczetom potrzebny jest atanator.

Stary antykwariusz mrugnal oczyma.

-A ty nie chcesz sie tego dowiedziec?

Zamyslilem sie.

-Chce - odpowiedzialem. - Bo czuje, ze tu chodzi o cos wiecej. Pan Samochodzik sadzi, ze to moze byc zagadka dawnych technologii, ale przeciez mamy analize chemiczna i komputerowa symulacje procesow chemicznych... bo przeciez nawet osiemnastoletnia dziewczyna nie jest na tyle glupia, zeby wierzyc w mozliwosc zamiany olowiu w zloto.

-Sedziwoj ponoc umial to zrobic - wyblakle oczy zalsnily. - Zdecydowanie powinienes blizej zaznajomic sie z tym czlowiekiem.

-Wspomnial pan o zyciorysie? - przypomnialem sobie.

-Aha. Troche sfatygowany - wyciagnal z regalu nieduza ksiazke wydana w latach piecdziesiatych. - Za to kosztuje doprawdy niewiele. Tylko dwadziescia piec zlotych.

-Bardzo sfatygowany - zauwazylem. - Oprawa introligatorska bedzie kosztowala...

-Mam tez ksiazke o konserwacji starych drukow i dokumentow - wyjal kolejny tom. - Kosztuje wprawdzie az czterdziesci, ale za to bedziesz mogl tamta zakonserwowac i opravic wlasnorecznie, a przy okazji poduczysz sie przydatnego fachu. Do rownych siedemdziesieciu zlotych moze dolozyc jeszcze broszure zawierajaca wzory roznych

gatunkow papieru.

-Siedemdziesiąt złotych to sporo pieniędzy. W ministerstwie kiepsko płaca - zauważyłem.

-No to dorzuce do kompletu jeszcze powiesc przygodowa dla dzieci autorstwa niejakiego Nienackiego. Bardzo sfatygowana, ale dobrze sie czyta.

-Niech bedzie - westchnalem.

Zapakowalem kupione ksiazki do torby i zaplacilem. Zbieralem sie juz do wyjscia, gdy nieoczekiwanie otworzyly sie drzwi i do ciemnego wnetrza antykwariatu weszla ciemnowlosa dziewczyna. Poznałem ja od razu. To byla ta tajemnicza Stasia, ktora poprzedniego dnia wieczorem wymienila krzyzyk kuzynki na bezcenny manuskrypt.

-Witam klientke - usmiechnal sie pan Aaron. - Czym tym razem moge sluzyc?

Spostrzegla mnie, ale nie speszona zajela wolne krzeslo przed lada.

-Potrzebuje jakichs wspomnien dawnych mieszkancow Kazimierza - powiedziala. - Szczegolnie z kregow chasydzkich.

Mowila w jidysz, ale dzieki dobrej znajomosci niemieckiego lapalem sens wypowiedzi. Mowila powoli, jidysz nie mogl byc jej jezykiem ojczystym. Zapewne uzyla go, zeby utrudnic mi zrozumienie.

-Zaraz czegos poszukam - usmiechnal sie i zniknal na zapleczu.

-Znowu sie spotykamy - powiedzialem.

Obrzucila mnie obojetnym spojrzeniem.

-Zakochoj sie we mnie, albo lepiej w mojej kuzynce i zdobadz nam piecyk - powiedziala obojetnie. - Nawet nie na stale. Po kilku tygodniach zwrocimy do muzeum.

-Nie mam takich mozliwosci - powiedzialem. - Obawiam sie, ze za "Niema Ksiege" tez go wam nie dadza.

Usmiechnela sie.

-Byc moze nie wie pan, ze prawie kompletny atanator znajduje sie w zbiorach kolekcji krolewskiej w Uppsala w Szwecji. Przypuszczam, ze krol odda go nam za "Niema Ksiege", choc wywiezienie tego dzieła z kraju jest w naszym odczuciu czynem bardzo niegodnym, na ktory zdobedziemy sie tylko w skrajnej ostatecznosc.

-Bylaby pani zdolna do wywiezienia tak cennego zabytku naszej kultury za granice? - zdumialem sie.

-Naszej kultury? - prychnęła. - Przecież to francuski druk, czy też raczej miedzioryt. Poza tym z powrotem przywoziłabym atamanów. Jeśli król okaże się wystarczająco inteligentny, dojdzie z nim do porozumienia...

-Ciekawe, skąd taki piecyk znalazł się w Szwecji - zamysliłem sobie. - I skąd pani wie, że mogłoby posłużyć pani celom?

-To też pamiątka po Sedziwoju, w czasie potopu wpadło w ręce Szwedów wyposażenie jego pracowni w dworcu...

Nieoczekiwanie urwała, jakby w obawie, że powiedziała już zbyt dużo. Uśmiechnęła się na widok powracającego antykwariusza.

-Trochę tego jest - powiedział kładąc przed nią dziesięć albo dwanaście książek. Spojrzała na nie uważnie, a potem odliczyła pięć banknotów pięćdziesięci złotych.

Uśmiechnął się i zgarnął je do kasy, podał jej reklamówkę. Włożyła tomiki do środka i podziękowawszy ruszyła do wyjścia.

-Może moglibyśmy porozmawiać - zaproponowałem.

Odwrociła się.

-Sa tajemnice, które muszą pozostać w obrębie mojej rodziny - powiedziała. - Zdobądź dla nas piecyk, a coś ci pokażemy.

A potem wyszła.

-Skąd wiedziała, ile zapłacić? - zagadnałem.

-Albo bardzo dobrze zna ceny książek, albo odgadła - powiedział.

-Nie pomyliła się?

-Ani o złotówkę. Tyle zamierzałem zażądać i po długich targach opuścić ze trzydziestu złotych.

Zamysliłem sobie.

-Poproszę taki sam komplet książek, jak ten, który kupiła - powiedziałem zdecydowanie.

-Zapisać ci ich tytuły - powiedział - I poszukaj w bibliotece. Ja wiem, że masz przy sobie kartę płatniczą, ale to dla ciebie zbyt poważna suma.

-Skąd ona może pochodzić? - zapytałem.

-Z Ukrainy - odpowiedział błyskawicznie. - A w każdym razie ze wschodu. Jidysz, którym się posługuje, ma naleciałości rosyjskie i ukraińskie, musiała się go nauczyć może na podwórku, a może w szkole. Ale na pewno nie jest z naszych. My Żydzi wiemy, kto jest nasz a kto goj.

Pozegnałem się i wyszedłem.

Rozdział VII

Telefon Szefa * Sekrety Wawelu * Sala "Alchemia" * W cieniu żelaznej szubienicy * Książce Fryderyk i tragiczny los alchemika Honauera.

Powędrowałem powoli przez Stare Miasto. Odrobinę pobladziłem, ale po czterdziestu minutach zatrzymałem się przed bramą Biblioteki Jagiellońskiej. W tym momencie zadzwonił mi w kieszeni telefon komórkowy. Odebrałem. Szef.-No i co działałeś? - zagadnął.

-Kupiłem parę książek - pochwalilem się.

Westchnął.

-Pawle. Pytam czego się dowiedziałeś?

-O czym? - zdziwiłem się.

-Zdaje się, że wysłałem cie do pana Aarona po to, żebyś ustalił, jakie książki Sedziwoja kupił Storm.

-Ach, tak. Tak, oczywiście ustaliłem.

-I czego się dowiedziałeś? Coś ciekawego?

Zreferowałem mu przebieg rozmowy. Kiwał w zadumie głową, co słyszałem w postaci nasilających się i słabnących szumów.

-Dobrze - powiedział - Bądź za dwie godziny na Wawelu. Spotkamy się na takiej dużej ławce, na której widac zarysy fundamentów rzymskich i prerzymskich budowli.

-Czy coś się stało? - zaniepokoiłem się.

-Och, nic takiego - domyśliłem się jego uśmiechu. - Po prostu załatwiłem nam bilety wstępu do zakazanej strefy.

*

Dochodziła czternasta, gdy usiadłem na drewnianej ławeczce. Za plecami miałem bramę prowadzącą na Wawel, po lewej stronie Pietrzyła się malowniczo katedra oklejona

dziesiątkami kaplic i przybudówek. A przede mną rozciągała się laka, na której białym kamieniem odznaczały się ślady dawnej zabudowy. Rozpoznałem rotunde, pozostałości bazyliki i kwadratowa budowle będąca zapewne w czasach Chrobrego mennica państwowa. Nie siedziałem długo, Pan Samochodzik przyszedł po chwili w towarzystwie wysokiego młodzieńca mniej więcej w moim wieku.-Zbigniew - przedstawił się.

-Oprowadzi nas - wyjaśnił Szefer. - Czekamy jeszcze na kilka osób.

Po chwili ku swojemu zdumieniu spostrzegłem idące ku nam dwie dziewczyny. Obok Stasi kroczyła jej kuzynka. Poczulem nagły przypływ leku, ale stłumiłem go rozpaczliwym wysiłkiem woli. Szefer na ich widok uśmiechnął się dziwnie.

-Miałem już przyjemność panią poznać - powiedział kłaniając się starszej z dziewcząt. - A pani zapewne jest ta młoda dama, która mi sponiewierała pracownika.

-Należała mi się mała lekcja dobrego wychowania - urocze dziewczę poprawiło warkocz.
- Mam na imię Katarzyna. Słyszałam swojego czasu o panu...

Przewodnik odchrząknął niesmiało, żeby zwrócić naszą uwagę.

-Proszę za mną - powiedział poważnie.

Ruszyliśmy i niebawem zagłębilismy się w cień palacu. Wdrapaliśmy się po schodach na pierwsze piętro.

-Zasadniczo ta część Wawelu wyłączona jest z ruchu turystycznego - powiedział. - Traktujemy te pomieszczenia trochę jak magazyn.

Weszliśmy do pierwszej z sal.

-W tej amfiladzie mieściły się prywatne pokoje Zygmunta III Wazy, z czasów przed przeniesieniem stolicy do Warszawy - wyjaśnił Zbigniew. - Tu był gabinet, tu zaś sypialnia.

Przeszliśmy przez krotki korytarz i znaleźliśmy się w sporej sali podpartej posrodku solidnym ceglany filarem.

-A to sala, w której chciał się pan znaleźć - przewodnik uklonił się w stronę pana Tomasza. - Ten pokój zwany jest Alchemia. Tu właśnie król w towarzystwie Mikołaja Wolskiego i Michała Sedziwoja oddawał się zakazanej przez Kościół sztuce hermetycznej. Tu także, jeśli wierzyć legendom, mistrz Twardowski wywoływał ducha Barbary Radziwiłłówny.

-To pomieszczenie nie pasuje mi architektura do pozostałych - zauważyłem - Mury są bardzo grube...

-Ta czesc skrzydla wschodniego powstala na skutek wchlonicia i czesciowego obudowania wiezy mieszkalnej zwanej Kurza Stopka - wyjasnil przewodnik.

Panna Stasia wedrowala wolno wzdluz scian, przypatrujac sie odslonietym ceglom. Nie wiem czego szukala, ale w kazdym razie gdy sie odwrocila, wygladala na rozczarowana.

-Cegly sa mocno porowate - zwrocil uwage Pan Samochodzik.

-Owszem - kiwnal glowa Zbigniew. - Na skutek jednego z eksperymentow wybuchnal pozar, ktory strawil te czesc zamku. Mury wytrzymaly ogien, ale cegly ulegly szokowi termicznemu, bo szalejacy ogien przekroczyl temperature wypalu.

-Mozna prosic o blizsze wyjasnienia? - zagadnela Kasia.

-Archeolodzy czesto sprawdzaja w ten sposob temperature, w jakiej wypalane byly garnki, ktorych skorupy znajduja. Dla jej okreslenia wypieka sie skorupe w specjalnym piecyku zaopatrzonym w termostat. Z chwila, gdy przekroczona zostanie temperatura, w ktorej garnek zostal kiedys wypalony, glina zaczyna puchnac i rozpurchla sie.

-Genialne - zauwazylem.

-Czy nic z pierwotnego wyposazenia nie zachowalo sie? - zapytala Stasia.

-Wlasciwie nic. Pozar skrzydla pochlonal wszystko. Przed pietnastu laty archeolodzy zalozyli wykop, tu pod tym oknem, na zewnatrz. Znaleziono wowczas bardzo ciekawa warstwe kulturowa potwierdzajaca przekazy, ze tu wlasnie krol bawil sie w robienie zlota. Warstwa powstala po pozarze. Resztki przypalonych grafitowych tygli, szklanych retort, mis i sloi na odczynniki, wyrzucone tym oknem, zwalono do jednego dolu i zasypano ziemia.

-Tygle z grafitu - powiedziala Stasia do kuzynki.

Ta skinela glowa.

-Pamietam - powiedziala.

Na jej twarzy takze goscilo rozczarowanie.

-W przyszłym roku szykują nam się bardzo ciekawe wykopaliska - powiedział nasz przewodnik. - Archeolodzy chcą odszukać pozostałości włoskich ogrodów założonych przez królową Bone.

-Ambitny plan - zauważył Pan Samochodzik. - Jak oceniają swoje szanse?

-Teren, na którym spodziewają się znaleźć relikty urządzeń ogrodowych, jest dość wysoki. Uniknął splantowania podczas zaborów. Z drugiej strony opisy ogrodów są raczej lakoniczne.

-Rozumiem - Szef westchnal i zamyslił się. - No coż, dziękujemy za oprowadzenie...

Nasz przewodnik sklonił głowę, a potem pożegnał się i odszedł. Zostaliśmy we czworke.

-Po co wam piecyk? - zapytał Szef łagodnie.

Kasia uśmiechnęła się lekko. Spostrzegłem na jednym z jej policzków zatarta blizna.

-Minęły czasy żelaznej szubienicy - powiedziała. - Chcemy spróbować...

Jej kuzynka syknęła gniewnie.

-Pożegnamy was - powiedziała. - Może wkrótce znowu się spotkamy, choć szczerze mówiąc wolalibyśmy, abyście opuścili Kraków i nie pojawiali się tu więcej. Zapewne macie jakieś własne zadania i ciekawsze zajęcia, niż przekopywanie tego miasta w poszukiwaniu całkowicie wam zbędnych ksiąg.

Dygnęły ładnie i oddaliły się z godnością.

-O co chodziło z tą żelazną szubienicą? - zapytałem.

Uśmiechnął się lekko.

-A jak ci się wydaje?

-To miała być zakamuflowana pogrozka?

Rozesmiał się.

-Ech Pawle, Pawle, przyznaj się, cierpisz na manie przesładowcza?

-To co ona w takim razie chciała przez to powiedzieć?

-Och, to bardzo stara opowieść - uśmiechnął się Szef. - Ale jeśli masz ochotę posłuchać...

Usiedliśmy na niewielkiej drewnianej ławeczce. Szef wyjął z kieszeni paczkę papierosów, policzył je i schował z powrotem.

-A więc na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku niewielkim niemieckim Księstwem Wirtembergii ze stolicą w Stuttgarcie rządził wyjątkowo ambitny typ o imieniu Fryderyk. Książe, trzeba mu to przyznać, był człowiekiem wykształconym. Zajmował się biologią, geologią, kartografią... Niestety w pewnym momencie jego ścisły umysł zbiecował w kierunku manowców Alchemii. Książe wierzył szczerze w możliwość transmutacji metali i sądził, że w ten sposób zdola zgromadzić nieprzebrane bogactwa. W miasteczku Gross-Sachsenheim wzniesiono na jego polecenie całe alchemiczne miasteczko. Przebywali tam hermetycy i laboranci ściągani z całej Europy. Zagwarantowano im całkowitą swobodę

badan, przyznano spore sumy pieniedzy oraz zapewniono stosowna ochrone prowadzonych prac. Pierwsi, ktorzy zdemaskowali jako oszustow, wyladowali w wiezieniu. Niestety, a moze na szczescie dla praworzadnosci, kolejni mieli mniej szczescia. Nadworny alchemik ksiecia Grzegorz Honauer obiecal wladcy przemienic w zloto 25 cetnarow zelaza. Sadze, ze chodzi tu o cetnary pruskie z ktorych kazdy wazyl okolo 51 kilogramow .

-Ponad tysiac dwiescie piecdziesiat kilogramow - policzylem.

-Honauer zabral sie do rzeczy z duza pomyslowoscia. Do kotla wrzucono spora ilosc metali nieszlachetnych. Nastepnie dodano szczypte czerwonej tynktury, czyli wlasnie Kamienia Filozoficznego. Wszyscy opuscili komnate, a wladca wlasnorecznie zamknal drzwi na klucz. Nastepnego dnia rankiem przybyli i otworzywszy zamki zbadali zawartosc kociolka. Jak sie okazalo, wypelniony byl do pewnej wysokosci zlodem bardzo wysokiej proby. Alchemik wymowil sie od natychmiastowej produkcji kolejnych partii kruszcu, argumentujac zwloke koniecznoscia pomnozenia zapasow Kamienia Filozoficznego. Poniewaz ksiazce naciskal, pewnej nocy mistrz ulotnil sie, zabierajac ze soba jednego z kolegow po fachu, ktoremu grozilo takze zdemaskowanie.

-Jak odkryto jego matactwa? - zaciekawilem sie.

-To proste. W pracowni stala spora skrzynia na papiery. Wewnatrz oszust ukrywal malego chlopca, ktory po zamknieciu drzwi wydostal sie i usunawszy z kotla metale nieszlachetne wypelnil go zlodem. Nastepnie ponownie ukryl sie w skrzyni. Po wyjezdzie mistrza zaczal "sypac".

-Sam dalbym sie nabrac - usmiechnalem sie.

-Ksiazce nakazal scigac zbiegow. Natrafil na ich slad u swojego sasiada, hrabiego von Schamburga, w Oldenburgu. Mozna powiedziec, ze wiezniowie wpadli z deszczu pod rynne, bo nowy opiekun usilowal za wszelka cene wydrzec im tajemnice przemiany ołowiu w zloto... Ostatecznie wydal ich dotychczasowemu mecenasowi. Honauerowi udowodniono oszustwa na laczną sume blisko dwiescie tysiecy talarow, co bylo niewyobrazalnym majatkiem. Skazano go po dlugim procesie na uciecie reki, a nastepnie powieszenie. Ksiazce nie poskapil gorsza. Kazal zbudowac wspaniala trybune honorowa, a z zelaza, ktorego pechowy adept sztuki tajemnej nie zdoal zamienic w zloto, wykonano zelazna szubienice dziewieciometrowej wysokosci. Co ciekawe, odlano ja w jednym kawalku, co samo w sobie stanowic musialo szczytowe osiagniecie owczesnej mysli technicznej. Ogolem stracilo na niej zycie co najmniej pieciu oszustow parajacych sie szlachetna sztuka drenazu ksiazcezej kieszeni przy pomocy Kamienia Filozoficznego...

-Czyli mowiac, ze minely czasy zelaznej szubienicy, miala na mysli, iz niepowodzenie w tym przypadku nie przyniesie wiekszego zagrozenia - mruknalem.

Usmiechnal sie.

-Najwazniejsze, to byc po odpowiedniej stronie szubienicy - powiedzial powaznie.
Chodzmy do miasta, bo cos zglodnialem.

Ruszyliśmy w dol po stoku, pozostawiajac za soba Wawel.

Rozdzial VIII

Spryt krakowskich robotnikow * Oceniamy szanse * Gdzie ukryc ksiege * Tradycyjne pochowki * Co czytala Stasia * Najwieksi frajerzy pod sloncem

Siedzielismy w niewielkim lokaliku, urzadzonym w jednej z licznych krakowskich piwnic. SzeF w zadumie spozywal parowki, ja zadowolilem sie solidna porcja frytek.-Ladnie tu - powiedzialem, patrzac na wymurowane z gotyckich cegiel sciany.

Na wypalonej glinie odznaczaly sie jeszcze wglebienia pozostawione przez palce ceglarzy sprzed pieciuset lat.

-Ladnie - potwierdzil SzeF. - To mi przypomina opowiesc o sprycie krakowskich robotnikow.

-Z przyjemnoscia poslucham - usmiechnalem sie.

-A wiec pewnego razu inwestor kupil sobie, a moze wynajal, taka piwnice by urzadzic w niej lokal gastronomiczny. Kupil okazji, w ciemno. Niestety, jak sie na miejscu okazalo, w piwnicy na podlodze lezal glaz, co najmniej pieciotonowy, gigantyczny, szeroki... Przed urzadzeniem lokalu nalezaloby go jakos usunac. Pierwsza mysla inwestora bylo wyciagniecie go przez drzwi. Ale wejscie bylo wazkie, a glaz, jak juz wspomnialem, bardzo ciezki i odrobine zbyt szeroki. Wybicie dziury w stropie i wyciagniecie go za pomoca dzwigu nie wchodzilo oczywiscie w gre, bo piwnica byla, podobnie jak ta, zabytkowa. Co ty bys zrobil na miejscu inwestora?

-No coz. Przynioslbym z samochodu pile ultradzwiekowa i...

-Uscislijmy, slyszalem te historie ze dwadziescia lat temu.

-W takim razie poszedlbym do kamieniarzy, do tych, ktorzy robia granitowe nagrobki. Przyszli by tu na miejsce i przecieli kamien na mniejsze kawalki tarcza karborundowa.

-Jest to pewien pomysl. Ale to zdaje sie wymaga chlodzenia woda, uzycia poteznego agregatu pradotworczego...

-Wystarczy 360 wolt. Agregat mozna ustawic na ulicy...

-Inwestor nie wpadl widocznie na ten pomysl. Zgaduj dalej.

-Uzyc materialow wybuchowych - ugryzlem sie w jezyk.

-Materialow wybuchowych - usmiechnal sie Szef. - Masz do dyspozycji trotyl i dynamit. A raczej nie masz do dyspozycji, bo za socjalizmu materialami wybuchowymi dysponowac moglo tylko panstwo, a nie prywatne firmy rozbiorkowe.

-No nie wiem. Metoda egipska. Wywiercic rowy, wbic drewniane kolki, zalac woda i poczekac, az peczniejsze drewno rozsadzi kamien.

-Czyli witamy za dwa tygodnie. O ile rozsadzi. Egipcjanie lupali w ten sposob piaskowiec i wapien, a tu glaz byl granitowy.

-Przeciez uzywali granitu? - zdumialem sie.

-Tak, ale odcinali go za pomoca miedzianych pil - usmiechnal sie

Ja tez sie usmiechnalem.

-Przeciez miedziana pila trudno ciac nawet drewno - powiedzialem.

-Poniekad masz racje. Miedz jest istotnie nieco zbyt mielka aby obrabiac nia kamien. Dlatego posypywali pod nia drobno pokruszone kawalki bazaltu lub radiolarytu. Kamyki wbijaly sie w metal i powstawalo cos w rodzaju pilnika.

-A jak poradzil sobie inwestor?

-Ano siedzial i dumal, a wtedy podszedl do niego robotnik i obiecal za kilka tysiecy zlotych, co wowczas bylo przypuszczam dobra tygodniowka, poradzc sobie z tym problemem, i to przez jedna noc.

-I udalo sie?

-Oczywiscie. Gdy rano inwestor wszedl do piwnicy, po kamieniu nie bylo nawet sladu.

-Jak oni to zrobili?

-Biznesmen tez chcial sie dowiedziec i robotnik za drugi plik banknotow wyjasnil. Rozebrali podloge, wykopali dziure, wrzucili kamien i zasypali.

-Polak potrafi - powiedzialem w zadumie.

-To prawda - usmiechnal sie. - Najwazniejsze, to wykazywac sie pomyslowoscia i prawidlowo wyciagac wnioski.

-Sadzi pan, Szefie, ze uda nam sie odnalezc "Niema Ksiege" wczesniej, zanim te dwie mile dziewczyny trafia na nia pierwsze?

-Czy uda sie? - zastanowil sie chwile. - Sadze, ze istnieja pewne szanse... Sprobuj

postawic sie na miejscu cadyka Storma. Idzie wojna, albo jeszcze gorzej, juz jest wojna. Zostales zamkniety w gettcie. Musisz za wszelka cene ukryc unikatowy starodruk, czy tez raczej nalezy powiedziec inkunabul, bo to slowo pasuje lepiej do ksiaz sprzed 1500 roku...

-Wszystko zalezy od tego, kiedy doszedl do wniosku, ze musi ukryc ksiege. Jesli wpadl na ten pomysl przed wojna, ewentualnie przed zamknieciem getta to mogl oddac ja na przechowanie znajomemu Polakowi, lub zdeponowac w skrytce bankowej.

-Tego raczej nie zrobil. W czasie pierwszej wojny swiatowej najezdzczy rozpruwali depozyty bankowe rabujac zawartosc. Wobec tego mogl ukryc u znajomych lub w skrytce na terenie miasta. Na przyklad w katolickim kosciele. Widzialem kiedys film, gdzie przestepcy zrabowane medale schowali pod obluzowana deska konfesjonalu.

-No coz, pozostaje zastanowic sie czy cadyk chodzil do kina. Wlasciwie dlaczego by nie? Religia mu chyba nie zabraniala... Ale ten film to chyba dosc swieza produkcja?

-No niestety...

-Wobec tego zalozmy dwa warianty: po pierwsze ukrycie ksiegi przed wojna. Po drugie w czasie wojny. Do pierwszego wariantu mamy dwie mozliwosci. W miescie, lub u zaufanego czlowieka. A w czasie wojny?

-No coz. Na terenie getta nie mial zbyt wielu mozliwosci. Po pierwsze skrytka w domu, co jednak wykluczyla badania muzeum przed przystapieniem do remontu. Po drugie u kogos zaufanego, tylko kogo mogl wytypowac? Zapewne domyslal sie, ze czeka ich prawie wszystkich smierc. Chyba, ze jako belszen-tow, cudotworca, byl w stanie okreslic kto przezyje wojne...

-Tu juz zapuszczamy sie troche za daleko - usmiechnal sie Szefer. - Jeszcze troche, a sciagniesz tu Ignacego Rzeckiego i puscisz tropem ksiegi... Zachowajmy umiar i racjonalizm myslenia.

-Dobrze. Nie ukryl tego zapewne w zadnej z synagog, bo w getcie przebywali takze Zydzi wysiedleni z Trzeciej Rzeszy; musieli opowiadac, jak Niemcy niszczyli tam slady zydzkiej kultury. Wykonanie skrytki w jakimms miejscu publicznym raczej nie wchodzi w gre... Mam pewien pomysl - zapalilem sie. - A gdyby tak na cmentarzu? Ludzie marli tu z glodu, brakowalo lekarstw na najbanalniejsze choroby. Umiera ktos z mieszkancow jego domu. Wiec cadyk umieszcza w trumnie ksiege. Po wojnie wystarczy, ze odnajdzie grob, dokona ekshumacji zwlok...

-Dobrze, a teraz sam zastanow sie nad bledami swojego rozumowania. A popelniles co najmniej trzy.

-Hmm...

-Po pierwsze, Żydzi najczęściej obywali się bez trumien. Tradycyjny pochówek wyglądał tak, że zwłoki zawija się w całun. Ale przyjmijmy, że krakowscy byli nieco zasymilowani i grzebali się w trumnach. Teraz drugi problem. Tu było getto, więc były poważne problemy z opalem. Skądinąd wiem, że w takich przypadkach ludzie palili meble, rozbierali parkiet, wylamywali belki na strychach, wyrywali podłogi... Marnować deski na trumne? Wracamy więc do całunu. Po trzecie nawet zakładając, że zrobili trumne, to jak odnaleźć później ten grób? Niemcy zakazywali wystawiania macew. Były też problemy z kamieniem. Nawet, jeśli hipotetycznego nieboszczyka pogrzebano w grobowcu rodzinnym, to istniało ryzyko, że hitlerowcy wcześniej czy później zniszczą cmentarz. Wystarczyłoby, że by zabrali nagrobki. I szukaj wiatru w polu. Po piąte nie wiem, czy nawet cadykowi pozwolono by naruszać spójność zmarłych. Po szóste wreszcie, księga musiałaby przeleżeć w grobie przez kilka lat. Musiałby ją bardzo starannie zabezpieczyć.

-Czyli mój pomysł jest do niczego - westchnąłem.

-Nie koniecznie. Mogł zakopać księgę na cmentarzu, albo ukryć ją w którymś z grobów, tylko zastanówmy się nad takim problemem. Czy ukrywał to dla siebie czy dla potomności?

-Mógł przypuszczać, że nie przeżyje wojny - zawyrokowałem. - W takim przypadku pozostawiłby wskazówkę, umożliwiającą dotarcie do księgi. A być może także do innych skarbów z jego biblioteki.

-Właśnie. Ciągłe zastanawiamy się nad miejscem ukrycia jednego dzieła, a przecież było ich więcej.

-Cała trumna książek?

-Albo wiele oddzielnych skrytek. Natomiast wskazówka umożliwiającą dotarcie do tych skarbów piśmiennictwa... Przypuszczam, że nasze drogie przeciwniczki dotarły do niej, ale nie wiedzą jak ją ugryźć.

-Szyfr?

-Właśnie. Szyfr. Przecież takich rzeczy nie pisze się wprost. Tylko gdzie go przeczytały?

-Odnajdźmy je i zapytajmy - zaproponowałem. - Skoro same nie są w stanie go złamać, to niech udostępnią nam. Może my zdołamy go rozgryźć, a potem kto pierwszy dotrze do kryjówki, ten lepszy.

-Nie sądzę, żeby się zgodziły. Nie zapominaj, że dla nas to tylko intelektualna zabawa, a dla nich jedyny znany im sposób dotarcia do atankatora. I to sposób bardzo niepewny. Nie będa chciały pozbyć się nawet tej niewielkiej przewagi.

-Musimy jakoś je przechytryć. Stanisława kupiła w antykwariacie dziesięć książek. Może w nich znalazły jakiś ślad.

-Wyglada mi to nieciekawie, ale nie mozna zlekcewazyc tego tropu - SzeF wytarl usta serwetka. - Wobec tego gnaj do Biblioteki Jagiellonskiej. Zobacz, co da sie zrobic.

Kiwnalem glowa i poszedlem.

*

-Oto zamowione ksiazki - bibliotekarz podal mi spory stosik oprawionych tomikow. - I prosze wpisac sie do ksiazki czytelnikow. Na rejestrze lezal czarny dlugopis. Wpisalem sie na wolnym miejscu. Machinalnie rzucilem okiem na strone i nieoczekiwanie moja uwage przykul wpis wykonany, sadzac po dacie, poprzedniego dnia. Od pozostalych odroznil sie kolorem. Ktos poslugujac sie wiecznym piorem naniosl swoje nazwisko. Stanislaw Kruszevska. Rzucilem okiem w nastepna kolumne i zapamietalem tytul dzieła, z ktorego korzystala.

-Czy dostane tu czysty blankiet rewersu? - zapytalem, a otrzymawszy takowy nanioslem nan pospiesznie dane.

Siadlem i w oczekiwaniu na najnowsze zamowienie przegladalem ksiazki. Tylko w jednej byl indeks osob, ale nie znalazlem zadnego Storma. Zaczalem kartkowac tomiki, przelatujac tekst wzrokiem, tak jak tego uczyl mnie kiedys ojciec. Mialem nadzieje, ze mignie mi gdzies nazwisko cadyka i niebawem je znalazlem. Autor wspominal, ze przed samym wybuchem wojny Salomon Storm mial wizje wyludnionego Kazimierza. Szukalem dalszych informacji, ale nic wiecej nie znalazlem. Byc moze po prostu kartkujac przegapilem nazwisko. Minela godzina.

Udalem sie do stanowiska dyzurnego odebrac zamowione materialy. Oblozony w tekturowe okladki "Midrasz" - zydowskie czasopismo mlodziejowe. Czego mogla szukac wewnatrz tajemnicza Stasia? Siedzialem i w zadumie kartkowalem kolejne zeszyty. Nieoczekiwanie natrafilem na artykul. Wlosy stanely mi niemal deba, a oczy wyszly z orbit.

Z otwartym numerem w rece poszedlem do dyzurnego.

-Czy istnieje tu mozliwosc wykonania ksero?

*

Gdy wszedlem do pokoju hotelowego, SzeF siedzial na lozku i studiowal w zadumie kupiona przeze mnie ksiazke o Sedziwoju. Na moj widok odlozyl ja.-Co sie stalo? - zapytal. - Wygladasz, Pawle, jakbys zobaczył ducha.

-Jestesmy, Szefie, największymi frajerami pod sloncem.

-No, nie wszyscy - zaprotestowal z godnoscia. - Czego sie dowiedziales?

-Prosze - podalem mu odbita na ksero kartke.

-"Pracownicy Zydowskiego Instytutu Historycznego dokonali w ostatnich dniach badan naukowych w tunelu laczącym Stare Miasto w Warszawie z Fortem Legionow. Zima ubiegłego roku dwaj pracownicy Ministerstwa Kultury i Sztuki, Pawel Daniec i Tomasz NN., odnaleźli wejście do korytarza, kryjącego przedwojenny depozyt skarbow Muzeum Narodowego. W jednym z bocznych odgalezień natrafili na kryjowke z czasow drugiej wojny swiatowej, a w niej zwloki mezczyzny i pewna ilosc rytualnych judaikow. O znalezisku powiadomili gmine zydowska w Warszawie. Przeprowadzenie badan do czasow skatalogowania i zewidencjonowania odkrytego skarbu bylo powaznie utrudnione. Dopiero w zeszlym tygodniu do kryjowki dopuszczono pracownikow Instytutu. Na miejscu w lochu znajdowal sie szkielet mezczyzny lat okolo czterdziestu. Znaleziono przy nim kilkanascie przedmiotow rytualnych, oraz ksiege "Sefer Jecirach" pochodzaca z czternastego wieku, spisana zapewne w kregu chasydow szkoły renskiej. Manuskrypt przetrwal w ogolnie niezlym stanie. Jest to najstarszy egzemplarz tego dzieła znajdujacy sie na terenie Polski. Dzieki ugodzie z MKiS przeszedl na własnosc Bibliotki Narodowej, zostanie jednak przekazany w depozyt Instytutowi. Ekslibris po wewnetrznej stronie okladki pozwolil zidentyfikowac właściciela ksiazki - cadyka Salomona Storma z Krakowa. Ostatnia strona pokryta jest notatkami, poczynionymi zapewne przed smiercia przez ukrywajacego sie. W kryjowce odnaleziono takze siedemnastowieczna lampe chanukowa, ozdobiona po drugiej stronie dedykacja. Takze ona potwierdza tozsamosc zmarlego. W chwili obecnej trwaja proby odczytania notatek, co byc moze pozwoli ustalic okolicznosci smierci cudotworcy" - przeczytal Szef. - No, to zesmy sobie Pawle sami grob wykopali. Kiedy to opublikowano?

-Prawie rok temu. A nasza droga przeciwniczka czytala to wczoraj.

Szef popatrzył na zegarek.

-Dochodzi osiemnasta. Pewnie juz nikogo nie złapie, ale trzeba spröbowac.

Wyjal z kieszeni notatnik i dluzsza chwile szukal numeru telefonu. Wreszcie ujal w dlon sluchawke. Wyszedlem, zeby zapewnic mu konstytucyjne prawa poufnosci rozmow. Wrocilem po dziesieciu minutach. Szef wygladal na zmeczonego.

-Co sie udalo ustalic?

-No coz. Zazadalem, zeby nie udostepniali ksiegi nikomu, ale spoznilem sie. Dwadziescia minut temu pojawila sie u nich sympatyczna blondynka z warkoczem i wymachujac jakims upowaznieniem poprosila o wykonanie kserokopii ostatniej strony. Zrobili jej na poczekaniu. Poprosilem, zeby zeskanowali i poslali nam poczta elektroniczna.

-Jak mogla byc jednoczesnie w Krakowie i tam? - zdziwilem sie.

-To proste. Pociag z Krakowa jedzie do Warszawy niecale trzy godziny. Obejrzaly z nami ekspozycje, a potem obie, albo tylko jedna z nich wskoczyla do pociagu i zdazyla wykonac

ksero. Na Wawelu bylismy o pierwszej. Na szesnasta mogla byc juz w stolicy.

-Wyprzedzaja nas, Szefie.

-Nigdzie nie jest powiedziane, ze ksiega kryje tajemnice miejsca ukrycia biblioteki -
usmiechnal sie.

Zamyslilem sie, a potem popatrzyłem na zegarek.

-Chyba wybiorę sie na dworzec - powiedziałem.

-A to po co?

-Dedukuje, ze panna Kasia, bo to ona nosi warkocz, wroci pociagiem, ktory z Warszawy
odchodzi okolo osiemnastej, a tu jest kolo dwudziestej pierwszej.

-Tak bardzo chcesz znowu dostac lomot?

-Poprosze, zeby udostepnila mi ksero.

-Zly pomysl - pokrecil przeczaco glowa. Przeciez jutro tez bedziemy je mieli.

-Przez noc moga zlamac szyfr, a rankiem udac sie na cmentarz i wykopac skrzynie.

-Popelniasz podstawowy blad. - usmiechnal sie. - Zalozyles, ze to jednak zostalo
zakopane na cmentarzu. Brak ci elastycznosci myslenia. Za bardzo przywiazujesz sie do
hipotez, ktore moga byc bledne...

-A pan, Szefie, popelnia blad wyraznie lekcewazac przeciwnika.

-Wszyscy popelniamy bledy - usmiechnal sie. - Mozliwe, ze one takze...

Polozyliśmy sie spac.

Rozdzial IX

Lamiemy szyfr * Testament Storma * Kim byl Eugeniusz Kwiatkowski * Zaginiony komplet
mebli * Antykwariat przeciwniczek * Kupuje krzeslo.

Rzesisty, jesienny deszcz zacinal w szyby. Wewnatrz muzeum bylo jednak cieplo i sucho.
Podawalismy sobie z rak do rak wydruk.

-To zupełnie nie ma sensu - powiedział Szef z westchnieniem. - Garsc przypadkowych
hebrajskich liter...-Moze, gdy to pisal, byl oblakany? - zasugerowalem. - Jesli siedzial pod
ziemia tyle czasu, mogl zwariowac.

-Nie znam zadnej choroby psychicznej, która objawiałaby się pisaniem poszczególnych liter.

-A może trzeba odczytać tylko niektóre?

-Mam - powiedział Szef. - próbowałem to czytać od prawej do lewej, jak hebrajski, a tymczasem to zapisano normalnie... I to w dodatku po polsku, tylko hebrajskim alfabetem. A więc...

"Ja, Salomon Storm, cadyk i belszen-tow, pisze to w godzinę mojej śmierci. Moje życie kończy się, więc pisze prawdę, choć nie stoję na swojej ziemi. Nie wiem, kim jesteście wy, którzy czytacie te słowa, ale widziałem w przebłysku daru jasnowidzenia, że jest was piecioro. Widzę znowu wyludniony Kazimierz, gdzie tylko wiatr hula po ulicach. Jeśli wasze intencje są czyste, być może uda wam się dotrzeć do tego co ukryłem. Tego, co najcenniejsze, strzec będzie Eugeniusz Kwiatkowski. Jeśli uda wam się go odnaleźć, być może rozwiążecie też zagadkę mojego poprzednika alchemika Sedziwoja. Albo też nie uda się. Jeśli taka będzie wola Boga..."

-No ładnie - mruknąłem. - A więc potwierdziły się moje przypuszczenia i książki powierzył swojemu przyjacielowi.

-To z jednej strony ułatwia, a z drugiej komplikuje sprawę - powiedział Szef. - Ale czeka nas dużo pracy. Kwiatkowskich w Krakowie może być nawet z tysiąc. Trzeba ustalić, czy ten Edmund jeszcze żyje. A jeśli nie, to czy żyją jego potomkowie. Rozdzielimy się. Ja pojedę pogrzebac w księgach meldunkowych w urzędach gminy, a ty Pawle, sprawdzisz go w starych książkach telefonicznych, choroba, mógł nie mieć telefonu... W archiwum powinni mieć księgi meldunkowe z czasów wojny i przedwojenne. Jeśli to przedstawiciel starej krakowskiej rodziny, to jego potomkowie nadal mogą mieszkać w tym samym miejscu.

Rozdzieliliśmy się.

Deszcz na szczęście ustal i gdy dochodziłem do budynku archiwum, już nie padało. W drzwiach prawie wpadłem na pannę Stasię. Wyglądała na zadowolona z siebie.

-Ach, co za miłe spotkanie - zagadnąłem.

Uśmiechnęła się.

-A co pana tu sprowadza? - przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się trochę złośliwie.

-Ano szukam...

-...Eugeniusza Kwiatkowskiego - dokończyła za mnie. - Nie ma potrzeby, już go znalazłam. Ale nie powiem gdzie. Spędzisz wiele godzin, podczas których ja spokojnie dotrę na miejsce. Wracajcie do Warszawy. Szkoda waszego czasu.

-Pozwole sobie zachowac swoj odmienny poglad.

Wzruszyła ramionami i odeszła.

-Wiele godzin - usmiechnalem sie sam do siebie.

Wszedłem do dzialu udostepniania zbiorow.

-Chcialbym rzucic okiem w materialy, z ktorych korzystala przed kilkunastu minutami panna Stanisława Kruszevska - oswiadczylem zaskoczonemu archiwiscie. - Jestem jej przyjacielem...

-Leza jeszcze na stole - wskazal mi miejsce w czytelnii.

Usiadłem i przysunalem do siebie opasly tom. Na okladce czernily sie litery.

"Ksiega zamowien firmy stolarskiej E. Kwiatkowski i S-ka".

Dziesiec minut pozniej natrafilem na kilka stron rysunkow i opis kompletu mebli zamowionych w 1938 roku przez cadyka Salomona Storma.

*

-Meble - mruknal SzeF. - Komplet mebli.-Tak. Szafa, cztery krzesla, stolik, sekretarzyk i biurko. Firma zostala zlikwidowana w 1947 roku. Wlasciciele wyjechali do Ugandy.

-Choroba - mruknal SzeF. - Do Ugandy. Czy na rysunkach lub w kopiach zamowien byla jakas informacja o znajdujacych sie w tych meblach skrytkach?

-Niestety, ani slowa. Ale pewnie byly. W blacie biurka, w dnie szafy, w siedzeniach krzesel...

-Ciekawe, czy po wojnie Kwiatkowski nie probowal odszukac tych mebli. Zwroc uwage, Pawle. Wykonal je, wyposazyl w skrytki, mogl przypuszczac, ze Storm ukryl w nich jakies klejnoty. A bilet do Ugandy zapewne nie byl specjalnie tani. Z drugiej strony, jesli byla to solidna firma z tradycjami, to niewykluczone, ze etyka zabraniala mu prowadzenia takich poszukiwan.

-Co dalej? Jak odnajdziemy ten komplet?

-Chyba trzeba bedzie dac ogloszenie do prasy. I obleciec wszystkie antykwariaty handlujace starymi meblami. Rozpoznasz je?

-Tak. Mysle ze tak.

SzeF poskrobal sie po glowie.

-Kazimierz - mruknał. - Stare meble, albo po prostu meble porzucone lub pozostawione przez właścicieli. Chyba będziemy musieli przejść się do pana Aarona. Jeśli był zaraz po wojnie na Kazimierzu to nie da się wykluczyć, że oprócz książek rozglądał się także za innymi rzeczami.

Powędrowaliśmy. Deszcz już na szczęście nie padał. Zrobiło się znacznie chłodniej.

-Meble - powiedział w zadumie stary antykwariusz. - A jakże. Było tam sporo mebli. Część od razu wybrali sobie hitlerowcy, reszta została w mieszkaniach dłużej. Zaraz po wojnie rozszabrowano je.

-A te które zabrali hitlerowcy. Poszły do jakichś urzędów, czy do ich mieszkań? - zainteresowałem się.

-Nie mam pojęcia. Wybaczcie, ale to nie był dobry czas, żeby interesować się, co Niemcy robią z meblami. Bardziej martwiłem się o własne życie i bezpieczeństwo... Ale zaraz po wojnie działała tu taka komisja do spraw rezerw i surowców przejętych. Jeśli natrafili w jakimś opuszczonym mieszkaniu poniemieckim, albo w budynku urzędowym, na te mebelki, to na pewno je spisali, zabrali do magazynu, a potem poszły na użytek instytucji, albo różnych partyjniaków, co tu przyjechali w jednej kosczieli na plecach i z teczkami pełnymi instrukcji.

Szef kiwnął głową ze zrozumieniem.

-Tylko jak to teraz odszukać - westchnałem.

-Papiery komisji zabezpieczającej są zapewne w archiwum - uśmiechnął się starzec. - Jeśli wam się poszczęści, dowiecie się, gdzie trafiły. Jeśli były niezbyt ładne, ale solidnie wykonane, nadal mogą stać na przykład w gabinecie burmistrza, albo w jakimś innym miejscu.

Radzi nie radzi, wróciliśmy do archiwum.

Usiedliśmy w czytelni, wypisałem rewers. Dyżurny przeczytał go zdziwiony.

-Cos podobnego - powiedział. - Już druga osoba dzisiaj o to pyta.

Gestem wskazał mi stolik. Pod ciągle jeszcze leżącą księgą zamówień firmy Kwiatkowskiego znajdowała się gruba, opasła księga oprawiona w szare płótno. Otworzyłem ją.

-"Inwentarz ruchomości zabezpieczonych przez komisję zabezpieczającą mienie poniemieckie" - mruknał Szef. - Pawle, one znowu nas wyprzedzają.

-Muszą być albo bardzo inteligentne, albo też mają swoje źródła informacji -

powiedzialem. - Byc moze lepsze od naszych. No, to trzeba szukac.

Spis wykonano ulicami, wiec znalezienie Szerokiej nie zajelo nam duzo czasu.

-Jest - mruknal Pan Tomasz. - Komplet mebli. Dwa krzesla, stolik, biurko, sekretarzyk, biblioteczka. Przypuszczalny wlasciciel przedwojenny: Salomon Storm. Zabezpieczono 24 kwietnia 1945 roku, przekazano do magazynu nr 18.

-Trzeba ustalic jego adres - zapalilem sie.

-A co, sadzisz, ze ciagle tam stoja?

-W tym kraju wszystko jest mozliwe.

-Tu jest dopisek: decyzja nr 2367/843/1945 przekazano na uzytek PPR.

-Na uzytek. A oni to pewnie jakos sobie rozdysponowali - zauwazylem. - Niewykluczone, ze w ich archiwach znajdziemy informacje, komu to przekazano. Szeft podszedl do katalogu i dosc dlugo w nim grzebal. Potem dyskutowal z kierownikiem. Wreszcie wrocil zgnebiony.

-Nie jest dobrze - powiedzial. - Nie maja tu zadnych dokumentow PPR, ani PZPR. Co gorsza nie wiedza, gdzie mogly trafic.

-Zapewne archiwum przeejala SDRP, a teraz sa w SLD - blysnalem pomyslem.

-Wolisz chodzic po antykwariatach, czy wydeptywac czerwone dywany? - zagadnal Szeft.

-Po antykwariatach. Sadzi pan, ze nadal maja czerwone dywany?

-Sprawdze - usmiechnal sie.

Do wieczora chodzilem po antykwariatach. Wszedzie pokazywalem kserokopie rysunkow mebli Storma. Wszedzie zegnano mnie bezradnym rozlozeniem ramion. Zapadl zmierzch i chyba zanosilo sie na deszcz, gdy wracajac do hotelu w ciemnym zauлку kolo Rynku Starego Miasta spostrzeglem witryne jeszcze jednego sklepiku z antykami. Wszedlem. Dzwonek nad drzwiami brzeknal cicho, musial byc pekniety, bo jego dzwiek zabrzmial falszywie. Z zaplecza wylonila sie panna Kasia i obrzuciwszy mnie obojetnym spojrzeniem stanela za lada.

-Czym moze sluzyc? - zapytala, usmiechajac sie do jakichs swoich mysli.

-Szukam takich mebli - polozylem przed nia ksero.

Popatrzyla na nie obojetnie, a potem usmiechnela sie kacikiem ust. Na jednym policzku miala delikatna blizna.

-No coz - powiedziala. - Chyba moze cos dla pana zrobic.

Znikla na zapleczu; po chwili wrocila z krzeslem. Juz pierwszy rzut oka pozwolil mi stwierdzic, ze nalezy do kompletu.

-Ladne krzeslo. - zachecila. - Wyscielane wlosiem, angielskie sprezyny, pokryte prawdziwa kozia skora, oryginalna tapicerka i okucia...

-Ile kosztuje? - zaciekawilem sie.

-Czterysta zlotych - usmiechnela sie.

-Honorujcie karty platnicze?

-Oczywiscie.

Zaplacilem. Zawinela mi nabytek w papier i opakowala sznurkiem. Wracalem do hotelu jak uskrzydly. Gdy wszedlem do pokoju, SzeF siedzial przy stoliku i skrobal cos w zadumie na kartce.

-No i co dzialales?

-Wypatrzylem, gdzie rezyduja nasze przeciwniczki i kupilem krzeslo Storma - pochwalilem sie.

-Gratuluje. A jak inne meble?

-Zadnych sladow.

-Pokaz to krzeslo - usmiechnal sie.

Postawilem je na podlodze i odmotalem.

-Wyglada identycznie.

-Ma od spodu wypalony znak firmowy Kwiatkowskiego - zauwazylem. Zreszta pewnie by mnie nie oszukaly.

SzeF, ktory wlasnie zabral sie za wyciaganie gwozdzikow mocujacych skorzane pokrycie siedzenia, znieruchomial na chwile.

-Kupiles to u nich? - zapytal.

-Tak. Nasze drogie przeciwniczki maja maly antykwariacik kolo Rynku.

Usiadl i westchnal ciezko, a potem podal mi kombinerki.

-Wiesz co, Pawle. Czasami twoja glupota mnie po prostu przeraza.

-Co zrobilem zle? - zdenerwowalem sie.

-Nic, nic. Wyciagaj gwiazdki dalej. I jednocześnie ruszaj troche glowa. Moze wymyslisz cos sensownego.

Myslalem i wyciagalem, az doszedlem do konca. Podnioslem skore. Wlosie przestebnowano mocna nicia. Troche sie sfilcowalo przez te wszystkie lata. Pod spodem byly solidne angielskie sprezyny, a pomiedzy nimi lezaly dwie stalowe rurki. Unioslem pierwsza z nich i popatrzyłem przez srodek. Byla pusta. Druga tak samo.

-A teraz zgadnij, skad wzely unikatowy traktat Sedziwoja? - glos Szefa ociekal slodycza.

-Sprzedala mi wybebeszone krzeslo - jeknałem.

-Wlasnie. Sadze, ze to bylo tak. Trafily na krzeslo, zdjely tapicerke, znalazly jakies dwa, zwroc uwage ze rurki byly dwie, dokumenty lub starodruki. A teraz szukaja reszty mebli. Przypomina mi sie ksiazka Ilfa i Pietrowa "Dwanascie Krzesel". Tam byl komplecik krzeselek, dwanascie sztuk, a w jednym z nich mial byc ukryty skarb. A bohaterowie szukali poszczegolnych egzemplarzy po calej Rosji... Z tym, ze w naszym przypadku wszystkie meble moga kryc w sobie jakies skrytki.

Zabralem sie za mocowanie na miejsce obicia.

-Dziewczeta sa sprytne - powiedzial Szef w zadumie zapalajac papierosa. - Szkoda, ze graja po niewlasciwej stronie... Gdybysmy mieli wiecej funduszy, mozna by zaproponowac im etat u nas.

-Fakt, ze przypadkowo kupily sobie krzeslo kryjace wewnatrz bezcenny rekopis, sam w sobie nie jest jeszcze wyznacznikiem ich geniuszu - mruknalem wciskajac na miejsce ostatni gwiazdzik.

-To prawda. Ale nie zapominaj, ze umialy swietnie wykorzystac nasze znalezisko. Poszlismy lochem, znalezlismy nieboszczyka w kryjowce, poszlismy dalej, a tam byly skarby. Zlekcewazyliśmy cenny trop. I teraz mozemy sobie pluc w brode.

-Co gorsza nie wiemy, czy te dwie mile damy nie pruja wlasnie na zapleczu swojego antykwariatu kolejnego krzeselka.

-Czy daloby sie to jakos zbadac? - zainteresowal sie.

-Moglbym zalozyc im podglad - zaproponowalem. - Antykwariat dzieli od nas nie wiecej niz jakies trzysta metrow. Zaczepie im na przeciwnym budynku miniaturowa kamere wyposazona w niewielki nadajnik. Odbiornik umiescimy tutaj i podlaczymy chocby do

telewizora...

Szef przeciągnął się, aż mu w stawach zaskrzypiało.

-I ile to będzie kosztowało? - zapytał zniechęca.

-Jakies półtora tysiąca za nadajnik. Odbiornik powinien być tańszy. Kamerka kosztuje zaledwie dwieście złotych, choć nie jestem pewien, czy można podczepić ją bezpośrednio...

-Wystarczy - westchnął Szef. - Doceniam potęgę współczesnej techniki, ale ciągle koszty są trochę zbyt wysokie.

-Trzeba będzie rozwiązać ten problem prościej. I taniej.

-To znaczy? - unosił brwi.

-Umieszcimy na dachu naszego obserwatora - uśmiechnąłem się. - Żywego.

-Jeśli wejdiesz na dach i będziesz patrzył z góry, to zdejmie cię policja - westchnął Szef. - Obcowanie z Michaiłem podczas poszukiwania rubinowej tiary naruszyło chyba równowagę tej części twojego mózgu, która odpowiada za racjonalne myślenie.

-Przebiore się za kominiarza!

-I tak cię zdejmą. A wtedy stwierdza, że nie masz legitymacji i nie należysz do cechu. I będa problemy. To tak, jakbys się ubrał w policyjny mundur. Są na to odpowiednie paragrafy. Zresztą, właściwie sam się teraz zastanawiam, czy obserwacja sklepu ma sens. Przecież nie mamy żadnych podstaw, by podejrzewać, że dziewczęta są na tropie reszty mebelków...

-Ciekaw jestem, co mogło być w tej drugiej rurce.

-Może kiedyś się dowiemy - uśmiechnąłem się. - Na razie trzeba będzie wystosować pismo do wszystkich instytucji tego uroczego miasta.

-Pismo?

-Tak, w imieniu naszego Ministerstwa zwrócimy się z prośbą o wydanie wszystkich mebli, jeśli takowe znajdują się w ich posiadaniu.

-Do jakich urzędów chce pan je skierować? - zdziwiłem się.

-Urząd miasta, urzędy dzielnic, partie polityczne, szpitale, może jeszcze szkoły. Wszędzie, gdzie pracowali ludzie należący do partii, mogły trafić okruchy jej łupów.

-To będzie grubo ponad setka listów.

-Wiecej, zejdz do recepcji i wez od nich ksiazke telefoniczna. Napiszemy jutro w muzeum na komputerze i odbijemy na ksero, ale jak bedziemy mieli zaadresowane koperty to latwiej pojdzie rozsyłanie.

Z nesesera wyjal ryze kopert. Zdziwilem sie. Nawet takie rzeczy przewidzial. Chcac nie chcac, zabralem sie za adresowanie. Do polnocy sie wyrobilem.

Rozdzial X

Ponowna wizyta w twierdzy przeciwnika * Co mozna wydedukowac z niemej ksiegi * Jak sie robi lug * Arabscy alchemicy * Czy nasi przodkowie znali alkohol * Chrzest Rusi * Genialny pomysl.

Wrzucilem ostatnia z dwustu dziewiecdziesieciu osmiu kopert do skrzynki i zadowolony otarlem czolo z potu.-No, to jak dobrze pojdzie, juz jutro powinniśmy miec pierwsze wyniki - usmiechnal sie Szef. - A poniewaz chwilowo nie mamy nic innego do roboty, proponuje udac sie na przeszpiegi do twierdzy wroga.

-Jak pan sobie zyczy - usmiechnalem sie.

Weszliśmy do antykwariatu. Stasia, czytająca jakas ksiazke, odlozyla ja i popatrzyła na nas zdziwiona. Nieoczekiwanie usmiechnela sie domyslnie.

-I jak sie po nocy prulo krzeslo? - zagadnela. - Nie za duzo gwozdzi?

-Ciekawi nas, co bylo w tej drugiej rurce, zakladajac, ze w pierwszej znajdowal sie traktat Sedziwoja - powiedzial Szef.

Szaro - blekitne oczy ledwo dostrzegalnie blysnely. Czyzby z uznaniem?

-Traktat Gebera - powiedziala. - Siedemnastowieczna kopia, w dodatku z bledami.

Wyjela spod lady cienki zeszytik, skleiony z kart papieru formatu

mniej wiecej A5.

-Ciekawe, w ktorym meblu ukryta jest "Niema Ksiega".

-Sadze, ze w biurku - powiedziala powaznie dziewczyna. - "Niema Ksiega" jest dosc duza. Szescdziesiat stron wielkosc bloku rysunkowego. Mogli ja umiescic w blacie.

-Albo w dnie lub tylnej scianie biblioteczki - zauwazyl Szef.

-W biblioteczce nie - machnela reka w glab.

Stlumilem okrzyk. Poszukiwany przez nas mebel stał pod ścianą.

-Tam niestety nie było żadnej skrytki. W ogóle nie wiem, co stało się z większością eksponatów. Mebli było za mało. Pewnie ukrył to, co najcenniejsze, a reszta, co, szukaj wiatru w polu. Ciekawa jestem, gdzie ukrył klucz.

-Klucz? - zdziwiłem się. - do czego?

-Spis symboli, których użyto w "Niemej Księdze?" - zdziwił się Szeff. -

Przecież tam nie ma żadnych znaków...

Wyjęła z szuflady zwinięty papier z nadrukiem przedstawiającym trzy korony. Rozwinęła go i naszym oczom ukazał się duży, wyraźny miedzioryt.

-To jedna ze stron - wyjaśniła. - Kupiłam ten reprint w Szwecji. Tu jest znak.

Popatrzyliśmy uważnie. Na rysunku widac było ludzi przy pracy. W wielkim kotle ustawionym na palenisku, typowej średniowiecznej nalepie, gotowano jakieś szmaty. Pracowali w sporej sklepionej komnacie. Za ludźmi rysownik umieścił okno. Widac było kawałek krajobrazu i niewielkie drzewo ogarnięte płomieniami.

-Drzewo i ogień - mruknął Szeff. - A gdyby tak poprowadzić linię... Płomień drzewa, płomień paleniska - przyłożył linijkę. - A na samym dole, na jej przedłużeniu widzimy małą beczkę i przewrócony cebrzyk, z którego coś się wysypało. Co ty o tym sądzisz, Pawle?

-Nic mi to nie mówi, Szeffie - wzruszyłem ramionami.

-Za późno się urodziłeś - uśmiechnął się. Moim zdaniem, ta linia może być przypadkowa, ale to chyba należy interpretować jako pranie w lugu. Płonące drzewo, wygląda na jesion. Beczka, w której moczy się popiół i wiaderko, w którym został przyniesiony. Wreszcie kocioł, w którym gotują się szmaty.

-Lniane płótno wygotować w lugu - mruknęła.

-Co to jest lug? - jęknąłem.

-Swojego czasu, przed epoką proszków do prania, na wsiach używano go do prania - powiedział Szeff z westchnieniem. - Palono drewno z drzew liściastych. Popiół wsypywano do beczki i zalewano wodą. Na powierzchni cieczy pojawiała się wówczas warstwa wodorotlenków zasadowych. Głównie na bazie zasady sodowej... Zbierano ją łyżką i dodawano do prania. Była bardzo zręczna i niezłe radziła sobie z brudem. Zaraz po wojnie jeszcze to stosowano... Nie uczyli was w

komandosach, jak się robi pranie bez pralki i proszków?

-Jakos nie, mowili nam tylko o detergentach w tabletkach... - westchnalem. - A wiec na pierwszym obrazku pokazano, zeby zaopatrzyć sie w bardzo czyste szmatki...

-Niestety, na razie nie wiadomo, co jest na kolejnych - powiedziala Stasia w zadumie. - Ale moze uda sie nam tego dowiedziec.

-A czy nie moglo byc tak, ze ktos juz rozbebeszył biurko i wydobył z niego "Niema Ksiege"? - zapytałem.

Pokrecila przeczaco glowa.

-To zbyt rzadkie dzieło - powiedziala. - Nie utrzymalby w tajemnicy faktu jej odnalezienia. W chwili, gdy przekroczyłby drzwi antykwariatu, wiedzialoby o tym pol swiata.

-Zaniosl, a ktos zaraz przyszedl i to kupil. Albo antykwariusz schowal pod lade i zadzwonil do jakiegos amatora.

-To dzieło o unikatowej wartosci, a przy tym przedmiot westchnien wielu kolekcjonerow. Kazdy antykwariusz wystawilby ja na aukcje. Nawet, gdyby byla zamknieta, przeznaczona tylko dla waskiego grona bardzo bogatych, to i tak jakis przeciek musialby wczesniej czy pozniej nastapic. Przeciez skradzione w Bibliotece Jagiellonskiej dzieło Ptolemeusza "Cosmographia" zostalo zidentyfikowane, gdy tylko pojawilo sie w katalogu aukcyjnym. A nie jest unikatowe.

-Skoro z pierwszym obrazkiem poradzilismy sobie bez klucza, to moze rowniez kolejne uda sie jakos sforsowac? - zagadnal SzeF.

-Zakladajac, ze panska interpretacja jest prawidlowa - usmiechnela sie. - Ale wydaje mi sie, ze tak. Zreszta, ksiega jest dla nas tylko srodkiem do celu. To, co jest nam potrzebne, znajduje sie w magazynach kolekcji Czartoryskich.

-No coz, pojdziemy juz chyba - SzeF wstal z krzesla i obaj ruszylismy do wyjścia.

Zatrzymalismy sie na Rynku. Niebo przetarło sie troche i nie bylo juz tak potwornie zimno. Kamienne plyty byly wilgotne, jakby oblizane wielkim jezorem. Zmierzchalo sie. Poszlismy do hotelu, zjedlismy kolacje. Jeszcze jeden zmarnowany dzien...

-I co o tym powiesz? - zagadnal szeF wyciagajac sie na lozku.

-Sadze, SzeFie, ze chyba sklamala o tym Geberze. W drugiej rurce bylo cos innego.

-Tak. Ale dzieło Gebera rowniez. To zbyt rzadki druk, by dwa egzemplarze w tym miescie mogly pochodzic z roznych zrodel.

-Troche jakby stracila zainteresowanie ksiega. Rozgryzala z nami problem gotowania

szmat w lugu, ale jakby jej już to nie interesowało.

-Przypuszczam, że możesz mieć rację. Ale pamiętaj, co powiedziała na koniec. Księga to tylko środek. Ich celem jest zdobycie piecyka.

-Za pomocą piecyka chcą uzyskać Kamień Filozoficzny, aby produkować złoto. A za pomocą "Niemej Księgi" można robić złoto bez konieczności posiadania Kamienia Filozoficznego? - zagadnałem.

-Pawle, obudź się. Żyjemy w dwudziestym wieku!

-No tak - przytaknałem niechętnie. - Kim był ten wspomniany wcześniej Geber?

-To jedna z najważniejszych postaci w historii badań alchemicznych i poniekąd także chemicznych - uśmiechnął się Szef. - Żył w VIII wieku naszej ery. Dla arabskich alchemików nie był to dobry okres. Fundamentalisci religijni zakazywali badań w kierunku transmutacji metali, uważając je za sprzeczne z naturą. Powoływali się przy tym na Koran, więc kwestionowanie ich zakazów mogło się skończyć bardzo paskudnie. Mimo to wielu arabskich władców utrzymywało w tajemnicy niewielkie laboratoria, w których pracowali najczęściej greccy laboranci. Jednocześnie w niedawno podbitym Egipcie pozyskiwano miejscowych fachowców... Geber znalazł wiele podstawowych działań chemicznych. Opanował sztuki filtracji, destylacji i sublimacji. Z pewnością potrafił dokonywać krystalizacji roztworów, znalazł się na wytworzeniu kwasu solnego, siarkowego i azotowego oraz wody królewskiej - mieszaniny kwasów, za pomocą której można było rozpuścić złoto. Pozostawił po sobie około pięciuset prac z dziedziny alchemii, ale od razu muszę zaznaczyć, że tylko nieliczne z nich są jego autorstwa - zmrużył porozumiewawczo oko. - Większość powstała w XII i XIII wieku, gdy rozwinięta alchemia europejska poszukiwała na gwalt zapomnianej mądrości wcześniejszych wieków. Niektórzy uczeni przypisują Geberowi wynalezienie destylacji i otrzymywanie alkoholu w wysokich stężeniach, ale prawdopodobnie był on uzyskiwany już nieco wcześniej. Jak wiadomo, destylacja rozprzestrzeniła się po świecie i po dziś dzień żubne skutki nadużywania alkoholu widac na każdym kroku.

-Może i lepiej byłoby gdyby nigdy jej nie wynaleziono - mruknąłem.

Uśmiechnął się.

-Sądziś, że brak znajomości destylacji automatycznie oznacza, że nasi przodkowie, na przykład na dworze Mieszka czy Chrobrego, nie raczyli się mocnymi trunkami?

-Niby skąd mieli je mieć? - zdziwiłem się.

-Od arabskich, a ściślej rzecz biorąc chazarskich kupców. Przecież w dziesiątym wieku na nasze ziemie napływały towary ze wschodu, w skarbach z tego okresu pełno jest arabskich dirchemów. Wraz z kupcami mogła docierać wódka... A nawet jeśli tak nie było - nie

zapominaj, że islam jest religia, w której picie alkoholu jest surowo zakazane - to nasi przodkowie radzili sobie z tym problemem.

-W jaki sposób?

-Jak można uzyskać alkohol, na przykład z miodu pitnego, który był wówczas popularnym trunkiem?

Zamysliłem się.

-Skoro nie da się destylować, to może wymrozić. Jeśli zamrozamy ciecz, to najpierw zamrznie woda, a dopiero potem alkohol.

-Brawo. W ten sposób Ewenkowie i Samojedzi na Syberii wzmacniali kumys. Ale istnieje w historii naszej części Europy przynajmniej jeden epizod, w którym opilstwo władcy skierowało cywilizację na dobrą drogę.

-Zamieniam się w słuch.

-Na dworze Włodzimierza Wielkiego pojawiali się swojego czasu przedstawiciele aż trzech religii. Byli tam duchowni prawosławni przysłani przez cesarza bizantyjskiego, Chazarowie wyznający judaizm, przybyli z nad rzeki Kamy, oraz grupa wyznawców islamu. Władca, który miał poglądy dość monoteistyczne, zastanawiał się nad wyborem religii, która miała zastąpić pogaństwo. Najbardziej podobała mu się muzułmańska wizja raju, z tymi wszystkimi hurysami... Ostatecznie jednak zdecydował się na chrześcijaństwo, bo w islamie, jak już wspominałem, alkohol jest zakazany.

-A dlaczego nie wybrał judaizmu? - zainteresowałem się.

-Nie mam pojęcia. Może za dużo gustował w wieprzowinie? Czasem o drodze rozwoju całej części świata decydował przypadek...

-A zna pan historię listu Leszka Białego do Papieża? - postanowiłem się zrewanżować.

-Nie? Co to za historia?

-Przed mniej więcej stu laty w archiwum watykańskim znaleziono list od księcia. W jakiejś okoliczności życiowej władca słubował wziąć udział w krucjacie do Ziemi Świętej. W liście prosił Papieża o zwolnienie z tego słubowania.

-I jak to argumentował? Po twojej minie dedukuję, że to właśnie jest najciekawsze.

-Argumentacja była prosta. Władca nie był w stanie ruszyć na krucjatę do krajów, gdzie nie było piwa, bez którego nie potrafił się obejść.

Szef parsknął śmiechem.

-I co na to Papież? Ja na jego miejscu rzuciłbym klatwę i interdikt na cały kraj...

-Odpowiedz nie zachowała się, ale władca na krucjacie nie pojechał. Widocznie w Rzymie uznano go za wytłumaczonego...

Szef uśmiechnął się do swoich myśli. Niebawem położymy się spać.

*

Obudził mnie śmiech Szefa. Otworzyłem oczy i z trudem zogniskowałem wzrok. Stał przy oknie i patrzył na zasnuwane chmurami niebo uśmiechał się szeroko.

-Co się stało? - wymamrotałem, ciągle jeszcze półprzytomny.

-Wymyśliłem, Pawle, gdzie mogą być dokumenty majątkowe PPR-u - powiedział pan Samochodzik. - W nocy spłynęło na mnie natchnienie.

-Natchnienie to ważna rzecz - powiedziałem - Podobno Mendelejew także we śnie zobaczył swój układ okresowy pierwiastków.

-Ciekawe, czy ty byś się domyślił - uśmiechnął się Szef.

-No, nie wiem. Mogę prosić o jakąś wskazówkę?

-Jasne. Partia pozostawiła po sobie dług. Długi wobec skarbu państwa, państwowych firm i ZUS-u.

Zamysliłem się.

-Ktoś usiłuje je wyegzekwować? - zapytałem. - Przecież partii już nie ma, a SdRP i SLD odcięły się od niechlubnej przeszłości... Dziwna ta wskazówka. Nic mi nie przychodzi do głowy. Nawet jeśli ktoś ich podał do sądu, zresztą w jakim sądzie szukać materiałów z ich archiwum?

-Pawle, w kilku miastach wojewódzkich istnieją specjalne komisje zajmujące się odnajdywaniem składników partyjnego mienia i ich rewindykacją.

-Likwidator majątku byłej PZPR - rzuciłem odkrywco.

-Wstawaj, ubierz się, a potem gnaj do recepcji po książkę telefoniczną!

Po piętnastu minutach maszerowaliśmy dziarskim krokiem przez miasto. Likwidator Majątku byłej PZPR urzędował w niewielkim biurze, przerobionym chyba ze sklepu spożywczego, bo na tynku został jeszcze nie do końca zatarty napis informujący o kiszonych ogorkach. Weszliśmy. Zza biurka wstał starszy wiekiem, siwy mężczyzna.

-Nodar Tuszuraszwili - wyciagnal w nasza strone dlon.

My rowniez sie przedstawilismy.

-Prosze siadac - wskazal nam dwa krzesla. - Czym moze sluzyc wyslannikom Ministerstwa Kultury i Sztuki?

-Szukamy mebli cadyka Salomona Storma. W 1945 roku przekazano je na uzytek PPR-owi - wyjasnil Szef.

-Przekazano na uzytek, czy w uzytkowanie? - zapytal nasz gospodarz.

-Czy to takie wazne? - zdziwilem sie.

-Tak. Wedle owczesnej manieri sporzadzania takich pism "na uzytek" oznaczalo po prostu darowizne na rzecz tej instytucji. "Na uzytkowanie" zas oznaczalo, ze meble pozostawaly formalnie wlasnoscia skarbu panstwa.

Szef wyjal z kieszeni ksero i przeczytal.

-Na uzytkowanie.

-Znakomicie - usmiechnal sie nasz rozmowca. - No, to bedzie okazja do dokonania konfiskaty, o ile uda sie je odnalezc. Moga byc z tym problemy, minelo wiele lat...

Przeszlismy do rozleglego archiwum mieszczonego sie w glebi budynku. Kilku pracownikow wertowalo opasle skoroszyty.

-Mam tu cale archiwum partii - usmiechnal sie nasz rozmowca. - Mialo wyladowac na smietniku, ale przydaje sie. Dzieki tym papierom - potoczyl reka wokolo - mozna odnalezc niezwykle rzeczy. Na przyklad udalo sie ustalic, gdzie znajduja sie obrazy, wypozycone zaraz po wojnie z muzeum. Partia przetrzymala je dwadziescia piec lat, po czym uznala za swoja wlasnosc, zgodnie z zasadami prawa zasiedzenia... Przekazali je nastepnie roznym swoim ludziom, a oni czesc spieniezyli, a reszte mieli u siebie. A teraz sprzedaja mieszkania, by za to zaplacic - usmiechnal sie ponuro. - Meble...

Wyciagnal piec opaslych tomow i polozyl na stole.

-Jakie mialy numery ewidencyjne? - zapytal.

-Nie wiem. Tu jest tylko numer decyzji.

-Podaj.

Grzebal kilkanascie minut w ksiegach, az wreszcie odnalazl adnotacje o przyjeciu kompletu.

-No i mamy - usmiechnal sie. - Biblioteczka trafila do liceum im. Kopernika, reszta mebli do szpitala, a biurko przekazano towarzyszowi Speranskiemu.

-Na biurku zalezy nam najbardziej - usmiechnal sie Szef.

Gospodarz siadl przy komputerze i postukal w zadumie w klawisze.

-Niedobrze - mruknal. - Speranski zmarl przed dwudziestu laty. Ale mieszkal w partyjnym mieszkaniu.

Wyciagnal z polki opasly skoroszyt i wertowal go dlugo.

-Mieszkanie przekazali towarzyszowi Aulichowi, a ten sprytny sukinsyn wykupil je w 1988 roku na wlasnosc. Jesli biurko nadal tam jest, to chyba trzeba sie po nie wybrac - usmiechnal sie lekko. - Najpierw chyba jednak odwiedzimy liceum i zabierzemy biblioteczke.

-Juz jej tam nie ma - powiedzialem. - Widzialem ja wczoraj w antykwariacie.

-No to bedzie ich trzeba scignac za wyprzedaz majatku panstwowego - westchnal. - Co za narod. Wszystko ukradna... Szpital. Stolik, sekretarzyk, dwa krzesla.

-Jedno z krzesel tez juz trafilo gdzie indziej - wyjasnil Szef. - Akurat tak sie sklada, ze my je mamy.

-No to w droge.

Od tyłu do kamienicy przylegal niewielki parking. Zabralismy z niego rozklekotana furgonetke i ruszylismy przez miasto.

Rozdzial XI

Atak na twierdze biurokracji * Meble zdjete z ewidencji * Wizyta w kotlowni * Sekretarzyk od kompletu

W szpitalu poszlismy prosto do gabinetu dyrektora. Nodar wysunal sie na prowadzenie. Jego mina swiadczyla, ze ma spore doswiadczenie w szturmowaniu fortec biurokracji. Drzwi gabinetu dyrektora nie wygladaly specjalnie solidnie. Po prostu drzwi z plyty stolarskiej albo dykty, uszlachetnione poprzez oklejenie cienka warstewka forniru. Likwidator zastukal i nie czekajac na wezwanie wszedl do srodka. Za biurkiem, zagradzajac droge do dalszych pomieszczen, siedzial koszmarny babszytyl w wieku balzakowskim. Nodar zignorowal ja i ruszyl twardym krokiem w kierunku drzwi prowadzacych zapewne do kryjowki szefa.-A wy co za jedni? - wrzasnela baba. W jej glosie slychac bylo urazona urzednicza dume - Byliscie umowieni?

Nodar odwrocil sie w jej strone, rzucil miazdzacym spojrzeniem jak mlotem, po czym bez

słowa nacisnął klamkę i weszliśmy do właściwego gabinetu. Zza biurka poderwał się starszy mężczyzna w garniturze.

-A wy co tutaj... Bez zameldowania?

Nodar osadził go zimnym, bezlitosnym wzrokiem.

-Komisja likwidacji majątku byłej PZPR - powiedział spokojnym, rzeczowym tonem. -
Zadamy wydania mebli o numerach ewidencyjnych a/236/56, a236/57, a/236/58 i a/236/59!

Jednocześnie położył na biurku jakiś papier. Rozejrzałem się po gabinecie i natychmiast zlokalizowałem stolik stojący pod oknem. Naśladowując sposób załatwiania spraw przez Nodara, przelożyłem leżące na nim papiery na podłogę i postawiłem go w sztorc, aby łatwiej było złapać przy wynoszeniu. Pan Samochodzik też wczuł się w rolę, bo wykorzystując moment, gdy oburzony dyrektor zerwał się na równe nogi, wyciągnął spod niego krzesło.

-Gdzie drugie krzesło i sekretarzyk? - zapytał zimno Nodar.

Dyrektor dziwnie zmalal. To już nie był ten butny urzędnik, który jeszcze dwie minuty temu gotów był wyrzucić nas za drzwi.

-Nie mam pojęcia.

-Sprzedaliscie do antykwariatu - zagadnałem zyczliwie.

-Wyprzedasz majątku, będącego własnością skarbu państwa - uzupełnił ponuro likwidator.
- No, to beda trzy lata odsiadki. Paragraf 163 kodeksu karnego ustęp pierwszy.

-Nie wiem nic o żadnym sekretarzyku i krzesle - jeknął dyrektor.

Nodar popatrzył na niego zimnym, twardym wzrokiem po czym wyjął z kieszeni stoper.

-W ciągu pięciu minut mają się znaleźć meble, albo dokumentacja - powiedział.

Dyrektor rozpaczliwie rzucił się do telefonu i gdzieś zadzwonił. Rozmawiał z intendentem, zadal dokumentacji. Po chwili w drzwiach stanął niewielki, szczupły człowieczek z bardzo przestraszona miną. W rękach trzymał opasły skoroszyt. Wertowali go obaj przez chwilę, po czym dyrektor, odzyskując odrobine pewności, zaraportował:

-Drugie krzesło i sekretarzyk zostały zdjęte z ewidencji na skutek całkowitego zniszczenia podczas eksploatacji.

Pan Samochodzik popatrzył na niego spokojnie, choć zimno.

-To jak pan wyjaśni, że krzesło należące do tego kompletu, krzesło A/236/57 zostało

sprzedane w antykwariacie nie dalej jak wczoraj? Sa na nim nawet wasze numery ewidencyjne. Nasi technicy wyodrebnia odciski palcow.

Dyrektor i intendent wymienili zdziwione, falszywe, spojrzenia.

-Tu wyraznie napisano, ze zostaly spalone w kotlowni. Znajdowaly sie w stanie wykluczajacym remont.

-No, to trzeba bedzie sie przejsc do kotlowni - powiedzial ponuro Nodar.

Zeszliśmy po schodach. Po drodze dyrektor usilowal parokrotnie zabladzic, ale SzeF wypatrzył na scianie plan ewakuacyjny i matactwa urzednika zostaly przeciete w zarodku. Wreszcie stanelismy przed solidnymi drzwiami.

-Klucz - mruknal Nodar.

-Nie mam - zaskamlal dyrektor.

Intendent wylowil z kieszeni pek i przez dluzsza chwile szukal odpowiedniego. Wreszcie przekrecil w zamku i weszliśmy do sporej hali. Na wprost nas krolowal wielki piec gazowy, zapewniajacy ogrzewanie calemu szpitalowi. Obok milczaly rezerwowe generatory pradotworcze.

-To tak, panskim zdaniem, wyglada kotlownia, w ktorej pali sie niepotrzebne meble? - glos likwidatora ociekal slodycza.

Poczulem, ze dyrektor juz sie zalamal i teraz wystarczy go leciutko przycisnac, zeby calkiem sie rozsypal.

-Przyznaj sie, to krocej bedziesz siedzial - poradzilem mu zyczliwie.

-Zawiozlem do antykwariatu, tego samego co krzeslo - jeknal. - Dzisiaj rano...

Likwidator wyjal z kieszeni telefon komorkowy.

-Prokuratura? Prosze z panem Laziebskim. Moze pan wpasc do szpitala klinicznego? Nakaz aresztowania nie bedzie chyba potrzebny, przestepstwo gospodarcze, wyjatkowo paskudne...

Zostawilismy go na miejscu, a sami zabrawszy krzeslo i stolik wsadzilismy je do furgonetki. Po chwili dolaczyl.

-Podrzucimy to do naszego magazynu - powiedzial. - Tam sobie panowie spokojnie zbadaja...

Pojechalismy z powrotem. Jak sie okazalo, kolo siedziby likwidatora znajdowal sie rozlegly

magazyn na lupy. Stalo w nim kilkadziesiat popiersi Lenina, w stelazu tkwily dziesiatki obrazow przedstawiajacych bohatera przeszlosc i swietlana przyszlosc. Stalo tu tez sporo mebli, glownie biurowych. Wyjalem z kieszeni kombinerki i zabralem sie za wyciagnie gwozdzikow z obicia. Po kilkunastu minutach unioslem skore i wlosie. Pomiedzy sprezynami lezala jedna stalowa rurka, nieco zmatowiala ze starosci. Ujalem ja ostroznie w dlonie i popatrzyłem pod swiatlo. Byla pusta. Zaklalem.

-To by wyjasnilo zagadke pieciu listow Sedziwoja, zakupionych przed dziesieciu laty przez Biblioteka Narodowa w Warszawie - mruknal SzeF. - Choc oczywiscie to tylko domysl. Tu moglo byc cokolwiek...

-Listy mogly pasowac - zauwazylem. - Mozna je bylo zwinac dosc ciasno i wsunac do rurki. Teraz trzeba ruszac po biurko.

-Najpierw zajrzemy do antykwariatu i jesli sie da, skonfiskujemy sekretarzyk.

-Skonfiskowac nie mozemy - westchnal likwidator. - Jesli kupiono go w dobrej wierze, to trzeba niestety uruchomic procedury sadowe. Ale panowie chyba moga go opieczetowac, co utrudni lub uniemozliwi rozprucie skrytki?

-Tak. Mam plomby samoprzylepne, zabezpieczymy wszystkie laczenia - ucieszył sie SzeF.
- W droge.

No i wyruszyliśmy. Weszliśmy do antykwariatu we dwoch, ja i Pan Samochodzik. Kasia siedzaca za lada na nasz widok usmiechnela sie promiennie.

-Czym moze sluzyc? - zagadnela.

SzeF przybral marsowa mine zapozyczona od Nodara.

-Ministerstwo Kultury i Sztuki - powiedzial. - Macie tu panie pewien sekretarzyk...

Usmiechnela sie promiennie.

-Sekretarzyk? Oczywiscie. Taki ladny jak krzeslo, ktore kupil pan... - popatrzyła na mnie.

-Daniec, Pawel Daniec - przypomnialem jej.

-Tak. Pan Pawel kupil krzeselko. Teraz, jak rozumiem, chcieliby panowie do kompletu...

-Ten sekretarzyk stanowi wlasnosc panstwa - powiedzial SzeF. - Do czasu rozprawy sadowej, ktora ustali prawa wlasnoscni chcemy go oplombowac...

Usmiechnela sie ironicznie.

-Stoi na zapleczu - powiedziala. - A maja panowie nakaz rewizji, zeby tam wejsc?

Popatrzylismy po sobie zaskoczeni. Nakazu nie mielismy. Przeciagnela sie i popatrzyla na nas kpiaco.

-Swiat antykwaryczny darzy szacunkiem pracownikow tak zacnego ministerstwa - powiedziala. - Dlatego prosze bardzo - uchyliła kotare i weszliśmy na zaplecze. Panował tu straszliwy nieład. Meble stały poustawiane ciasno, w stelazu tkwily dziesiątki obrazow. Pod sufitem zawieszono wypchane ptaki. Wysuszona glowa hipopotama sklaniała do refleksji.

-To chyba panow mebelek - wskazala na ladny sekretarzyk. Rozpoznalem go bez trudu.

-Prosze go plombowac.

Szef zabral sie za nalepianie paskow papieru, a ona podniosla ze stolika kilka ksiazek i przelozyla na etazerke. Jej ruch nie uszedl uwagi Szefa.

-Coz to za manuskrypty? - zagadnal przerywajac plombowanie.

-Takie tam traktaty niejakiego Sedziwoja - usmiechnela sie tajemniczo. - Ale to nie na sprzedaz.

-Wydlubalyscie je z sekretarzyka? - wybuchnałem.

Popatrzyla na mnie zaskoczona.

-Z sekretarzyka? - udala zdziwienie. - A jak to udowodnicie? Zreszta,

nawet jesli, to nie nalezaly do mienia skarbu panstwa...

-Jako porzucone mienie pozydowskie staly sie po wojnie wlasnoscia panstwa - powiedzial powaznie Szef.

-Wedle ostatnio obowiazujacych przepisow, mienie bedace wlasnoscia gmin zydzowskich ma byc im zwrocone - odparowala natychmiast. - Poniewaz cadyk Salomon Storm byl, ze sie tak wyraze, przewodnikiem takiej gminy, to pamiatki po nim moga otrzymac status niemal relikwii. Na groby slynnych rabinow i cadykow zjezdzaja sie pobożni Żydzi z calego swiata.

-Idziemy - westchnal Szef. - Nic tu po nas.

Ruszyliśmy do wyjścia.

-Wpadnijcie jeszcze kiedyś - powiedziala.

Nie brzmialo to jak kpina, ale nie bylo to tez szczegolnie serdeczne zaproszenie. Wyszliśmy. Niebo przetarło sie troche i wyjrzalo slonce. Krakow w jesiennej szacie byl pieknym miastem.

-No coz - powiedzial SzeF. - Przegralismy kolejna bitwe. Jeszcze troche, a przegramy cala wojne.

-Ciekawe, gdzie sie podziala ta druga - mruknalem.

-Stasia? Coz, mam nadzieje, ze bezskutecznie szuka biurka.

Podjechalismy taksowka do magazynu likwidatora. Nodar czekal na nas.

-I jak? - zagadnal.

-Sekretarzyk juz rozbebeszony - powiedzial SzeF.

-Nic sie nie dalo zrobic? - zaniepokoil sie Nodar.

-Niestety. To jak, bierzemy sie za stolik?

Ujalem w dlon srubokret i po kilkunastu minutach delikatnego dlubania otworzylem skrytke. W grubym blacie znajdowala sie pusta przestrzen. Wyjelismy z niej kilka map rysowanych na papierze. SzeF dlugo badal je z lupa w rece.

-PieKne - powiedzial. - Powstaly mniej wiecej w czasach Stefana Batorego, sadzac po konturach granic. Tylko co z nimi zrobic dalej?

-Zdeponowac w Ministerstwie i niech sie nasi fachowcy zastanawiaja, komu je przydzielic - zasugerowalem.

-Ja ze strony urzedu, ktory reprezentuje, nie wysuwam zadnych roszczen - powiedzial likwidator. - To mi, szczerze mowiac, zupełnie nie wyglada na majatek PZPR-u.

-Zawieziemy do Biblioteki Jagiellonskiej i zlozimy jako depozyt Ministerstwa.

-To stamtad ostatnio ukradli tyle ksiazek? - zaniepokoil sie Nodar. - Lepiej wynajac skrytke w jakims solidnym banku...

-Cos z racji w tym jest - mruknalem. - Proponuje poprosic pana Lucjusza o ukrycie w sejfie muzeum.

-Sporzadzimy raport ze znalezienia map i w droge - usmiechnal sie SzeF.

Rozdzial XII

Uliczny poscig * W rekach policji * Dziewczeta pruja biurko * Kopniety mlodzieniec * Wachman.

Bylo juz dosc pozne popoludnie, gdy po zdeponowaniu map znowu zaparkowalem jeepa

przed siedziba likwidatora.-Zbadalem sprawe tego Aulicha - powiedzial Nodar, gdy zasiedlismy w fotelach przy stole. - Mieszkanie zaraz po wykupieniu na wlasnosc sprzedal z duzym zyskiem i kupil sobie dom na przedmiesciach. Scislej mowiac polowke blizniaka. Meble zabral ze soba, w aktach zachowala sie informacja, ze przeprowadzki dokonat za pomoca oddelegowanej do jego dyspozycji grupy pracownikow z partyjnej bazy samochodowej. To zabawne, ale niewykluczone, ze biurko przewozono furgonetka, ktora jeździliśmy rano...

-Dysponuje pan adresem tego Aulicha?

-Tak. O ile w ciagu ostatnich dziesieciu lat znowu sie gdzies nie przeprowadzil. Nigdy nic nie wiadomo, ale w takim przypadku zdobedziemy jego nowy adres z biura meldunkowego...

Ruszyliśmy. Dom Aulicha okazal sie byc niewielka, biala willa lezaca w sporym ogrodzie. Obok domostwa rosly kilkudziesiecioletnie kasztany. Druga polowa blizniaka musiala kiedys splonac, z czerwonych scian odpadaly przegryzione przez ogien tynki. Dach rozebrano.

-Jesli sie okaze ze biurko tez sie spalilo... - mruknal SzeF.

-Biurko! - krzyknalem wskazujac znikajacy za zakretem samochod.

Dodalem gazu i nasz woz ruszyl naprzod.

-Jestes pewien? - zapytal SzeF.

Za zakretem ulica biegla spory odcinek prosto. Uciekal nam maly fiat ciemnowisniowego koloru. Na dachu mial zainstalowany bagaznik, do ktorego przymotano duza ilosc sznurka biurko Storma. Widzialem je dotad tylko na rysunku, ale charakterystyczny kolor nie pozwalal miec watpliwosci. Scigany samochod zniknal za kolejnym zakretem. Dodalem gazu. Nieoczekiwanie wyjechalismy na dosc szeroka ulice, zatkana na amen gigantycznym korkiem samochodow. Maluch wslizgnal sie w szczeline miedzy wozami i zjechal na dalszy

pas. Usilowalem wjechac za nim, ale przeswit juz sie zamknal. Korek posuwal sie rozpaczliwie wolno, momentami zatrzymujac sie zupełnie. Popatrzyłem na zegarek. Szesnasta. Ludzie wracaja do domow. Najbardziej idiotyczna pora na poscigi samochodowe. Na naszym pasie samochody drgnely i podjechalem kawalek. Maluch byl obok, jakies dwa metry przed nami.

-Kurcze, jak by go tu dogonic.

-Wehikul byl wezszy - westchnal SzeF. - Ale i tak by sie nie zmiescil miedzy pasami.

Nagle rozesmial sie.

-Wiesz co, Pawle, za duzo sie filmow naogladales.

-Nie rozumiem.

-Zobacz, z jaka szybkościa jada te samochody.

-Czy wolno, czy szybko i tak nie mam jak go dogonic, brakuje miejsca...

-A na piechotke nie laska?

Palnałem sie w czolo az zadudnilo. W nastepnej chwili bieglem pomiedzy autami. Dogonienie umykajacego malucha nie zajelo mi nawet minuty. Dopadlem go i zapukalem w szybe.

Wewnatrz, za kierownica, siedziala Stasia. Na moj widok uchylila okno.

-Czym mogę służyć? - zagadnęła uprzejmie.

W jej oczach plonęły figlarne iskierki.

-Biorę - wyjaśniłem konkretnie.

-A to dlaczego? - zdziwiła się. - Zostało legalnie zakupione. Mam nawet spisane umowy.

Samochody ruszyły i musiałem podbiec kawalek.

-Może i legalnie, ale to mienie państwowe - wyjaśniłem. - On nie miał prawa go sprzedawać.

-Czy po dziesięciu latach ruchomości nie przechodzą na własność użytkownika prawem zasiedzenia?

-Z zasiedzenia wyłączone są przedmioty będące własnością państwa - powiedziałem. - Zresztą nabycie praw trzeba i tak potwierdzić sadownie.

Znowu rzeka samochodów ruszyła do przodu, ale po kilkudziesięciu metrach zatrzymała się.

-No to będziecie musieli udowodnić, najlepiej sadownie, że to biurko stanowi własność państwa - powiedziała spokojnie. - W takim przypadku zwrócę ci je po kosztach zakupu. A na razie żegnaj.

Samochody ruszyły i tym razem korek odblokował się na dobre. Zbiegłem z ulicy i wylądowałem niemal w ramionach policjanta. Obok, w zatoczce, parkował radiowóz.

-Co to za biegi po autostradzie sie urzadza? - huknal na mnie. -
Dokumenty obywatelu.

Podalem mu legitymacje.

-Jestem pracownikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki - wyjasnilem
- Prowadze tu delikatna misje, ktorej celem jest odzyskanie
cennych starodrukow alchemicznych.

-Na srodku ulicy? Podczas ruchu pojazdow? - huknal ponownie.
- Jacek, podaj alkomat!

Dmuchnałem w balonik.

-Pijany nie jestes, znaczy tylko z glowa cos ci sie porobilo...

Rosyant czekal na mnie przy skrzyzowaniu. SzeF w zadumie
popatrzył na zegarek.

-Gdzies ty wsiakl? - zapytal.

-Widzi pan SzeFie, policja chciała mnie odstawić do jakiegoś
Kobierzyna. Nawet nie wiem co to jest...

-Szpital dla wariatow pod Krakowem. Cos takiego jak
podwarszawskie Tworki - uswiadomil mnie szef.

-Musialem im wyjasniac...

Pan Samochodzik westchnal.

-Ty to masz do nich szczescie. No, niewazne. Dokad teraz?

-Do tego ich antykwariatu. Tam zawiozła lup. Trzeba będzie go oplombować, tak jak tamten sekretarzyk...

Strescilem mu rozmowę ze Stasia.

-Znam tu dobry skrot - pochwalil sie Nodar. - Ja musze niestety wracac do obowiazkow, ale pokaze wam na mapie...

Zaparkowalem przed znajomym sklepikiem.

-Mamy je - powiedzialem.

Weszliśmy do środka. Dziewczeta popatrzyły na nas, ale nie przerwały swojego zajęcia. Odczepiły od biurka jedna z listew obiegających blat i teraz wykrecaly drobne srubki.

-Jestem zmuszony oplombować ten mebel - powiedział Szeff.

-Za późno - powiedziała Kasia, unosząc górną część blatu. Naszym oczom ukazało się wyrzeźbione w deskach wgłębienie. Wgłębienie było puste. Stasia wyjęła z kieszeni miarke i wyciągnawszy taśmę zmierzyła skrytkę.

-Tu była "Niema Księga" - powiedziała. - Wymiary się zgadzają...

-Gdzie wobec tego mogła się podziąć? - zagadnałem.

Zamysliła się.

-Albo Storm ukrył ją w ostatniej chwili gdzie indziej, albo też któryś z kolejnych właścicieli biurka natrafił na ten schowek.

-Storm w testamencie napisał, że najcenniejsze egzemplarze

ukryte sa w meblach - powiedziala Kasia. - To raczej wyklucza jego udzial.

-A wiec Aulich, albo poprzedni wlasciciel. - mruknalem.

-Albo tez Storm w ostatniej chwili piszac testament zdecydowal sie nie ujawniac miejsca ukrycia najcenniejszego egzemplarza - mruknal Pan Samochodzik.

-Jesli ukradl ja Aulich, to jakie mamy szanse odzyskania tego dzieła? - zapytalem.

-Zerowe - powiedzial Pan Tomasz powaznie. - No bo niby na jakiej podstawie? Co mu udowodnimy? No chyba, ze zostawil odciski palcow, ale przeciez moze powiedziec, ze znalazl schowek, ale pusty. Trzeba by zdobyc nakaz rewizji, przeszukac jego dom... Zaden prokurator takiego nakazu nie wystawi. Mamy tylko niewielkie poszlaki. Poza tym nie da sie wykluczyc, ze istnieja jacys spadkobiercy Storma i wtedy oni mieliby pierwszenstwo.

-Tak czy siak, przydaloby sie jakos naklonic go do zwrotu dzieła - powiedziala Stasia. - Popracujcie nad tym panowie...

Pozegnalismy sie i wyszlismy.

-Sadzi pan, ze faktycznie dopiero przy nas odkryly ten schowek? - zapytalem.

-Czy tez moze otworzily go wczesniej i ukryly manuskrypt, a przy nas odegraly zrecznie komedie? - usmiechnal sie Pan Samochodzik. - Nie, one nie udawaly. Widziales jakie byly

rozczarowane? Można zagrać wiele różnych nastrojów. Odpowiednia mina udawać zachwyt, zadowolenie. Rozczarowanie jest jednak najtrudniejszym wyzwaniem dla każdego profesjonalnego aktora. A one nie są profesjonalistkami.

-Niepokoją mnie - mruknąłem. - Są bardzo młode, mają po jakieś osiemnastu-dwudziestu lat, a tymczasem raz po raz wyprowadzają nas w pole. - Może są tylko wykonawczyniami woli jakiegoś potężnego przeciwnika -

mruknął. - Choć z drugiej strony... Mogło być inaczej. Odziedziczyły po kims antykwariat. Starzy fachowcy zazwyczaj szukali różnych rzadkich przedmiotów lub manuskryptów. Niekiedy przez całe życie. W tym przypadku też mogło tak być. Ktoś poświęcił wszystkie swoje siły, aby odnaleźć bibliotekę Storma, a im na

łożu śmierci przekazał wszystkie zdobyte namiary.

-Myli się pan, Szefie - zaprotestowałem - Przecież dopiero z "Midraszu" dowiedziały się o odnalezieniu przez nas zwłok Storma.

Zamyslił się, a potem kiwnął głową.

-Masz rację. Ale może ta informacja tylko dopełniła obrazu? Może da się jakos dotrzeć do biblioteki od innej strony?

Zamysliłem się.

-Cos mi zaczyna świtać - powiedziałem. - Pan Aaron ma jedną stronę księgi. Założyliśmy, że to karta z kopii Kopenhaskiej, a

tymczasem to może być kawałek księgi Storma!

-To ciekawe przypuszczenie proponuje natychmiast sprawdzić!

Ruszyliśmy dziarskim krokiem przez Rynek i niebawem znaleźliśmy się w przytulnym wnętrzu antykwariatu.

-Chcecie panowie wiedzieć, od kogo kupiłem te strony z "Niemej Księgi"? - uśmiechnął się Aaron. - No nie wiem, zasadniczo etyka zawodowa zabrania nam informowania o szczegółach transakcji...

Zamysliłem się głęboko.

-Jesteśmy tu niejako służbowo... - powiedziałem.

Kiwnął głową.

-No niech będzie - mruknął. - Też mi zależy na tym, żeby to dzieło zobaczyło wreszcie światło dzienne...

Kartkował przez dłuższą chwilę swoje rejestry.

-Mam. Robert Aulich - powiedział wreszcie. - Prawie równo rok temu...

-Aulich - syknął Szef. - A więc jednak on.

-Znacie go? - zainteresował się Aaron.

-Tak. Dostał jako działacz partyjny biurko razem z mieszkaniem.

-Biurko? - brwi starego antykwariusza uniosły się do góry.

Wyjasnilem mu pokrotce cala zagadke.

-To nie on - zaprotestowal. - Ten, ktory mi to sprzedal, mial najwyzej dwadziescia lat... Gdy zawalil sie poprzedni ustroj mogli miec nie wiecej niz trzynascie, no moze pietnascie. Takich smarkow nie brali do partii. Sam zdaje sie okres kandydacki trwal dwa lata, a nie mieli mlodziuzowki. Zreszta czternastolatkwom nie daliby partyjnego mieszkania, chocby nawet zlapal szpiega...

-Syn albo wnuk wyprzedaje dziadkowa kolekcje - mruknal pan Tomasz. -

Jesli wolno zapytac...

-Ile za to dalem? Od razu zobaczylem ze on nie wie, co przyniosl, wiec dalem absolutne grosze i obiecalem wiecej pieniedzy za reszte. Ale on powiedzial, ze ma tylko to.

-Jedna karte wycial, ale widzac, ze cena nie jest zachecajaca, zrezygnowal z dalszych - mruknalem. - co robimy?

-Trzeba bedzie sie przejsc do Aulichy i zobaczyc, czy ma ochote porozmawiac o reszcie manuskryptu - zadecydowal Szefer.

No i ruszyliśmy. Zapadl juz ponury jesienny zmrok.

-Sadzi pan, Szeferze, ze nam to odda? - zapytalem.

-Raczej nie. Ale nie mam innego pomyslu - westchnal. - A ty co proponujesz?

-Sciagniemy Michaila. Jesli potrafil wejsc do archiwum KGB w Tobolsku, to taka willa to bedzie dla niego pryszcz...

-Jesli reszta twoich pomyslow jest rownie genialna, to moze lepiej nie wypowiadaj ich glosno - westchnal.

Zatrzymalem samochod przed willa. Podeszliśmy do furtki gdy nieoczekiwanie drzwi glosno trzasnely i ktos solidnie kopniety w miejsce, gdzie plecy traca swoja szlachetna nazwe, zwalil sie po schodkach do ogrodu. - Ty czerwony zlodzieju! - wrzasnal podnoszac sie ze sciezki. Drzwi ponownie sie otworzyly i ktos spuscil psa. Lzacy poderwal sie. Cichy syk pozwolil sie domyslec, ze uzyl wobec szarzujacej bestii miotacza pieprzu. Pies przez chwile tarl pysk lapami a potem poderwal sie i znowu ruszyl w jego strone. Kopniety jednym susem przesadzil ogrodzenie oddzielajace go od ulicy.

-W wiezieniu zgnoje, bandyto! - krzykнал w strone domu.

-Ladnie tak zlorzeczyc blizniemu? - zapytal lagodnie Szeф.

Uciekinier dopiero teraz nas zauwazyl. Odruchowo sprobował strzepnac bloto i liscie poprzyklejane do marynarki. Na oko sadzac mial okolo siedemnastu lat. Byl w nieuchwytny sposob podobny do Michaila. Pociagla arystokratyczna twarz, jasne oczy i gesty wskazujace na doskonale opanowanie trudnej sztuki poruszania sie w sposob dystyngowany.

-Przepraszam - wybakal. - Ale troche mnie wyprowadzil z rownowagi.

Jedno oko napuchlo mu, widocznie oprócz kopniaka dostal wczesniej jeszcze kila ciosow.

-Nie wiecie panowie, gdzie tu jest najblizszy szpital? Chcialbym

zrobic obdukcje lekarska...

-Nie mam pojecia - wzruszyl SzeF ramionami. - Ale jesli pan sobie zyczy, mamy w samochodzie apteczke...

-Bardziej przydalo by sie troche herbaty z termosu, to zrobilbym cieply oklad...

-Termosu niestety nie mamy - SzeF wyrazil ubolewanie.

-Cieply oklad? - zdziwilem sie. - Lepszy zimny.

-Nie, cieply. Wprawdzie nie lagodzi bolu, ale za to rozszerza naczynia wlosowate i krew odpływa z uszkodzonej tkanki, dzieki czemu nie ma potem problemow z siniakami - usmiechnal sie. - Panowie tez do tej czerwonej pijawki?

-Niestety - wzruszylem ramionami. - Obowiazki wzywaja...

-Idziecie go aresztowac? - zaciekawil sie.

-Nie, niestety nie.

-Szkoda - mruknał. - Zazadal, bydlak, dziesieciokrotnej ceny rynkowej. Skad ja mu wytrzasne sto piecdziesiat tysiecy zlotych...? Panowie pozwola, ze pozegnam...

Zniknal w perspektywie ulicy.

-Zastanawiajace - mruknał SzeF. - Czym narazil sie gospodarzowi do tego stopnia, ze wylecial z takim hukiem na ulice?

-Nie wiem, ale nie wygladal na akwizytora - powiedzialem.

-Co ci przyszło do głowy? - zagadnął Szef.

Wskazałem wiszącą na płocie tabliczkę. "Demokraczy będą bici i szczuci psem - głosiła. - Zostaliście ostrzeżeni".

Szef wzruszył ramionami i nacisnął guzik dzwonka przy furtce.

-Może powinniśmy przyjść jutro - zauważyłem. - Może być teraz wściekły.

-Jutro może być za późno. Nasze drogie przeciwniczki pewnie już kombinują, jak by się tu dostać do księgi. Mogą nas przelicytować, gdy będziemy

spali...

-Przelicytować - mruknął Szef. - Ten chłopaczek miał za coś zapłacić dziesięć razy więcej niż wartość rynkowa. Ciekawe, co to mogło być?

-Cos warte około piętnastu tysięcy złotych - policzyłem natychmiast.

Pan Samochodzik ponownie nacisnął guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się i z domu wyszedł potężny, ponury facet. Na rękawie miał naszywkę z napisem "Ochrona".

-Czego? - warknął na nasz widok.

-Jesteśmy pracownikami Ministerstwa Kultury i Sztuki. Chcemy rozmawiać z panem Aulichem.

-Wynocha - oświadczył wachman i odwróciwszy się odszedł.

Popatrzyliśmy na siebie zaskoczeni.

-No coż - powiedział Szef. - Przecież nie będziemy się włamywać...

Zaczęło kropić. Ruszyliśmy wolno do samochodu. Wiedziałem już co zrobię noca.

Rozdział XI

Gasnące latarnie * Tropem kabla * Wielka krowa * Dama z laserem * Rozpruty sejf * Alarm * Ucieczka

O czwartej rano było jeszcze zupełnie ciemno. "W komandosach" uczyli nas, że to pora nocy, gdy ludzie spia najmocniej. Niebo zasnęły deszczowe chmury. Deszcz już nie padał, ale wszędzie stały kaluże. Cichutko przemknąłem się aleją Kasztanowa. Unikalem jak mogłem kregów światła rzucanych przez latarnie. Wreszcie dotarłem do ogrodzenia domu Aulichy. Przygnałem do metalowych pretów i rozejrzałem się wokół. Światła latarni lekko przygasły. Żarówki pozolkły. Silny skok napięcia w sieci, a może?... A może ktoś z piłą ultradźwiękową. Ruszyłem wzdłuż ogrodzenia i nieoczekiwanie natknąłem się na wyrwę. Ktoś wyciał kilkanaście pretów. Koncówki sterczące z podmurówki dymily dziwnie. Splunąłem ostrożnie na pierwszy z nich. Zaskwierczało. Były silnie rozgrzane.

-Ki diabeł? - zdziwiłem się.

Przeskoczyłem do ogrodu i ukryłem się w cieniu krzaków. Latarnie powoli wracały do normalnej jasności. Ruszyłem ostrożnie naprzód, rozglądając się za psem. Woląłem nie

natknac sie na te bestie. Nieoczekiwanie znowu pociemniało. Spostrzegłem gruby kabel biegnący przez zroszona trawę. Poszedłem jego śladem. Nagle gdzieś koło ogrodzenia usłyszałem loskot i stłumione przekleństwo. Padłem natychmiast płasko i wtoczyłem się pod krzaki. Ktoś podniósł się z ziemi, latarnie wracające do pełnej jasności oświetliły na moment niewysoką sylwetkę. Postać, nisko pochylona, przemknęła pod ścianą domu.

-Robi się tłoczno - mruknąłem sam do siebie.

Latarnie znowu pociemniały. Czyżby jakiś idiota przebijal się po kolei przez wszystkie ściany, zamiast ciac zamki w drzwiach? Cichutko podążyłem w ślad za tajemniczym nocnym gościem. Człowiek przemknął się do spalonej części domu i bez większego wysiłku podciągnął się do jednego z wypalonych okien. Po chwili zniknął wewnątrz. Ruszyłem naokoło i po chwili znalazłem drzwi, które zapewne jeszcze przed godziną zabite były deskami. Teraz kawałki drewna leżały wokół, dziwnie pociemniałe przy krawędziach. Przekroczyłem próg. W powietrzu unosił się obcy, ale dość przyjemny zapach. Kojarzył mi się z dzieciństwem. Chyba czułem go kiedyś. W cegielni na wsi, niedaleko pola dziadków?

Przypomniałem sobie piece ułożone z surowych cegieł nakrytych tylko warstwą glinianego mialu. Przez odpowiednio sporządzone kanały biegł ogień wypalając je. "Dochodziły" tak około dwu tygodni, później przychodzili robotnicy, by je wyjąć i załadować na ciężarówkę. Spenetrowałem parter i nie znajdując nic podejrzanego wdrapałem się po osmalonych, betonowych schodkach na piętro. Tu, w jednym z pokoi przylegających do niespalonej części domu, znalazłem to, czego szukałem -

nieregularna dziura wybita w scianie. Zapach cegielni stal sie bardzo mocny. Zblizylem ostroznie dlon do brzegow otworu i natychmiast ja cofnalem. Cegly rozpalone byly niemal do czerwoności. Przelazlem przez dziure i znalazlem sie w korytarzu. Przez chwile zastanawialem sie dokad pojsc, gdy nieoczekiwanie spostrzeglem gruby kabel znikajacy za zakretem. Skradajac sie ruszylem tym tropem. Przewod niebawem zniknal w szczelinie pod drzwiami jednego z pokojow. Uslyszalem ciche buczenie i szpara rozblysla oslepiajacym swiatlem.

-Ki diabel? - pomyslalem.

W tej chwili uslyszalem ciche skrzypniecie deski. Ktos wdrapywal sie po schodach na pietro. Zanurkowalem w nisze i przyczailam sie w mroku. W ponurym blasku padajacym spod drzwi zobaczylem sylwetke niewysokiego chlopaka. On tez mnie zobaczyl, bo uslyszalem dziwny metaliczny odglos, jak gdyby ktos wyciagal szable z pochwy. Faktycznie to byla szabla. Wysunal ja w moja strone.

-Nie wiem, kim jestes, ale nie probuj nawet drgnac, bo wsadze ci w bebechy pol metra stali - dobiegl mnie zyczliwy szept.

Trzymajac mnie na dystans usilowal mnie wyminac.

-A ty kim jestes? - zapytalem.

-Czlowiekiem, ktory przyszedl tu po sprawiedliwosc - glos w ciemności zabrzmial godnie. - A ty?

-"Od tysiacu lat uwieziony w ciebie wielkiej krowy powoli trace zmysly" - zacytowalem znaleziony kiedyś przed blokiem komiks.

W tym momencie drzwi otworzyły się i załalo nas światło. Jednocześnie z wnętrza pomieszczenia napłynął kłab dymu cuchnacego przepalona stała. Spostrzegłem, że rekojesc szabli wyłożona jest turkusami, a w następnej chwili rozpoznałem twarz trzymającego ją w ręce. To był ten chłopak, który kilkanaście godzin wcześniej został wykopany z tego domu. Stojąca w drzwiach postać pokiwała w naszą stronę pistoletem.

-Do pokoju - rozkazała.

Poznałem ją po głosie. Stasia. Wślizgnelismy się, zamykając za sobą drzwi. Obie dziewczyny były starannie zamaskowane, ale ja też miałem maske na twarzy. Stasia bezceremonialnie zdarła ją ze mnie.

-No coś podobnego - powiedziała - Jaki świat jest mały. A ten co za jeden? - wskazała lufa młodzieńca z szablą - Jest z toba?

-Nie - zaprzeczyliśmy obaj jednocześnie.

-Na złodzieja nie wyglądasz - powiedziała. - Ale szabelka wyjątkowo ładna...

Wyciągnęła rękę. Cofnął się o krok.

-Musisz mnie zabić, żeby ją dostać - powiedział.

Wyglądało na to, że mówi poważnie. Popatrzyłem na źródło światła i zaniemowilem. Druga z dziewcząt, zasłoniwszy twarz okularami hutniczymi, rozpruwała sejf laserem. Chyba chciała odciąć całą jedną ścianę...

-Złe tniesz - zwróciłem jej uwagę - Wystarczy drzwiczki...

-Zeby alarm uruchomic?- zapytala ze zloscia - Strasznie sie ta blacha nagrzewa.

-Trzeba bylo pila ultradzwiekowa - powiedzialem z nutka wyzsosci w glosie.

-Co ty tu robisz? - Stasia wsiadla na chlopaka.

-Przyszedlem tylko po to - potrzasnal szabla - Chcialbym juz sobie isc...

-Mowy nie ma. To my pojdziemy, a wy dwaj zostaniecie tu i poczekacie na policje. Zwiazani jak balerony...

-Pawla trzeba wypuscic - powiedziala Kasia ponownie uruchamiajac laser na pelna moc. - Sadze, ze juz nas rozpoznal.

-To prawda - potwierdzilem. - A co do tego milego mlodzianca, to chyba ma swoje powody, by lamac szoste przykazanie. Wytlumacz sie - zwrocilem sie wprost do niego.

-To proste - powiedzial. - Te szable moj przodek otrzymal od Stefana Batorego w czasie kampanii pskowskiej. W czterdziestym piatym zabrali ja mojemu dziadkowi ubecy. Wkrotce potem skonfiskowano nam tez majatek. Tysiace pamiatek rodzinnych rozgrabili komunisci. We dworze urzadzili pegieer. Palili w piecach

ksiazkami i meblami. Wreszcie dom zawalil sie calkiem. Dowiedzialem sie przypadkiem, ze Aulich ma szable. Zaproponowalem mu dzisiaj pietnascie tysiecy zlotych. Zazadal stu piecdziesieciu. A potem kazal swojemu wachmanowi

wyrzucic mnie, jak psa, za prog.

Popatrzyłem na rekojesc szabli.

-Węgierska - potwierdziłem. - I na oko sadzac, z konca szesnastego wieku.

Kasia skonczyła zabawe laserem i uzywajac azbestowych rekawic odsunela odcieta sciane.

-Jest? - zapytala Stasia.

Pokrecila przeczaco glowa.

-Same gowna - wygarnela dlonia stos banknotow pospinanych banderolami, jakies papiery wartosciowe, pare pudelek bizuterii i kilka kilogramowych sztabek srebrzystego metalu. Srebro albo platyna. Zlote dwudziestodolarowki zadzwieczaly sypiac sie na podloge. Nie zaszczycila ich nawet jednym spojrzeniem.

-Cholera - zdenerwowala sie Stasia. - Trzeba zatem obudzic gospodarza. Jak mu przypalimy laserem to i owo, to wyspiewa gdzie ukryl "Niema Ksiege".

-A czego szukacie? - zainteresowal sie chlopak z szabla.

-Zbioru drzeworytow - wyjasnilem.

-Jakies drzeworyty opravione w ramki wisza na polpietrze - powiedzial - widzialem je, gdy przechodzilem.

Ruszyly do wyjścia bez słowa. Stasia latarka oswietlila sciane.

-No, co za bydle - sapnela.

Sciane ozdabialo kilkadziesiat antyram. Wewnatrz, pod warstwa szkla, widac bylo pozolke pergaminowe karty. Jak na komende rzucily sie zdejmowac je ze sciany. Ja oswietlilem czesc korytarza, ktorym przyszedlem i tez odczepilem z niej kilka obrazkow.

-Na mnie juz pora - powiedzial mlodzieniec, troskliwie naciagajac na szable plastikowy pokrowiec - Nie bede wam przeszkadzal. Nic nie widzialem, o niczym nie slyszalem...

Ruszył w strone zrujnowanej czesci domu i wtedy wlasnie nieoczekiwanie włączyl sie alarm. Szarpnieciem przyciagnalem laser do siebie i odczepilem od niego kabel. Dziewczeta biegiem wpadly na gore. Pognalismy korytarzem. Gdziej od strony schodow padl strzal. Zanurkowalismy przez dziure w murze i zbieglismy na parter. Chlopak wlasnie szamotal sie z ochroniarzem. Uderzyłem wachmana rekojescia lasera w glowe.

-Dzięki - szepnal mlodzieniec.

Wyskoczyliśmy przed dom. Alarm wyl na calego. Od strony ulicy pojawily sie blyskajace na niebiesko swiatla. Policja. Przeskoczyliśmy pospiesznie przez ogrodzenie i depcac rabatki sasiedniej willi przesadzilismy plot odgradzajacy nas od kolejnej ulicy.

-Za mna - rozkazalem szeptem i pobieglismy do miejsca kilka przecznic dalej, gdzie zostawilem samochod. Wskoczyliśmy we czworke do jego przytulnego wnetrza i cicho odjechalem jak najdalej od feralnego miejsca. W oknach zapalaly sie swiatla, ale

my już oddalaliśmy się, zostawiając za nami rozbudzone kwatery.

-Gdzie was wysadzić? - zapytałem.

-Ja gdybym mógł prosić na dworzec - uśmiechnął się młodzieniec z szabla. - Złapie jakiś nocny pociąg i tyle.

-Nie oddamy go w ręce policji? - zapytała Stasia.

Pokreciłem przecząco głową.

-Po pierwsze, uważam go za usprawiedliwionego. Chciał tylko odzyskać własność swojej rodziny. Po drugie, za co niby? To nie on wypalił laserem dziurę w ścianie. Po trzecie gdyby go złapali, mogłoby sporządzić mój portret pamięciowy. Wyobrazcie sobie, co to byłoby za skandal? Moja instytucja skompromitowana na wieki wieków. Za to wy dwie, hm... Powinienem podjechać pod najbliższy komisariat. Włamanie, kradzież, chcieliście torturować właściciela.

-My też mieliśmy swoje powody - westchnęła Stasia.

-No nie wiem - pokreciłem głową w zadumie. - Księga, która w kawałkach bo w kawałkach, ale udało się zdobyć, nigdy nie była wasza własność.

-A może Salomon Storm był naszym dziadkiem? - Kasia przekornie przekrzywiła głowę.

-Nie. Jidysz, którym posługuje się Stasia nie jest czysty, tylko wyuczony. Poza tym...

Machnałem reka. Młodzienca wysadziłem koło dworca.

-Jak mogę się odwdzielić? - zapytał.

-Obiecuj wacpan, że więcej nie będziesz się nigdzie włamywał -
zazadalem.

-To będzie trudne. W siedzibie pewnej partii politycznej w hmm...
Mają pejzaz Zosowskiego, który zawsze wisiał na lewo od
kominka.

-W końcu skojarza, że to ktoś z twojej rodziny - westchnałem. -
Znikaj...

Pomachałem mu na pożegnanie i ruszyliśmy dalej.

-A wy, gdzie chcecie wysiąść? - zapytałem.

-Może koło naszego antykwariatu - zaproponowała Stasia. - Też
mamy obiecać, że nie będziemy się nigdzie włamywać?

Zignorowałem pytanie.

-Przegraliscie - oświadczyła Kasia tryumfalnie. - Mamy księgi!

-I co z nią zrobicie? - zapytałem. - Aulich zgłosi kradzież i będzie
was ścigał. Jeśli pojawicie się z nią gdziekolwiek, będzie na was
już czekał list gonczy.

-O ile wiedział co ma - uśmiechnęła się Stasia. - A sadze, że
raczej nie wiedział. Po prostu, znalazł książkę z rysunkami, to
powycinał kartki i porozwieszał sobie na ścianie.

-Dlaczego zawył alarm? - przypomniałem sobie.

-Był umieszczony pod najniższym stopniem schodów - wyjaśniła Kasia.

Wysadziłem je koło antykwariatu i podjechałem pod hotel. Zmieniłem kolor samochodu na normalny i przekreciłem tablice rejestracyjne na te strone, po której nie były moldawskie. Cicho wślizgnąłem się do pokoju i wydobywszy spod kurtki szesc antyram polozyłem je na stoliku. A potem natychmiast padłem na lozko i zapadłem w gleboki sen.

Rozdział XII

Pobudka * Watpliwosci moralne * W imie narodu * Poranna wizyta * Dedukcja

Obudzilo mnie potrzasanie.-Wstawaj, przeklenstwem naznaczony - uslyszalem glos Szefa.

Otworzyłem leniwie oko. Juz mna nie potrzasał.

-Skad to sie tu wzielo? - zapytal, wskazujac gestem lezace na stoliku kawalki ksiegi.

-Wrogowie podrzucili - zasugerowalem, po czym zamknalem oczy.

-Jesli natychmiast nie zaczniesz odpowiadac na moje pytania, to wyrzuce cie z pracy - uslyszalem. Otworzyłem jedno oko. Zartowal, na szczescie.

-Mialem, Szefie, pracowita noc - powiedzialem.

-Wlamales sie do Aulichy! - tym razem byl chyba zly.

-Wrecz przeciwnie - zaprotestowalem z godnoscia. - Niech pan sobie wyobrazil, ide sobie aleja Kasztanowa, a tu widze: parkan przecięty. No to pomyslallem, ze ktos sie wlamal i poszedlem przychwycic zlodziei na goracym uczynku. Wchodze i widze, ze nasze dwie znajome pruja sejf laserem...

-Laserem? - zdziwil sie Pan Samochodzik.

-Tez bylem zaskoczony. Zaczalem im klarowac, jak to nieladnie okradac bliznich i wtedy nagle zaczela wyc syrena. Poniewaz doszedlem do wniosku, ze moje zadanie, polegajace na sploszeniu wlamywaczek, wlasciwie jest wypelnione, zdecydowalem sie oddalic stamtad.

Szef w zadumie ogladal miedzioryty.

-Nie podoba mi sie to - powiedzial wreszcie - Nalezalo to przeprowadzic inaczej. Naruszanie norm spolecznych i prawnych ma to do siebie, ze szybko wchodzi w krew. Raz znajdziesz sie poza granicami prawa i bedziesz sie zapadal coraz glebiej. Najpierw z Michalem obrobiliscie archiwum w Tobolsku, teraz wlamanie do prywatnego domu...

Szef byl wyraznie bardzo zdenerwowany.

-Aulich nie mial do tego zadnych praw - zaprotestowalem. - Ten starodruk powinien byc wlasnoscia...

-No wlasnie, czyja?

-...Narodu.

-Narodu, powiadasz? Widziałem we wczesnej młodości, co działo się na prowincji. Jak na wschodzie Polski odbierano chłopom ikony mówiąc, że to do muzeum. A potem faktycznie część z nich trafiła do magazynów, gdzie zarastały kurzem, reszta wyparowała po drodze. Albo kolekcje monet konfiskowane w imieniu państwa, które wzbogaciły zbiory partyjnych prominentów. Przeprowadzono reformę rolną, która przyniosła kulturze polskiej większe szkody, niż druga wojna światowa. Wyrzucano ludzi z dworów, z pałaców, a potem je rujnowano. Zabytkowe meble rabano na opał, książki trafiały na makulaturę. Pamiątki narodowe trafiały na śmietnik, a wszystko to w imię narodu... Bywało też, że ludzie oddawali różne swoje skarby do muzeów, a one znikaly bez śladu. Dlatego nigdy nie mów mi, że w imię narodu można zabrać komuś jego własność.

-Aulich wszedł w posiadanie tej książki...

-Wszedł przez czysty przypadek. Można powiedzieć, szczęśliwy traf. Znalazł ją w skrytce w biurku. Storm nie żyje. Jego potomkowie, o ile istnieją, nie zgłaszają żadnych roszczeń. Jest tylko jeden powód, dla którego nie kaze ci tego natychmiast odnieść na miejsce.

-Jaki powód? - zapytałem ostrożnie.

-Kiedys ta książka stanowiła jedno. Aulich wyciął strony, zresztą wyciął je dość krzywo, aby kartkami przyozdobić swoją willę. Zniszczył ją i naraził na rozproszenie. Nie zapominaj, że teraz jest w co najmniej trzech różnych miejscach. Część u nas, część u dziewcząt, a jedna strona u pana Aarona. Nie wiem, co zrobił z okładką i grzbietem, niewykluczone, że po prostu wyrzucił na śmietnik. Jest to zbrodnia popełniona na naszej kulturze, ale

nawet to w swietle prawa nie oznacza automatycznie, ze Aulich traci prawa do swojej wlasnosci. Ale obawiam sie, ze trzeba bedzie przymknac tym razem oko... Choc jest to gleboko sprzeczne z moimi zasadami... Wlasciwie powinienem cie natychmiast zwolnic z pracy w naszej komorce, ale jak na zlosc nie mamy nikogo lepszego na twoje miejsce...

Zlagodnial troche. Znowu popatrzył przez okno.

-Z tego jak znam zycie, to za kilka lub kilkanascie minut zloza nam wizyte dwie damy, wiec powinienes sie ubrac...

Konczylem zapinac koszule, gdy rozleglo sie pukanie do drzwi. Otworzylem. Stasia z rewolwerem w dloni przekroczyła prog.

-Zdrajco - powiedziala spokojnie - Gdzie jest reszta stron?

-Leza na stole - powiedzial SzeF - Nie zabijaj go.

-Konfiskuje - polozyla dlon na pergaminach. Druga reka ciagle celowala do mnie z pistoletu.

Skorzystalem z tego, ze na moment odwrocila uwage i celnie uderzylem ja w dlon. Pistolet upadl na podloge.

-Protestuje - powiedzial SzeF - te starodruki zostana przekazane panstwu.

Uśmiechnela sie nieoczekiwanie.

-Zgoda, ale pod dwoma warunkami.

-To znaczy?

-Z tych chce zrobic sobie ksero, a pozostala czesc ksiazki wymienienie na

atanator. Wedlug moich obliczen powinniście miec panowie szesc kart. Ja mam dwadziescia jeden, a ostatnia ma numer 27.

-Mamy piec - powiedzial Pan Samochodzik - ale to nie problem. Wiemy, gdzie jest ta jedna brakujaca. Natomiast z wymiana tego na piecyk moga byc problemy. Aulich z pewnoscia zglosil juz fakt nocnego wlamania do jego domu i teraz policja rozsyła informacje o wygladzie zaginionych drukow. Dostana ja z pewnoscia domy aukcyjne, antykwariaty, a takze biblioteki. Jesli zaproponujesz

wymiane, zostaniesz aresztowana.

Jej usta zacisnely sie w gniewna kreske.

-To co w takim razie mam zrobic? - zapytala ze zloscia.

-Potrzebowalyscie tylko informacji zawartych w "Niemej Ksiedze"? - zapytal Szef.

-Tak. Wartosc materialna nie obchodzi nas specjalnie.

-Moja propozycja jest nastepujaca. Wlascicielowi juz tego nie oddamy. Skoro wpadl na pomysl, zeby wieszac to na scianach, jutro moze zapragnac wytapetowac tym ubikacje... Dlatego proponuje przekazac to anonimowo Bibliotece Narodowej w Warszawie. My ze swej strony dostarczymy wam ksero z naszych pieciu kart i szostej, brakujacej. Postaramy sie takze wypożyczyc piecyk, albo przynajmniej umozliwic wam jego

skopiowanie.

Zamysliła się na chwile.

-Przyjdźcie za godzinę do nas do antykwariatu - powiedziała -
razem pojedziemy do pana Aarona.

Szefowi opadła szczeka.

-Skąd wiecie że to on... - wykrztusił.

-Dedukcja, proszę pana. Przed wojną to on kupił "Niema
Księgi". Pomyślałam, że jeśli sprzedał ją Stormowi, mógł
zostawić sobie jedną stronę. A wiem, że panowie się znają, bo
widziałam u niego pana Pawła. Za godzinę u nas - powtórzyła i
wyszła.

Podniosłem z podłogi pistolet.

-Straszak - zaraportowałem Szefowi.

-Hm... I co by tu dalej robić?

-Trzeba będzie pojsc, Szefie - powiedziałem.

Uśmiechnął się lekko.

-Jak isc, to isc - powiedział.

Rozdział XIII

Lamiemy szyfr księgi * Po co zbierano rose * Dwojka z
przekreślonym ogonkiem * Jajo filozoficzne * Wywabiony napis *

Gdzie jest grob Sedziwoja

Pan Aaron powoli przekladał kolejne karty.-A wiec macie komplet - usmiechnal sie. - I co teraz probujecie zrobic, Kamien Filozoficzny?

Szef usmiechnal sie lekko.

-Wybaczy pan, ale...

-Nosimy sie z takim zamiarem - powiedziala powaznie Stasia.

Popatrzył na nia uwaznie, jak gdyby chcial odczytac jej mysli.

-Niemozliwe - powiedzial w jidysz.

Usmiechnela sie.

-A moze?

Spojrzał teraz na Kasie, na dluzsza chwile zaczepil wzrok na srebrnym krzyzyku wysadzany rubinami. Wygladal na odrobine zaskoczzonego.

-No coz - powiedzial juz po polsku. Zycze powodzenia. Dajcie znac, jesli wam sie uda. Co zamierzacie z tym robic? - wskazal gestem stosik kart.

-Oprawimy to do kupy i przekazemy Bibliotece Narodowej.

Kiwnal powaznie glowa.

-Zeby opravic, trzeba by miec komplet - dorzucil obojetnie swoja

strone na wierzch - Zabierzcie sobie. Tylko najpierw, chce zrobic ksero. Cale zycie zalowalem, ze nie obejrzałem tego dzieła dokładnie, teraz bede miał okazje.

-Zgadza się - powiedział Szef.

-My również - dodała Kasia.

Uruchomił drzemiaca w kacie kserokopiarke. Odbił od razu w trzech egzemplarzach i spisał spinaczem. Jeden odłożył dla siebie, reszta wręczył nam.

Siedliśmy przy stole.

-Storm miał wizję pięciorga ludzi - zauważyłem. - Zapisał ją na okładce "Sefer Jecirah"...

-No widzisz, już myślisz prawie jakbys był z naszych - ucieszył się stary antykwariusz. - Popatrzmy sobie na te obrazki... A więc moja strona jest pierwsza. Człowiek idący drogą niesie beł materialu. Sądzi, że to płótno. Nad nim zaznaczono Słońce, więc droga, po której idzie, to ścieżka adeptów, symboliczna droga życia i droga poznania zarazem. Słońce to symbol wiązany ze złotem. A więc już na tej stronie mamy do czynienia z symboliką alchemiczną.

Droga i złoto.

-Trzeba wziąć płótno - zauważyła Stasia. - Czy może lepiej jedwab?

-Zwróć uwagę na ten detale - wskazał roślinkę rosnącą koło drogi - jeśli mnie starczy wzrok nie myli, to gałązka Inu.

Z polki wyciagnal klucz do oznaczania roslin uzytkowych i kartkował go dluzsza chwile.

-Len niebieski - pokazal nam obrazek.

-Dlaczego nie bialy? - zaciekawilem sie, wskazujac na nastepnej stronie klucza identyczna roslinke, tylko o bialych platkach.

Uśmiechnal sie.

-Len bialy pojawil sie dopiero nieco ponad dwadziescia lat temu - powiedziala Kasia.

-Nic wiecej chyba z tej strony nie da sie wydedukowac.

-Wobec tego zobaczmy nastepna - zachecil Szef.

Na kolejnym obrazku grupa ludzi krzatala sie po kuchni. Ten juz znalazmy. Na nastepnym ludzie rozkladali plachty materialu na trawie. Rysownik zaznaczyl na niebie Ksiezyc i Slonce.

-Dedukuje, ze ktos rozklada plotno celem wybielenia - blysnalem pomyslem.

-Ja tak nie uwazam - odezwal sie Szef.

-To oczywiscie kolejny etap gromadzenia materialow - usmiechnela sie Kasia. - Bardzo starannie wyprane plotno rozkladano na lace wieczorem. Tak chyba nalezy interpretowac rysunki Slonca i Ksiezyca jednoczesnie...

-Ale po co? - zdumialem sie.

-Oczywiście po to, żeby łapać rosę - wyjaśniła Stasia. - Dzięki

zastosowaniu pranych w ługu płacht materiału można było uzyskać wodę o czystości porównywalnej z dzisiejszą destylowaną.

-Zobaczmy, co dalej - oczy Aarona zablysły.

Na kolejnym obrazku ludzie tarli jakąś bryłę o jakas szmate leżącą na stole. Nad bryłą zaznaczono dwa symbole:

-Hmm - powiedziałem. - Pierwszy to symbol astrologiczny, oznaczający planetę Merkury. Drugi, dwójka z przekreślonym ogonkiem zapewne oznacza Jowisza.

-Brawo, młody człowieku - uśmiechnął się stary antykwariusz. - A wy co o tym sądzicie?

-Dwójka z przekreślonym ogonkiem oznaczać może niebezpieczeństwo. Używali tego znaku templariusze - odezwał się Szef. - Swojego czasu, szukając ich skarbów, natrafiłem na pulapkę zaznaczoną takim właśnie ostrzegawczym symbolem.

-Merkury w symbolice alchemicznej oznacza rtec, a Jowisz wiąże się z cyną - powiedziała Kasia - Można to odczytać na dwa sposoby. Albo cyna i rtec, albo też rtec z ostrzeżeniem, że jest trująca.

-Rtec odpowiada cynie według tablic przemiany - powiedziała Stasia. Z cyny można uzyskać rtec i vice versa, oczywiście używając Kamienia Filozoficznego...

Aaron sklonił głowę.

-Moim zdaniem, ten obrazek przedstawia proces oczyszczania rteci - powiedział poważnie - Dokonywano tego przecierając ją przez wolowa skore. Jeśli popatrzyacie uważnie, to tu na stole zaznaczony jest taki znak:

Narysował na kartce.

-Mocno się zatarł - powiedział Szef - Ale chyba ma pan rację. To symbol byka albo diabła... w tym przypadku raczej byka lub wolu... Na kolejnym rysunku człowiek z oskardem w dłoni wykuwał coś ze skały. Obok leżały jakies prostopadłości, które oglądał pod słońce inny mężczyzna.

-A tu im się znudziło i postanowili uzyskać złoto tradycyjnymi metodami - zazartowałem.

Wszyscy się rozesmiali.

-Sadzę, że ten człowiek próbuje wypreparować ze skały geode gorskiego kryształu - Szef wskazał leżące na ziemi prostopadłości - Najwyraźniej jego pomocnik sprawdza pod światło ich czystość.

-Taka i moja wiedza - uśmiechnęła się Stasia - Może kolejny obrazek wyjaśni nam to.

Na następnej stronie widac było spory piec. Obaj sportretowani wcześniej mężczyźni tłukli kryształy młotkami i wsypywali je do czegoś w rodzaju doniczki. O ścianę oparty był długi, prosty kij.

-Pomyślmy - powiedział Aaron. - sadzę, że ta ilustracja przedstawia przygotowywanie jaja filozoficznego. Ludzie tłuka

kryształy na piasek i teraz beda go topic w tym piecu na mase szklana.

-To brzmi calkiem prawdopodobnie - zauwazyla Kasia - Dzieki temu uzyskaja szklo o fantastycznej czystosci i przy tym odporne na wiekszosc odczynnikow chemicznych.

-Czyli ten kij to puszczel szklarska? - zamyslil sie Aaron. - No coz, to brzmi prawdopodobnie.

Na kolejnym obrazku czlowiek z mlotkiem klepal jakas blache. Obok lezaly jeszcze kawalki drutu z zaznaczonymi lepkami.

-Buduje atanator - powiedzialem powaznie. - Nad blacha zaznaczono znak Marsa. Czemu on odpowiada?

-Zelazu - odezwala sie Stasia. - To nawet logiczne. Musi wytrzymac wysoka temperature.

Aaron milczal dluzsza chwile.

-Pokazcie jeszcze raz oryginal - poprosil.

Szef wyjal z torby ksiege.

-Te znaki oznaczajace metale dorysowano pozniej - powiedzial stary antykwariusz powaznie - Zwroccie uwage, sa odrobine innego koloru.

Pochylilismy sie nad tekstem.

-Rzeczywiscie - przyznal Pan Tomasz - Teraz pojawia sie nader powazne pytanie. Czy ten, który je dorysowal byl fachowcem, czy

tez nie.

-Albo mogli dopisać je, by wywieść kogoś w pole - zauważyła Kasia.

Wrociliśmy do kserokopii. Na kolejnych obrazkach przedstawiono destylację i gotowanie czegoś w wysokiej kolbie. Tu nie było już oznaczeń.

-"Niema Księga" stała się naprawdę niema - wyszeptał Szef. - I co dalej?

Na przedostatnim rysunku substancję wlewano do okrągłego, szklanego pojemnika.

-Jajo filozoficzne - powiedział Szef. - Częsty motyw w rysunkach i na medalach alchemicznych. Wypełniano je różnymi substancjami, by po zakończeniu działań wydobyć ze środka czerwoną tynkturę, czyli właściwie Kamień Filozoficzny.

Na ostatnim rysunku przedstawiono człowieka z dyskiem słonecznym w miejscu głowy.

-I tyle - westchnął stary antykwariusz. - Księga pozostała niema.

-Dziwne - mruknął Szef. - Zwroćcie uwagę na te jasne plamy?

Znowu wyciągnął oryginał. Koło człowieka ciągnęła się jasna smuga.

Pociągnąłem nosem.

-Cos jakby chlorem zajechało - zauważyłem.

-Chlorem - mruknał Szef. - Ktos tu wywabiał jakies detale za pomoca Domestosa lub podobnego swinstwa.

-Do konca nie wywabił - zauwazyła Stasia. - Cos tu sie przebija.

-A gdyby to zeskanowac z maksymalna rozdzielczoscia barw i skontrastowac? - podsunalem skromnie.

-Moj komputer jest do waszej dyspozycji - antykwariusz wskazal gestem maszyne drzemiaczka w kacie. Polozylem pergamin na plycie skanera. Po kilku minutach zmieniania barw w wypalonym miejscu zarysowal sie ciag znakow naniesionych hebrajskim alfabetem. Aaron podszedl i przekrzywiajac glowe odczytal kilka slow po hebrajsku.

-Co to znaczy? - zagadnela Stasia.

-"Klucz do ksiegi znajdziecie po wewnetrznej stronie wieka sarkofagu" - odczytal - "Tam gdzie stal jego dom".

-Gdzie jest pochowany Sedziwoj? - zapytal Szef.

-Nie mam pojecia - wzruszyłem ramionami. - Straszy podobno w Nowym Saczu.

-Zmarl we wsi Karwacz albo Krawarz - powiedziala Stasia. Zapewne tam spoczywa.

Aaron podszedl do regalu i zdjal z niego bardzo opasly tom zoltego koloru.

-To urzedowy wykaz miejscowosci PRL - powiedzial. - Poniewaz

zadnych nazw wsi nie zmieniano, powinien być jeszcze dobry...

Przekartkowałem tomiszczę.

-Bez efektów - powiedziałem. - Nie ma w naszym kraju wsi o takiej nazwie.

-To musiało być spore osiedle - zauważył Szefer. - Sędziwoj umarł na zamku, w którym urządził sobie laboratorium... Pewnie ziemie te zajęli Niemcy. Zmienili nazwę, a po odzyskaniu ziem zachodnich Polacy wprowadzili nową. Znajdziemy tę wieś.

-My też poszukamy - uśmiechnęła się Stasia.

-Myślałem, że będziemy pracować razem.

Popatrzyły na mnie zaskoczone. Co mówił Szefer, że zaskoczenie jest

trudno zagrać? Nie, on mówił chyba o rozczarowaniu.

-Razem... - mruknęła Kasia.

-Zgoda buduje, niezgoda rujnuje - uśmiechnął się Szefer.

-Niezgoda też buduje, tylko inne rzeczy - uśmiechnęła się złośliwie - Właściwie, to faktycznie możemy pracować razem. Ale tylko do czasu, gdy znajdziemy sarkofag. Potem same zajmiemy się eksperymentami.

-Zwariowały - powiedział Szefer. - A po co mi wasze eksperymenty? Rozwiążemy zagadkę i będę usatysfakcjonowany.

-Zgoda - Stasia wyciagnela dlon.

Jej kuzynka zawahala sie na chwile, ale tez kiwnela glowa. Rozstalismy sie przed antykwariatem. Szef zadzwonil do Biblioteki Narodowej i poinformowal ich krotko o odnalezieniu bezcennego rekopisu. Jego telefon wywolal po tamtej stronie nieelichy wybuch entuzjazmu. Zdeponowalismy ksiege w hotelowym sejfie i poszlismy cos przekasic.

Rozdzial XIV

Tawerna "Pod Jagnieciem" * Jak wygladal kamien filozoficzny *
Sekrety dawnych zlotnikow * Arabowie szukali nasienia zlota *
Sztuczka z cytrynami * Sedziwoj ratuje Setona.

W jednej z pierzei rynkowych odkrylismy zabawny lokalik o nazwie "Tawerna pod Jagnieciem".-Maja ludzie pomysly - Pan Samochodzik pokrecil zdumiony glowa - Piecset kilometrow od morza urzadzac tawerne.

-Moze to dla marynarzy rzecznych? - zapytalem.

Tawerna urzadzona byla w glebokiej piwnicy. Wystroj wnetrza odpowiadal nazwie. Na scianach wisialy skrzyzowane wiosla, lampy udajace okretowe oraz kawalki sieci. Z magnetofonu w kacie lecialy szanty. Szef zamowil dla siebie bigos, a ja frytki z kielbasa.

-Nie ma to jak proste marynarskie jedzenie - zazartowalem.

-No i co o tym myslisz? - zagadnal.

-Te cieleta zwariowaly - powiedzialem - Kamien Filozoficzny. Kon

by sie usmial.

-Oczywiscie, ze zwariowaly, ale w interesujacy sposob. I dzieki ich obledowi nasze zasoby biblioteczne troche sie wzbogacily.

Zamyslilem sie.

-Czy to mozliwe, zeby dwie dziewczyny spokrewnione ze soba zwariowaly w ten sam sposob? - zapytalem - Cos mi to grubymi nicmi szyte...

-Grubymi nicmi? Hmm. To moze byc rodzinne. U arystokracji na skutek mieszania sie stosunkowo niewielkiej puli genow dochodzilo do przerasowania i defektow genetycznych w postaci dewiacji umyslowych...

-To one twierdza, ze sa kuzynkami - powiedzialem.

-Zalozmy, ze mowia prawde - usmiechnal sie.

-A jesli nie?

-Ale po co niby mialyby klamac na temat swoich wiezow pokrewienstwa? Czy to im w czymś pomaga, albo jakos nam szkodzi? Klamstwo zawsze zajmuje wiecej czasu i wysilku niz powiedzenie prawdy. Daltego sadze, ze sa kuzynkami. Wprawdzie podobienstwo jest dosc nikle, ale jest.

-Ja tam sie nie dopatrzyłem - westchnalem - Ano zostawmy na razie kwestie ich pokrewienstwa. Jesli mowi pan, ze prawda jest prostsza, to przeciez absurdem jest...

Usmiechnal sie lekko.

-Widzisz Pawle, często bywa tak, że coś wydaje nam się niemożliwe. Więc nawet tego nie sprawdzamy. Nie sadzę, żeby w ciągu ostatnich trzystu lat ktoś zajmował się alchemią na poważnie.

Popatrzyłem na niego uważnie i z ulgą stwierdziłem, że żartuje.

-Jak wygląda taki Kamień Filozoficzny? - zapytałem.

-Wedle dzieł znanych alchemików występuje w dwóch odmianach. Jako czerwony lub niebieskawy proszek. Czerwony nazywany jest czerwoną tynkturą, niebieski zazwyczaj nie ma nazwy, choć niektóre dzieła wspominają o białej tynkturze. Istnieje także tynktura płynna, czyli - usmiechnął się - eliksir niesmiertelności. Uzyskuje się go w bardzo prosty sposób. Należy trochę Kamienia Filozoficznego rozpuścić w wodzie, krwi lub w Merkuriuszu.

-Co zacz?

-Merkuriusz to uniwersalny rozpuszczalnik, potrafiący strawić wszelkie ciała.

-Skoro Merkury wiązany był z rteciami to Merkuriusz...

-To zapewne syn rteci, czyli rtec w postaci oczyszczonej lub jakiś kwas, do uzyskania którego stosowano sole rteci, choć szczerze powiedziawszy o takim nie słyszałem... Załóżmy dla uproszczenia, że mamy do czynienia z rteciami. Pamiętasz, wybitny chemik, ciekawe zjawisko wiążące się ze złotem i rteciami?

-Tak. Oba te metale skleja się ze sobą.

-Wlasnie. To jedna z prob, za pomoca ktorych mozna poznac, czy mamy do czynienia ze zlota. W sredniowieczu popularne bylo zlota zlozenie algamatem.

Unioslem pytajaco brwi.

-Zaczynam watpic, czy ty faktycznie skonczyles historie sztuki - westchnal Szefer - Przyznaj sie, kupiles dyplom na bazarze?

-Zlota zlozenie w ogniu - przypomnialem sobie.

-Ach jak miło patrzec, gdy twoja twarz rozjasnia sie usmiechem zrozumienia - zazartowal Szefer - A wiec mielone na pyl zlota mieszano z rtecia tworzac paste. Pokrywano nia przedmiot, a nastepnie wypalano go. Rtec utleniała sie, a zlota pozostawalo na powierzchni. Nalezalo je delikatnie sklepac i wypolerowac. Ludzie owczesnie zyjacy nie rozumeli wielu procesow chemicznych, dlatego wydawalo im sie, ze rtec pozera zlota, rozpuszcza je w sobie... Jedna z najwazniejszych idei alchemicznych byla sformulowana juz przez hermetystow arabskich idea pierwotnej postaci materii. Za pomoca destylacji z wina uzyskiwali spirytus. Wyprobowawszy go stwierdzili, ze jest mocniejszy od wina, z ktorego powstal, wiec nazwali go duchem wina. Zreszta po lacinie spiritus - oznacza "duch". Na drodze destylacji usilowali wycisnac ducha z wszystkiego, z czego sie dalo. Druga powazna idea bylo istnienie ziarna metali. Wytapiajac je z rudy obserwowali jak kamienie, na przyklad malachit, wyprazone zamieniaja sie w metal. Sformulowali hipoteze, ze w skalach znajduje sie nasienie metali, ktore pod wplywem ogrzania rosnie, zamieniajac kamien w inne substancje.

-Rozumiem - kiwnalem glowa.

-Odnosi sie to do wszystkich metali.

-Za wyjatkiem zlota, bo nie istnieja rudy tego kruszcu - powiedzialem odkrywczo - Zloto w przyrodzie mozna znalezc tylko w postaci metalicznej!

-Dlatego tez Arabowie szukali nasienia zlota. Oczywiscie bezskutecznie.

-Czyzby chcieli zasadzic je w czymś innym? - zaciekawilem sie.

-Tak. Od nich wlasnie wspolczesna alchemia przyjela teze, ze istnieje jakis rozsadnik, ktory dodany do dowolnego metalu zamieni go w zloto.

Kiwnalem glowa.

-To brzmi dosc logicznie - powiedzialem - Ale maniacy czesto sa logiczni i przekonywujacy w swoich wywodach... Czy komukolwiek udalo sie uzyskac tego ducha, ewentualnie nasienie zlota?

-Byl taki czlowiek - usmiechnal sie Pan Samochodzik. - Nosil nazwisko Seton, ale czesciej zwano go Kosmopolita...

Wstalismy od stolu i opuscilismy goscinnie lokal. Szlismy po kamiennych plytach. Gdy jedlismy, pokropilo troche i teraz kamienie byly wilgotne. Wicher wyl nam nad glowa, ale trudno mu bylo wciskac sie w waskie zauлки.

-Kim byl Seton vel Kosmpolita? - zaciekawilem sie.

-Był Anglikiem - usmiechnął się Szefer - Mieszkał gdzieś na wybrzeżu morza. Według jednej z alchemicznych legend pewnego dnia na progu jego domu stanął utrudzony wędrowiec, który bez słowa wręczył mu zawiniątko z czerwonym proszkiem i odszedł. Sam Seton wspominał, że dar produkowania Kamienia Filozoficznego wymodlił sobie od Boga. Pierwsza wersja jest dość prawdopodobna, o ile oczywiście odrzuci się jej fantastyczna część. Seton mógł otrzymać tynkturę od kogoś, bowiem w jego życiorysie brak informacji, żeby popisывał się sztuką jej otrzymywania.

-Może produkował ją w jakimś laboratorium, gdzie nie mogło go dojrzeć ludzkie oko? - zauważyłem.

Uśmiechnął się lekko.

-Niewykluczone. A może, podobnie jak wielu posiadaczy tynktury, nie miał pojęcia o jej produkowaniu... W każdym razie, pewnego dnia o skały u wybrzeża jego posiadłości roztrzaskał się holenderski okret handlowy. Seton pośpieszył na ratunek rozbitkom i zabezpieczył ich mienie. Wdzieczny kupiec uratowany z kipieli zaprosił wybawcę do złożenia mu wizyty w Niderlandach. Anglik po roku przybył. Od tej pory dzielnie kroczył przez Europę, odwiedzając różne kraje i we wszystkich pokazując swoją sztukę. Szczególnie cięty był wobec przeciwników alchemii. W obecności niedowiarków dokonywał transmutacji i obdarowywał ich kawałkami złota swojej produkcji.

-Znowu stara dobra metoda z chłopcem ukrytym w skrzyni?

-Raczej nie. Zazwyczaj zadał tygla i metalu nieszlachetnego,

najczesciej olowiu. Odrobine tynktury odsypywal w papierek, ktory wrzucal do tygla. Po stopieniu sie zawartosci pokazywal lezace wewnatrz zloto. Gdy tygiel ostygl, wydobywal je i dzielil pomiedzy zebranych.

-Hmm... To mi przypomina sztuczke iluzjonistyczna z cytrynami.

-Prosze? - zdziwil sie Pan Samochodzik.

-Malo ktory iluzjonista ja pokazuje, jest trudna technicznie i wymaga wielu przygotowaw.

-Znalem kiedys pewnego iluzjoniste - usmiechnal sie SzeF - Usilowal mi nabruzdzić we Fromborku... Opowiadaj, jak ta sztuczka wyglada.

-A wiec iluzjonista umieszcza w doniczce nasionko. Nastepnie zaczyna wykonywac wokol tajemnicze gesty, wypowiadac zaklecia i zachowywac sie w podobnie glupi sposob. W trakcie czarow z doniczki wyrasta roslinka, w ciagu kilku minut osiagajac wysokosc okolo trzydziestu centymetrow. Pojawiaja sie na niej listki. Lepszy fachowcy potrafia sprawic, zeby najpierw krzaczek okwitl. Wreszcie pojawiaja sie owoce. Cytryny lub pomarancze. Iluzjonista zrywa je i

rzuca widzom. Ci, ktorzy zlapia, moga sie przekonac, ze sa prawdziwe.

-Niezle, a jak sie to robi?

-Z gumy, troche grubszej niz balonikowa. Krzaczek jest nadmuchiwany. Zakopujac nasionko magik uruchamia maly

zbiorniczek z gazem, który nadyma pneumatyczne lodyżki. Owoce są wciągnięte do środka i nadmuchują się wolniej, dopiero gdy krzaczek ma odpowiednią wysokość, a wewnątrz panuje wystarczające ciśnienie. Zaczepione są specjalnymi wentylkami, co umożliwia ich odzecie bez ryzyka spuszczenia z drzewka gazu. Czarodziej zrywa je z krzaka, a w dłoni podmienia błyskawicznie na prawdziwe i rzuca widowni.

-Sprytnie - mruknął Szefer - Więc sadzisz?...

-Tak, Szeferie. Seton dodawał coś, może jakieś sole żółte, które barwiły zawartość tygla na żółto. Gdy przestygła, wyjmował ze środka lipny kruszec, który w jego dłoni zamieniał się w prawdziwy. Dużo tego rozdał?

-Kilka kilogramów.

-To bez sensu. Musiał być chyba bogatym człowiekiem.

Szefer uśmiechnął się.

-To bardzo proste. On po prostu inwestował.

-Inwestował rozdając złoto? To najgłupszy sposób lokowania pieniędzy...

Rozesmiał się.

-Pawle, Pawle, od razu widac, że jeszcze nie zetknąłeś się z ludzką podłością...

-Miałem okazję - musnąłem dłońmi bliźnię na ręce, pozostawiona przez noz bandyty.

-Seton pracował nad swoją legendą. Szukał na kontynencie naiwnego jelenia gotowego wyłożyć znaczną sumę na jego "badania naukowe"... Rozdawał złoto, przeprowadzał publicznie transmutacje metali, jak przypuszczasz na zasadzie podobnej do tricku z pomarańczami. Wkrótce zdobył odpowiedni rozgłos. Wtedy podjął decyzję o zdobyciu odpowiedniego protektora. Zaczął od wizyty na

dworze znanego nam już miłośnika alchemii Fryderyka Wirtemberskiego... Uzyskał od niego znaczne fundusze na eksperymenty alchemiczne, ale widocznie życie w cieniu żelaznej szubienicy wpływało na depresyjnie, bowiem pewnej nocy wyparował, uwożąc ze sobą fundusze na badania.

-Po tylu przygodach nie dziwię się, że książę był cięty na hermetystów - uśmiechnąłem się.

-Wyzwoliwszy się spod władzy sponsora Kosmopolita przybył do Saksonii, na dwór elektora Christiana II. Elektor był przeciwnikiem alchemii, w przeciwieństwie do swojego ojca i dziada, którzy na eksperymenty przetracili sporą część skarbcza księstwa. Seton zademonstrował transmutację i poprosił o sponsorowanie dalszych badań. I tu niestety chciwość go zgubiła. Książę, widząc transmutację, nieoczekiwanie uwierzył w możliwość przemiany ołowiu w złoto, ale zamiast wyłożyć gotówkę kazał uwięzić pechowego hermetystę i poddać torturom w celu uzyskania przepisu na wytwarzanie Kamienia Filozoficznego. Seton zniósł tortury bardzo mężnie, nie zdradził sekretu pomimo że trwał trzynastymiesięcy. Elektor usiłował przekonywać go prośbami i groźbami, ale ten milczał.

-Hmm. Jeśli otrzymał tynkturę od kogoś, to może po prostu nie

umiał nic powiedzieć na temat jej otrzymywania?

-Czegos takiego można się chyba domyslać - uśmiechnął się Szefer - Mało kto zniesie długotrwałe tortury, zwłaszcza wobec pomysłowości naszych przodków...

-I jak się skończyła ta pechowa historia?

-Tragicznie. Z Polski przyjechał na dwór elektora nasz alchemik Michał Sedziwoj. Uzyskał widzenie z kolegą po fachu i zapewne doszli do wstępnego porozumienia, bowiem nasz rodak sprzedał swój majątek w kraju, a uzyskane fundusze przeznaczył na korumpowanie złożonej z czterdziestu ludzi straży pilnującej Setona. Zabiegi trwały kilka tygodni, aż wreszcie udało mu się zorganizować ucztę u naczelnika więzienia. W czasie uczt wszyscy pili wino, a potem, jak to w bajkach bywa, zasnęli snem twardym. Wtedy Sedziwoj wstał od stołu, odczepił klucze od pasa strażnikowi i wydobywszy kolegę z lochów uwiozł go pośpiesznie ku niedalekiej polskiej granicy. Zatrzymali się w Krakowie. Niestety rany zadane podczas tortur były tak poważne, że Seton po kilku tygodniach zmarł. Usiłował leczyć się eliksirem życia, uzyskanym poprzez rozpuszczenie tynktury w merkuriuszu, ale to tylko pogorszyło jego stan. Za uratowanie życia podarował Sedziwojowi spora część proszku, ale odmówił przekazania sekretu robienia Kamienia.

-Chyba faktycznie go nie znalazł - westchnąłem.

-Po śmierci, Setona pogrzebano w kościele Dominikanów, zaś jakiś czas potem Sedziwoj ożenił się z jego żoną Teresą. Przypuszczalnie od niej uzyskał resztę proszku. Resztę życia spędził na próbach zrozumienia, czym właściwie jest substancja,

ktora wpadla mu w rece.

-Jesli Seton byl oszustem, to mogl go na lozu smierci wtajemniczyc w swoje praktyki.

-Albo czul wyrzuty sumienia i nie wtajemniczyl, zeby zabrac ze soba zlo do grobu - usmiechnal sie SzeF.

-W jaki sposob alchemicy oszukiwali ludzi? - zaciekawilem sie - Bo metoda Setona z proszkiem, albo ta z dzieckiem ukrytym w skrzyni z pewnoscia

nie wyczerpuja szerokiej gamy mozliwosci...

-Ludzosc, napedzana zadza zysku, wspina sie na intelektualne wyzyny - usmiechnal sie SzeF - Popularna praktyka bylo pokazywanie monet zamienionych jednostronnie w zloto pod wplywem roznych eliksirow...

-Jak to robiono?

-Och, metoda jest bardzo prosta, choc wymaga pewnych przygotowan. Brano kawalek zlotej blachy i wybijano z niej monete, najczesciej na wzor istniejacego srebrnego talara, lub zgoła nieistniejaca. Nastepnie wykorzystujac fakt, ze rtec przykleja sie do powierzchni kruszcu "bielono" ja wlasnie metalem Merkurego. Zlota moneta przybiera wyglad srebrnej. Wrzucano ja w silny kwas, a musisz pamietac, ze w szesnastym i siedemnastym wieku znano juz zarowno kwas siarkowy, jak i azotowy. Rtec wchodzila w reakcje chemiczna i zamieniona w sole metaliczne odpadala od powierzchni kruszcu. Wowczas alchemik triumfalnie wydobywal ja z naczynia i podawal stojacym

wokół spragnionym widowiska ludziom. Moneta z reguły niesiono do najbliższego złotnika, który stwierdzał jej wysoką próbe... Innym wariantem tej zabawy było złutowanie preta. Część robiono ze złota, resztę z żelaza. Złoto bielono rteciami, a potem mieszano za jego pomocą naczynie z Kamieniem Filozoficznym, wypełnione w rzeczywistości kwasem. Rtecie ulegały rozpuszczeniu, a widzom mogło się wydawać, że część zanurzona w cieczy zamieniła się w złoto.

-Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, sam pewnie dałbym się nabrac - powiedziałem z uznaniem - Trzeba przyznać, że sprytnie to sobie wykombinowali. A kiedy wyginęli ostatni alchemicy?

-No cóż. W czasach Sędziwoja, a więc w początkach siedemnastego wieku byli jeszcze dość liczni. Stopniowo jednak ich liczba malała. Słynny Józef Balsamo, zwany Caligostro, napisał swojego czasu list do któregoś z książąt kurlandzkich, chyba Jakuba Kettlera, list ze szczegółowym przepisem na Kamień Filozoficzny, ten ciekawy dokument zachował się zresztą... W osiemnastym wieku na dobrą sprawę wymarli. Zastąpili ich chemicy. Na polu oszukiwania bliźnich w osiemnastym i dziewiętnastym wieku prym wiodli hipnotyzerzy, zwolennicy magnetyzmu zwierzęcego i innych obłąkanych nauk. Alchemicy nigdy jednak nie zniknęli bez śladu. Obecnie w Europie Zachodniej istnieje nawet Towarzystwo Alchemiczne.

-Zdumiewające. Przecież mamy dwudziesty wiek!

-I co z tego? - uśmiechnął się - We Francji zarejestrowanych jest czterdzieści dziewięć tysięcy lekarzy i pięćdziesiąt tysięcy jasnowidzów oraz wrożek...

-Rozumiem przepowiadanie przyszłości, ale alchemia - skrzywiłem się.

-Widzisz, Pawle, w jadrze naszego Słońca pod wpływem morderczej grawitacji zachodzą procesy syntezy pierwiastków. Wodor staje się helem, hel węglem. Podczas wybuchów gwiazd supernowych powstają także metale ciężkie. Uran, złoto, platyna... Do przemiany pierwiastków potrzeba jest przypuszczalnie mordercza grawitacja i temperatura. Wyobraź sobie teraz, że dostarczasz nie gigantycznej ilości energii naraz, tylko niewielkich, a za to latami. Jest jakieś doświadczenie alchemiczne, opisane przez średniowiecznych angielskich mnichów, w którym oliwnym kagankiem podgrzewa się mieszaninę siarki z czymś jeszcze, chyba z rtecina. Podgrzewanie miało trwać dwa lata bez przerwy i w wyniku tej operacji miało otrzymać złoto, bez pomocy Kamienia Filozoficznego.

-Hmm. Czy zakon ten był bardzo majetny?

-No coż, w sprawozdaniu zawarta była informacja, że biorąc pod uwagę ceny oliwy, produkcja złota tym sposobem jest nieopłacalna.

-Można by to sprawdzić - uśmiechnąłem się. - Zbudować piecyk z termostatem, gaz jest w kuchenkach. Po dwóch latach będę wiedział...

Szef uśmiechnął się.

-Pawle, Pawle - zapomniales o jednej rzeczy.

-O czym?

-Gaz jest w kuchence, ale płynie z sieci.

-No właśnie, jest dostępny bez przerwy...

-A rachunek za gaz? Pamiętasz, jak ładowałeś akumulator pily? A teraz policz, ile gazu pojedzie przez siedemset dni ciągłego podgrzewania...

Umilkł, a ja zamysliłem się.

Rozdział XV

Analiza grafologiczna * Pożyczamy piecyk * Warsztat samochodowy * Starzy znajomi * Czy nasze zadanie zostało wypełnione?

Po księgarni przyjechali o szesnastej. Przedstawiciel Biblioteki Narodowej w towarzystwie dwu uzbrojonych konwojentów. Wypełniliśmy protokół przekazania, dzieło zabezpieczono w stalowej kasecie przykrczonej do podłogi samochodu. Wreszcie odjechali.-Ulżyło mi - powiedział Szef - A teraz trzeba się przejść do muzeum.

No i powędrowaliśmy. Wicedyrektor Lucjusz powitał nas w swoim gabinecie.

-Przyszedł do panów list - wykonał dłonią gest w stronę komputera.

Uruchomiłem pocztę.

-To w sprawie tego listu z propozycją wymiany - zraportowałem Szefowi. - Wysyłałem próbkę pisma znajomemu grafologowi.

-Pamiętam - uśmiechnął się pan Tomasz. - I co pisze?

-Kroj liter jest perfekcyjnym, niemal podręcznikowym naśladownictwem siedemnastowiecznej kaligrafii, natomiast efekt ten psuje zastosowanie całkowicie współczesnego słownictwa i wiecznego piora prawdopodobnie marki "Parker" ale napełnionego zielonym atramentem Watermana.

-Hmm...

-Podał także cechy charakteru wydedukowane z graficznej strony pisma.

-I jakież to?

-Wrażliwość, systematyczność w wyciąganiu wniosków, wierność wyższym idealom, przewaga postrzegania intuicyjnego nad intelektualnym, umiejętność dążenia do dalekich celów, ostrożność, uczciwość. Dodał też że jeśli chcemy ją zatrudnić to będzie znakomita oddana sprawie pracownica.

-Czarna magia - westchnął szef.

-Być może - uśmiechnąłem się. - Ale grafologia tego rodzaju staje się coraz powszechniej stosowana metoda weryfikacji kandydatów na kierownicze stanowiska.

Pan Samochodzik odwrócił się do dyrektora.

-Nasze działania weszły w kolejny etap - uśmiechnął się -

Potrzebujemy atanatora.

Dyrektor wzniosł oczy ku niebu.

-Tak po prostu potrzebujecie? - westchnął.

-Niestety, wymienienie go na "Niema Ksiege" okazało się niemożliwe - powiedziałem - Dlatego chcielibyśmy go wypożyczyć celem skopiowania.

-Oczywiście gwarantujemy jego całkowite bezpieczeństwo - dodał Pan Tomasz.

Dyrektor Lucjusz westchnął ciężko.

-Nie istnieje coś takiego jak całkowite bezpieczeństwo - powiedział w zadumie - Gdy wypożyczono z Muzeum Narodowego Dame z Lasiczką Leonarda da Vinci transportowano ją z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, pod konwojem, specjalnym samolotem w niezatopialnej skrzyni...

-Wprawdzie nie dysponujemy niezatopialną skrzynią, ale sądzę, że jesteśmy w wystarczającym stopniu odpowiedzialni - powiedział Szef - Oddamy piecyk za cztery lub pięć godzin.

-Wystarczy jutro rano - uśmiechnął się - Ale i tak musicie podpisać pół tony papierków... a tak właściwie, to jak zarejestrujemy to wypożyczenie?

-Proszę zapisać, że piecyk posłuży jako wzór do skopiowania - powiedziałem.

Kiwnął głową i uśmiechnął się.

-A co potem? Bedziecie wazyli Kamien Filozoficzny?

-Tego jeszcze nie wiemy - mruknal Szef. - Nie dla nas ta kopia...

-No coz, nie bede wnikal, ale pozdrowcie te dwie mlode damy - powiedzial.

Ruszyliśmy do magazynu. Piecyk stal tak jak kilka dni temu, zakurzyl sie tylko troche. Szef otworzyl klape i wyjal ze srodka szklana kule.

-To zostawimy na miejscu, zeby sie nie stluklo - powiedzial - Pawle, zmierz obwod w trzech plaszczyznach...

Zapakowalismy piecyk w gazety i okleilismy tasma samoprzylepna. Niebawem opuscilismy goscinne progi muzeum i wsiedlismy do samochodu.

-Dokad pojedziemy? - zapytalem, przekrecajac kluczyk w stacyjce.

-Zgadnij. Pokaz, ze nadajesz sie na detektywa.

Zamyslilem sie.

-Przyjmijmy, ze chce skopiowac taki atanator. Pojade na politechnike i poszukam na tablicy ogloszen informacji o czlowieku, ktory studentom robi prototypy urzadzen mechanicznych wedle zalaczonego schematu...

-Pomysl sam w sobie nieglupi, ale chyba mam lepszy. Jedz na dworzec PKS-u.

Pojechalem. W jednej z waskich uliczek kolo dworca znajdowal sie niewielki warsztat samochodowy. Wjechalem na podworze zawalone wrakami syrenek i maluchow. Jeep wygladal nieco dziwnie na tle zabudowan pamietajacych zapewne poprzednie stulecie. Z bliska warsztat wygladal znacznie lepiej. Czesci samochodow lezaly rowniutko ulozone. Dachy pokryto nowa papa, odrzwia i okiennice zrekonstruowano z ciemnego drewna. Rozgladalem sie z zaciekawieniem. Ta grupa budynkow zapewne dawniej byla zajazdem. Przybywali tu chlopi z wozami i przeladowywali towary do wagonow, albo odbierali obladowanych kufkami dziedzicow okolicznych majatkow. W sporym budynku wspartym ciezko na drewnianych kolumienkach domyslilem sie karczmy. Drzwi otworzyly sie i z wnetrza wyszedl sprezystym krokiem mezczyzna w czysciutkim kombinezonie mechanika. Na oko sadzac, mogl miec jakies piecdziesiat, piecdziesiat pare lat.

-A niech mnie kule bija! To przeciez Pan Samochodzik - wykrzyknal na widok Szefa.

Z wnetrza wysypali sie jeszcze dwaj mechanicy.

-Pawle, poznaj moich przyjaciol - powiedzial Szef. - Wilhelm Tell, Sokole Oko i Wiewiorka...

Wymienilismy usciski dloni.

-A wiec, czym mozemy sluzyc? - zagadnal Wiewiorka, podnoszac maske wozu. Popatrzył w mechanizm i pokiwal w zadumie glowa.

-No coz - powiedzial Szef - Chcialem prosic was o malenka przysluge.

-Panie Tomaszu - powiedział z wyrzutem Sokole Oko. - Pan ma prawo nie prosić, ale zadac!

Szef usmiechnal sie lekko.

-A wiec, panowie, mamy taki problem.

Wydobyl z wnetrza wozu atanator. Przeszlismy do warsztatu. Postawil go na stole. Odpakowali i zapatrzyli sie nan w zdumieniu.

-Co to takiego? - zapytal ostroznie Wilhelm Tell.

-To piecyk alchemiczny - wyjasnil Szef. - Trzeba go bedzie skopiowac.

-Ma byc na wczoraj? - zapytal Wiewiorka.

-Niestety... Jutro switem musi byc z powrotem na miejscu. Kiwneli jednoczesnie glowami. Sokole Oko wyjal z kieszeni suwmiarke i zbadal grubosc blachy.

-Trzy przecinek piec - powiedzial. - Chyba nie mamy takiej na skladzie.

-Wezmy te karoserie od UAZ-a - zaproponowal Wiewiorka. - Z lewej burty wytniemy kawalek o odpowiedniej szerokosci.

Zakrzatneli sie przy robocie, az miło bylo popatrzec. Szybko wymierzyli wszystkie elementy. Zawarczaly szlifierki. Wiewiorka tanczyl wokol piecyka z linijka i tasma miernicza i wesolo wykrzykiwal kolejne liczby.

-Opowiadałem ci o nich - powiedział Pan Samochodzik. -
Popatrz, że przez te wszystkie lata nie zmienili się specjalnie.
Nadal są pełni zapału.

-To prawda - powiedziałem.

Mój wzrok przesunął się powoli po ścianach. Nieoczekiwanie
wpatrzyłem w oprawioną w szkło fotografię. Podszedłem, żeby się
jej dokładniej przyjrzeć. Na tle namiotu stał Szefer w otoczeniu
trzech harcerzy. Był młodszy o dobre trzydzieści, a może nawet
czterdzieści lat.

-Trochę czasu upłynęło - powiedział Szefer, który niepostrzeżenie
stał mi za plecami.

Nad fotografią na ścianie wisiała pociemniała ze starości
drewniana kusza ze stalowym łuczyskiem.

-Pamiętasz jeszcze, jak się z tego strzela? - zagadnął Szefer
Wilhelma Tella, który właśnie szukał czegoś na regale obok nas.

-Jasne - uśmiechnął się - Dzieci też nauczyłem. Nie zginie
umiejętność. Życzy pan sobie, panie Tomaszu polakierować,
poniklować czy oksydować?

-Na czarno - zdecydował Szefer - Nity muszą być żelazne.

-Domysliliśmy się - odkrzyknął Wiewiórka.

-Nie znacie kogoś, kto byłby w stanie odlać nam ze szkła taką
kulę? - Szefer pokazał kartkę z moimi notatkami i schematycznym
rysunkiem.

-Baska miał warsztat szklarski, ale od dawna przestawił się na produkcję witraży - zauważył Sokole Oko - ale znamy takiego rzemieślnika, może on będzie w stanie...

-Spora ta pileczka - mruknął Wilhelm Tell. - Panie Tomaszu, a może w sklepie firmowym huty szkła Wolomin?

-Musiałbym wracać się do Warszawy - westchnął Szeff.

-Niekoniecznie. Maja sklep także w Krakowie - zapisał nam na kartce adres.

Szeff wręczył mi ją.

-Pawle, wezmiesz nasz samochód i pojedziesz. Zobaczą, co mają.

-Tak jest - przytaknąłem. - Szkło żaroodporne?

-Tak i najlepiej niech to będzie czysta krzemionka SiO_2 . Lepiej, żeby nie wchodziło w reakcje z zawartością...

-A może właśnie musi wchodzić? - zapytałem. - Jeśli ma to być dokładna kopia?... Może w doświadczeniach Sedziwoja szkło reagowało?

-Przecież tłukli kryształy gorskie - powiedział z przyganą.

Pojechałem. Uliczki o tej porze były strasznie zatłoczone. Niestety, na miejscu okazało się, że sklepik został zlikwidowany. Westchnąłem ciężko i wróciłem do warsztatu. Trzej byli harcerze kończyli już rekonstrukcję pieca.

-Masz to? - zagadnal Szef.

-Niestety... - wyjasnilem mu problem.

-No coz, niech sie nasze alchemiczki wykaza - usmiechnal sie. -
A wiec, ile jestem ostatecznie winien?

Wiewiorka zamachal gwaltownie rekami.

-Panie Tomaszu, wstydzilibysmy sie robic dla pana cos za
pieniadze.

Obejrzałem wykonany przez nich atanator. Był identyczny jak ten
przywieziony przez nas z muzeum. Blacha została poczerniona,
tylko dziesiątki nitów polyskiwały srebrno. Wydawał się
solidniejszy niż ten przywieziony z muzeum. I chyba był też
ładniejszy.

-Trzeba jeszcze wylepic od srodka glina i dokupic jajo -
powiedzial Szef.

-No, to jeszcze raz dziekuje i do zobaczenia - wstawil oba piece
do jeepa i wyjechalismy z podworza.

-Nie wiedzialem, ze panscy dawni przyjaciele maja warsztat
samochodowy - powiedzialem w zadumie.

-A dlaczego nie mieli by miec? - zdziwil sie Szef - Z czegos
trzeba zyc. Nie wszyscy moga byc detektywami - puscil do mnie
oko - Podjedz pod muzeum.

Wyjal telefon komorkowy i przez chwile rozmawial z dyrektorem
Lucjuszem. Gdy podjechalismy przed budynek, stary muzealnik

stal na schodach.

-Czuje, jak wraca mi zycie - powiedzial na widok zabytku.

Zanieslismy go na pietro i umiescilismy bezpiecznie w magazynie.

-Pokażcie jeszcze te rekonstrukcje - zachecil.

Szef otworzył bagaznik. Dyrektor obejrzał starannie kopie.

-Naprawdę niezła - powiedział. - A więc tajemnicze młode damy dopięły swego.

-Za obopolną korzyścią - uśmiechnął się Szef.

Siedliśmy do wozu i ruszyliśmy pod antykwariat.

-Co robimy dalej? - zapytałem - Właściwie, to nasze zadanie zostało wypełnione.

-Właściwie z nawiązką - uśmiechnął się Szef - Odzyskalismy całą masę książek z biblioteki Storma, do tego dostarczamy właśnie naszym niedawnym konkurentkom piecyk. Jedynym pokrzywdzonym jest Aulich, ale w sumie to mu się należało za niszczenie zabytków - znalazłszy usprawiedliwienie Szef odprezył się lekko.

-Wciąż moglibyśmy wracać.

-Hmm... Sądzę, że przerywać poszukiwania na tym etapie to skrajna głupota. Popatrz, ile już zdziałalismy: rozwiązaliśmy zagadkę Storma...

-Ale ciagle nie wiemy, po co im to pudlo - pieszczotliwie poklepałem piecyk.

-No własnie. Poza tym jest jeszcze cos. Przypomnij sobie napis wywabiony przez Aulichę. Po wewnętrznej stronie sarkofagu jest zawarty klucz do "Niemej Ksiegi", a raczej rozwiazanie tego problemu w postaci zapisu...

-Grob Sedziwoja odnajda sobie same.

-Ale my musimy jako pracownicy ministerstwa wyrazic zgode na ekshumacje - zauwazyl.

-Gdy juz go znajda, nie bedzie im potrzebna zadna zgoda - westchnalem. - Wezma swoj laser i wypala dziure...

-Wlasnie po to, zeby wszystko bylo zgodnie z prawem, musimy dopilnowac tej sprawy - powiedzial Pan Samochodzik. - Poza tym, sami jestesmy ciekawi. Nie prawda?

-Prawda - przytaknałem.

Zatrzymalem sie przed antykwariatem. Mimo poznej pory palilo sie wewnatrz swiatlo.

Rozdzial XVI

Czy powinnismy wyjechac * Szukamy grobu alchemika * Sekret Kelleya * Gdzie straszy duch Sedziwoja * Odrobina zdrowego rozsadku

Zapukalismy do drzwi i po chwili otworzyla nam panna Stasia. Weszliśmy do srodka.-Mamy dla was zgodnie z umowa piecyk -

powiedział Szef, stawiając ataman na podłodze. - Niestety bez jaja filozoficznego wewnątrz. - Szkło to najmniej ważny element - usmiechnęła się. - Poradzimy sobie z tym już bez panów pomocy.

Przyszła Kasia. Otworzyła pokrywę.

-Będzie potrzebne wiaderko gliny - powiedziała.

-Skąd wiesz? - zdziwiłem się.

-Glina to nie problem - usmiechnęła się jej kuzynka. - Siadajcie, proszę.

Usiedliśmy przy stole w wygodnych fotelach.

-A więc wypełnili panowie swoją część zobowiązania - powiedziała nasza gospodyni - Czy teraz opuszcza panowie to niegościnne miasto?

-Niegościnne? - zdziwiłem się.

-Zastanawialiśmy się nad tym - powiedział Szef. - I zdecydowaliśmy się pozostać do czasu, aż odnajdą panie sarkofag. Nasza pomoc jako urzędników państwowych...

-Rozumiem - usmiechnęła się - Dziękujemy za troskę. Czy mam rozumieć, że to propozycja połączenia wysiłków?

Kasia dała ostrzegawczy znak reka.

-Chwileczkę - powiedziała - Czego oczekujecie w zamian?

-Nasza pasja jest rozwiazywanie zagadek przeszlosci -
powiedzial Szef. - Nie wysuwamy zadnych roszczen do wynikow
waszych badan.

-Zgoda - powiedzialy obie jednoczesnie, a potem spiorunowaly
sie nawzajem wzrokiem.

-A wiec musimy odnalezc sarkofag Sedziwoja - powiedziala
Stasia - Czy maja panowie jakies pomysly?

-Coz, na naradach wojskowych zawsze wprowadza sie zasade,
ze wypowiadaja sie po kolei oficerowie od najmlodszych
stopniem. To zabezpiecza swobode dyskusji, bo gdyby najpierw
przemawial general, to jego podwladni mogliby sie obawiac
wysuwac kontrpropozycje, a gdyby usilowali podwazac jego
zdanie, groziloby to upadkiem jego autorytetu, co na wojnie jest
niebezpieczne. Dlatego, jesli pozwolicie, wypowiem sie jako
ostatni...

-Jest pan bardzo madrym czlowiekiem - usmiechnela sie Stasia.
- A wiec Kasiu, zaczynaj.

-Sadze, ze najpierw trzeba byloby ustalic miejsce pochowku
Sedziwoja - powiedziala z namyslem - Wowczas bedzie mozna
zastanowic sie, gdzie zostal pogrzebany.

Jej kuzynka sklonila glowe i oddala mi glos.

-W nastepnej kolejnosci musimy ustalic, czy zostal pogrzebany
w miejscu smierci, czy tez jego zwloki przewieziono gdzies dalej.

Popatrzyłem na Szefa.

-A więc miejsce śmierci - powiedział. - Co wiemy na ten temat?

-Od mniej więcej 1620 roku mieszkał w Krawarzu - powiedział Szefer - Zmarł w 1636 roku, w wieku około osiemdziesięciu lat... Prowadził badania alchemiczne w znajdującym się tam zamku.

-Dobrze - powiedziała Stasia, wobec tego gdzie jest Krawarz?

-Przypuszczamy, że ta wieś nazywała się Krawarz w czasach, gdy ta część, prawdopodobnie Śląsk, należała do ziem koronnych - powiedziała Kasia - Niestety, potem przez trzy wieki Niemcy germanizowali te tereny...

-W takim przypadku po drugiej wojnie światowej, gdy odzyskalismy te ziemie, nazwa, już zgermanizowana została ponownie zmieniona.

-Krawarz - mruknąłem - Co wiemy? Był tam zamek i kościół. Takich miejscowości na Śląsku znajdziemy setki. Jedynym wyjściem wydaje mi się wysłać listy do wojewodzkich konserwatorów zabytków na podejrzanym przez nas terenie z prośbą o przesłanie spisów epitafiów wszystkich kościołów powstałych przed 1636 rokiem. W tym przypadku, jeśli zachowała się płyta nagrobna, możemy znaleźć grob...

-Metoda ta posiada pewne wady - zauważyła Stasia - Po pierwsze, kościół, w którym pogrzebano alchemika, mógł zostać w międzyczasie przebudowany lub zniszczony w czasie działań wojennych. Po drugie, epitafium mogło zostać zniszczone w czasie wojen. Po trzecie, grob mógł być wykorzystany wtórnie. Po czwarte, mogło nie być żadnej tablicy nagrobkowej, tylko sarkofag stojący w

krypcie rodzinnej. Wreszcie mogło się wydarzyć tysiące innych wypadków losowych...

-Ta droga nie zajdziemy do celu - powiedziała Kasia - Trzeba zidentyfikować wieś inaczej...

Szef unosił dłoń do góry prosząc o głos.

-Obawiam się, że popełnimy tu pewien błąd - powiedział - Po śmierci alchemika jedna z jego córek odziedziczyła dom w Krakowie, a druga wieś Krawarz, prawdopodobnie wraz z zamkiem i dom w Olomuncu.

-Czyli Krawarz będzie się znajdował w pobliżu Olomunca - ucieszyłem się - Bo raczej nie dał jej w spadku wsi i domu oddalonych o setki kilometrów.

-Też tak sądzę, choć nie mamy oczywiście pewności - powiedział Szef - W tamtych czasach szlachcic mógł mieszkać w mieście, a wyciskanie zysków ze wsi pozostawić w rękach plenipotentów...

-Mamy problem - powiedziała Kasia, która w międzyczasie wertowała indeks mamy samochodowej Polski. - Nie mogę tu znaleźć Olomunca.

-Bo miejscowość ta leży w Czechach - wyjaśnił Szef spokojnie - Nie zapominajcie, jak bliskie stosunki nawiązał swojego czasu nasz przyjaciel z dworem w Pradze...

-A więc czeka nas wycieczka do Czech - mruknęła Stasia - Dobrze, że nie na Księzyc...

Kasia popatrzyła na mnie uważnie.

-Czy Storm mógł pojechać do Czechosłowacji przed wojną? - zapytała.

-Mógł, dlaczego nie - odpowiedziała Stasia - Drobne konflikty dyplomatyczne nie przeszkadzały obywatelom obu krajów w przekraczaniu granicy.

-Nie, coś mi się tu nie zgadza - powiedział Szeff - Wyobraźcie sobie, że do proboszcza w czeskim kościele przybywa żydowski cadyk z Polski i domaga się otworzenia sarkofagu człowieka od trzystu lat spiącego snem wiecznym. Proboszcz, jak sądzi, wezwwałby aktyw parafialny i przegnał gościa gdzie pieprz rośnie.

-Cadyk przybywa zamaskowany, stroj organizacyjny zostawił w hotelu - podsunąłem - Legitymuje się fałszywymi dokumentami, upoważnieniem prymasa na przykład i proboszcz jeszcze mu młotek przyniesie.

-Dobrze - powiedział Szeff - Przyjmijmy na chwilę twój punkt widzenia. Storm podaje się za zagranicznego naukowca, nie zostaje rozszyfrowany. Dostaje się do grobu Sedziwoja. Tylko po co?

-Kamień Filozoficzny - powiedziała Stasia poważnie. - To go przyciągnęło.

-Kamień Filozoficzny ukryty w grobie? - zdumiałem się - Przyznam, że nie rozumiem - wzruszyłem bezradnie ramionami.

-Widzisz, Pawle, tylko bardzo nieliczni spośród alchemików produkowali go samodzielnie. Weźmy trzech fachowców którzy chwalili się znajomością transmutacji metali. Seton otrzymał tynkturę, prawdopodobnie od włochej lub rozbitka na wybrzeżu Anglii. Sedziwoj swój zapas kamienia dostał od Setona. Z kolei Kelley wszedł w posiadanie kamienia w jeszcze dziwniejszy sposób. W pewnej karczmie w Anglii zaproponowano mu zakup starego manuskryptu alchemicznego. Ponieważ cena była dość wygórowana, a on się wahał, zaproponowano mu dodatkowo dwie kule z kości słoniowej. Historia manuskryptu była zaskakująca. Podczas porzadzania ruin pobliskiego klasztoru znaleziono trumnę mnicha, a w niej szkielet w habitach. Na piersi zmarłego leżał wspomniany wyżej pergamin, zaś w dłoniach mnich ścisnął obie kule. Kelley zbadał je dokładnie i udało mu się je rozkrecić. W pierwszej było trochę niebieskiego proszku, sądził, że mógł to być jakiś związek srebra, uchodzący za gorszą odmianę Kamienia Filozoficznego. Nazywany był białą tynkturą i służył do przemiany metali w srebro. W drugiej kuli był proszek czerwony, czyli czerwona tynktura - Kamień Filozoficzny.

-Jeśli Storm znalazł te historie, to mógł zapragnąć zajrzeć do trumny Sedziwoja - mruknąłem - Otworzył sarkofag i zobaczył napis wyryty po wewnętrznej stronie wieka.

-Zaraz - powiedziała Kasia - Słyszałam, że Sedziwoj straszy na rynku w Nowym Saczu.

Parsknelismy śmiechem. Zaczzerwieniła się, ale zaraz popatrzyła na nas wyzywająco.

-Może jest pochowany w którymś z kościołów nowosadeckich. A ludziska sobie wymyśliли legendę o duchu. Takie bajania czasem

moga zawierac ziarno prawdy.

-Albo Krawarz znajduje sie gdzies na satecczyznie - zauwazylem - Tylko nazwa ulegla po tylu latach zmianie i jest obecnie nierozpoznawalna...

-Tego nie da sie wykluczyc - powiedzial SzeF - Ale zastanowmy sie nad takim problemem. Skad Storm wiedzial, gdzie szukac grobu?

Zapadlo milczenie.

-Musial dotrzec do jakichs danych, do ktorych nie dotarlismy my - zauwazylem - Moze znalazl je w jakiejz przedwojennej ksiazce, albo dotarl do nich sila swojego umyslu. Byl przeciez belszentow, cadykiem - cudotworca.

SzeF popatrzył na mnie ciezkiem wzrokiem.

-Pawle, zachowaj choc odrobine zdrowego rozsadku - poprosil - Czasami zastanawiam sie, czy kontakty z Onufrym Rzeckim nie zaszkodzily ci na glowe...

-Profesor Jerzy Gassowski uzywal jasnowidza podczas badan archeologicznych - zauwazylem.

-Owszem, pod sam koniec swojej kariery i tylko po to, zeby zrobic komus na zlosc - lagodnie upomnial mnie SzeF - Byc moze jasnowidze faktycznie widza przyszlosc. Byc moze Storm wszedl w trans i znalazl grob Sedziwoja rzucajac olowkiem w mape, ja mimo wszystko wolalbym, zebysmy znalezli racjonalne rozwiazanie zagadki miejsca pochowku alchemika.

-Zostal pochowany w Krakowie - powiedziala nieoczekiwanie Stasia.

-Dlaczego tak sadzisz? - zapytalem.

-Przypomnijcie sobie napis na "Niemej Ksiedze": "Klucz znajduje sie po wewnetrznej stronie wieka sarkofagu. Tam gdzie stal jego dom".

-Olomuniec - mruknal SzeF - albo Krakow.

-Krakow nalezy wykluczyc -zaprotestowalem - W ksiazce wspominali, ze pogrzebany zostal w Krawarzu. To by wykluczalo tez Olomuniec.

-W miejscu, gdzie stal jego dom - mruknela Stasia - Teraz jest tam budynek Szkoły Rolniczej. Zbudowano go w miejscu, gdzie znajdował się grob alchemika? To bzdura...

-Moglo byc tak, ze najpierw zostal pochowany w Krawarzu, a potem po jakimś czasie zostal ekshumowany i przewieziony do Krakowa - zauwazylem.

SzeF zamyslil sie gleboko.

-Poczekaj - powiedzial - Dom w Olomuncu odziedziczyla jedna z jego corek. Byc moze tamta czesc rodu wymarła bezpowrotnie i wtedy druga galaz rodziny zdecydowala sie sprowadzic prochy do Krakowa, choc wydaje mi sie to malo prawdopodobne. To byly inne czasy. Miejsce pochowku nie mialo wiekszego znaczenia, ostatecznie i tak wszyscy spotkac sie mieli w raju... Przyjmijmy jednak, ze zapragneli sprowadzic zwloki... W miejscu domu

Sedziwoja w Krakowie stała jakas kamienica, potem wybudowano tam nastepna. W zadnym momencie historii na dzialce tej nie stala ani kaplica, ani nie wytyczono cmentarza. Zreszta, nawet gdyby gdzies tam znajdowal sie grob Sedziwoja...

-Byl w piwnicy tej pierwszej kamienicy - zauwazylem - Znaleziono go podczas rozbiorki, zaplatal sie tam Storm...

-Z trumny wydobyl manuskrypty - usmiechnela sie Stasia.

-Nie - zaprotestowal SzeF - Juz wiemy, ze cadyk je kupil w antykwariatach w Krakowie, miedzy innymi u Aarona.

-A moze chodzi o ktorys z innych domow nalezacych do Sedziwoja? - zapytala nieoczekiwanie Kasia - Przeciez sprzedal jakas kamienice, by zdobyc fundusze na ratowanie Setona.

-Racja - zauwazyl Pan Samochodzik. - Macie jakis zyciorys Sedziwoja?

Mialy. SzeF usiadl wygodnie i zaglebil sie w lekturze. Wreszcie usmiechnal sie i zatrzasnal ksiazke.

-Od tego trzeba bylo zaczac - powiedzial - A tymczasem strzepimy jezyk po proznicy. Tu zapisano, ze mial dwa domki w miejscu, gdzie znajduje sie kosciol O.O. Kapucynow. Sprzedal je juz w 1614 roku.

-Jesli Kapucyni pospieszyli sie z budowa kosciola, to mogli spoczac tam trzydziesci z hakiem lat pozniej - powiedzialem - Jesli sprzedal domy zakonowi odpowiednio tanio, to jako dobroczynca zakonu mial prawo spoczac w ich kryptach...

-To jakas bzdura - powiedziala Kasia z namyslem. - Sedziwoj nie mogl sprzedac swojej ziemi i domow zakonowi Kapucynow, bo przybyli oni do Krakowa dopiero w 1695 roku. Wtedy tez faktycznie nabyli ziemie i wzniesli na niej
swoj kosciol...

-Hm... - mruknela Stasia - Trzeba sie zastanowic. Musi tu chodzic o jakis zakon, ktory albo osiadl w Krakowie okolo 1620 roku, ewentualnie, ktory w tym okresie podjal prace budowlane. Wskazowka mowi, ze pochowany zostal w budynku wzniesionym na jego dawnej ziemi.

-Niestety nie dysponujemy pelnym wykazem nieruchomosci nalezacych do Sedziwoja - powiedzial SzeF z namyslem - ale wiecie co, moze uda sie wygrzebac te informacje z dawnych ksiag grodzkich. Odnotowywano w nich transakcje...

-Uklad ulic bardzo sie mogl od tamtego czasu zmienic - zaprotestowala Stasia. - Trzeba chyba zdobyc wykaz klasztorow i podzwonic z zapytaniem, kiedy zostaly erygowane.

Kasia siegnela na polke po ksiazke telefoniczna.

-Tylko po co pytac kiedy zostaly zalozone - usmiechnal sie SzeF.
- Zapytajcie po prostu, czy w ich kryptach nie zostal czasem pogrzebany Michal Sedziwoj.

Stasia zniknela na zapleczu, skad po chwili dobiegl odglos wykrecania numeru.

-Znowu mam jakies watpliwosci - powiedzialem. - Chyba o czymś

zapomnieliśmy...

Szef popatrzył na mnie uważnie.

-Spójrz zdefiniować źródło tej niepewności - powiedział. -
Spokojnie. Ja też pomyślę...

-Nic z tego - powiedziała Stasia, gdy po kilku minutach wynurzyła się z zaplecza. - W większości nie odebrano telefonu, chyba jest już zbyt późno.

-To możliwe - powiedział Pan Samochodzik. - I co tu dalej z tym fantem robić?... Wiecie, co mi przyszło do głowy? Seton został pochowany w klasztorze Dominikanów. Być może Sedziwoj chciał po śmierci spocząć obok swojego mistrza?

-Sedziwoj poślubił wdowę po Setonie - zauważyła Stasia. -
Możemy założyć taką ewentualność. Była żona Michała, ale ciągle jeszcze wspominała swojego pierwszego męża. Po śmierci zapragnęła spocząć obok niego. Sedziwoj pogrzebał ją tam, a sam umierając zapragnął dołączyć do żony i przyjaciela.

-Poza tym, to właśnie dominikanie podpalili kiedyś miasto podczas zabaw alchemia - dodała skromnie Kasia.

-To brzmi logicznie - powiedziałem - Tyle tylko, że nie zgadza się z zapisem, że został pochowany w kościele w Krawarzu.

-Widzisz, Pawle, wychodzisz z założenia, że jeśli ktoś napisał książkę, to znaczy, że wiedział co pisze - odezwał się Szef. - Tymczasem często za pisanie prac naukowych biorą się kompletnie nieuki... Jutro rano przejdziemy się do klasztoru i

sprobujemy na miejscu zorientowac sie, kto tam spoczywa...

-A my musimy zdobyc odpowiednia szklana banke na jajo filozoficzne - powiedziala powaznie Stasia.

Jej kuzynka powaznie skinela glowa.

Rozdzial XVII

W kruzgankach klasztoru Dominikanow * Trzy tysiace epitafiow * Nagrobek Setona * Synagoga Wysoka * Cynkowy sarkofag i co z niego zostalo * Jeszcze jeden szyfr.

Mlody zakonnik czekal na nas kolo rzezbionego portalu.-Brat Andrzej - przedstawil go SzeF. - Pelni role kustosza zbiorow kosciola i czesci udostepnianej turystom. Zgodzil sie oprowadzic nas po kruzganku...

Przedstawilismy sie. Zakonnik usmiechnal sie.

-Prosze za mna - powiedzial.

Przeszlismy przez ciezkie wrota swiatyni.

-Kosciol i klasztor wzniesiono w XIII wieku - powiedzial nasz

przewodnik. - Poczatkowo mial zapewne charakter hali, pozniej przebudowano go, nadajac mu ostatecznie ksztalt trojnowej bazyliki. Stopniowo obrosł w boczne kaplice, fundowane przez czlonkow bogatych krakowskich rodow...

SzeF w zadumie rozgladal sie wokolo.

-Dawno tu nie byłem - westchnął- Pamięć trochę się zaciera...

-Pierwotnie przed świątynią znajdowała się wieża, ale zburzono ją ponad dwadzieścia lat temu, gdyż groziła zawaleniem - wyjaśnił brat Andrzej. - Niestety, z pierwotnego wyposażenia świątyni zachowało się bardzo niewiele... Zniszczyły je pożary w siedemnastym wieku i w połowie dziewiętnastego... Zwłaszcza ten ostatni był szczególnie niszczycielski. Runął wówczas strop, odbudowa trwała przeszło dwadzieścia lat.

Przeszliśmy przez zakrystię i wąskim korytarzem dotarliśmy na nieduże podworko otoczone krzaczkami.

-To ostatnie miejsce, do którego wolno wchodzić zwiedzającym - powiedział poważnie zakonnik. - Reszta klasztoru jest dla was niedostępna. Był pan ciekaw, kto spoczywa w naszych murach...

Powiodł głową. W ściany wmurowano dziesiątki epitafiów. Na podwórzu stały pomniki nagrobne, niektóre wyglądały na bardzo stare.

-Mamy tu około trzech tysięcy płyt - powiedział poważnie nasz przewodnik. - Niestety nigdy nie zostały skatalogowane...

-Skąd ich tutaj aż tyle? - zapytałem.

-W pobliżu klasztoru znajdował się cmentarz Świętej Trójcy -

pośpieszył z wyjaśnieniami gospodarz. - W 1924 roku władze miejskie postanowiły przedłużyć w tamtą stronę ulicę Dominikańska. Wówczas to kamienie epitafia i pomniki nagrobne przeniesiono tutaj.

-A ciała? - zaciekawila sie Stasia.

-Ciała prawdopodobnie pozostaly na miejscu - usmiechnal sie smutno. - To tylko doczesne szczatki, wowczas nikt nie przejmowal sie ekshumacjami...

-Rozdzielmy sie - zaproponowal SzeF. - W ten sposob szybciej znajdziemy.

Ruszyliśmy ogladając epitafia. Większość była już mocno zatarta, ale niektóre wygladały jak świeżo wykute. Wędrowałem przeczesując mury wzrokiem. Wreszcie, po dwu przeszło godzinach, spotkaliśmy się na podworzu.

-Znalazłem epitafium Setona - powiedział poważnie zakonnik. - Niestety ani śladu Sedziwoja.

-Zobaczmy - zachecil go SzeF.

Niebawem stanaliśmy w piatke przed nieco zatarta, peknieta na pol tablica, gleboko wpuszczona w mur.

-Alexander Setonius vulgo Cosmopolita 1604 - odczytal SzeF. - To epitafium jest niewielkie, z pewnością w tym murze nie ma kawerny z trumna Setona. Gdzie wobec tego sie znajduje?

-Pod kruzgankiem mamy krypty - wyjasnil zakonnik z lekka niechecia. - W nich przechowywane sa sarkofagi i trumny czesci ludzi, ktorzych nagrobki tu widzicie.

-Chcielibysmy rzucic okiem na sarkofag Setona - powiedzialem.

-Do krypt nie można wejść bez zezwolenia przełożonego zakonu. Zezwolenia takie nie są udzielane od czasu, gdy w latach międzywojennych cadyk Salomon Storm sprofanował jeden z grobów. Co zabawne właśnie ten, Setona.

-Salomon Storm! - wykrzyknąłem. - A więc jesteśmy na dobrym tropie.

-Niemożliwe - powiedział Szef. - Przecież napis powinien być na wieku trumny Sedziwoja!

-A może? - zagadnąłem. - Może jednak Setona. Przecież w notatce nie było wspomniane o czyj grób chodzi.

-Problem bez większego znaczenia - powiedziała ponuro Stasia. - Sami słyszeliście, że nikomu nie wolno.

-A gdybyśmy poprosili kogoś z braci? - zapytał Szef. - Damy aparat fotograficzny i proszę zrobić zdjęcie...

Nasz przewodnik zamyslił się, a potem uśmiechnął lekko.

-Opat nie zgodziłby się - powiedział. - Ale może da się coś zrobić...

Wyjął z faldów habitu krotkofalówkę i odszedł kawalek. Rozmawiał dłuższą chwilę. Wreszcie powrócił do nas. Jego twarz jaśniała uśmiechem.

-Macie dużo szczęścia. Sarkofagu tu teraz nie ma. Przechodzi konserwację.

-Gdzie? - zapytałem.

-Pracownia konserwacji zabytków metalowych mieści się w Synagodze Wysokiej na Kazimierzu - wyjaśnił.

-Proszę, jak wszystko zatoczyło krąg - powiedziała w zadumie Stasia.

-Storm poszedł do Setona, teraz Seton prawie wrócił w miejsce, gdzie mieszkał Storm...

-Pozwolicie nam obejrzeć go w pracowni?

-Tak - kiwnął głową. - Bedziecie potrzebowali pisemnego upoważnienia...

Spomiędzy kruzganków wyłonił się starszy wiekiem zakonnik i wręczył Szefowi dokument. Następnie zniknął bez słowa.

Odwrociliśmy się, aby podziękować naszemu przewodnikowi, ale jego także już tu nie było.

-W drodze - powiedział Pan Samochodzik, potrzasając papierem.

Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy. Niebawem zaparkowaliśmy w wąskim zaułku. Obok nas wznosiła się ściana kamienicy. Tynk trochę oblaził, drzwi też wypadaloby pomalować. Dom wyglądał na zwyczajny budynek mieszkalny, ale na pierwszym piętrze widac było duże okna o polokragłym zwieńczeniu.

-Synagoga Wysoka - powiedział Szef.

-Dziwnie jakos wyglada - powiedzialem. - Na parterze chyba byl zwyczajny dom mieszkalny?

-Tak - potwierdzila Stasia. - Pewien pobożny Żyd postanowil wystawic synagoge, a poniewaz grunty w tej czesci miasta byly bardzo drogie, zdecydowal sie nadbudowac ja na swoim domu.

Szef wcisnal guzik dzwonka. Po kilku minutach, gdy tracilismy juz prawie nadzieje, drzwi otworzily sie ze zgrzytem i stanal w nich ponury osobnik mogacy miec zarowno dwadziescia lat jak i osiemdziesiat. Na twarzy porastala mu gesta broda zaslaniajaca wszystko. Od gory glowe nakrywala grzywa splatanych wlosow. W rece trzymal pedzelek.

-O, wycieczka szkolna - powiedzial, patrzac podejrzliwie na dziewczeta.

-Ministerstwo Kultury i Sztuki - powiedzial Szef, pokazujac mu legitymacje. Ja takze wyjalem swoja.

-A te dwie damy? - zagadnal facet niechetnie wpuszczajac nas do srodka.

-Pochodzimy z Walii - zelgala natychmiast Stasia. Mowila po angielsku praktycznie bez obcego akcentu. - Przyslala nas komuna miejska z Dover. Zajmujemy sie dokumentowaniem sladow pobytu naszego krajana w Europie.

Konserwator zamyslil sie, jakby rozwazal prawdopodobienstwo uslyszanej informacji. A moze nie znal angielskiego.

-Mamy tez upowaznienie od wlascicieli - Szef podal papier

wystawiony nam w klasztorze.

-Prosze za mna - powiedzial wreszcie zarosniety czlowiek i powedrowalismy bardzo stromymi schodkami do gory. Glowna sala synagogi, w ktorej urzadzono warsztat, sprawiala dosc przygnebiajace wrazenie. Wprawdzie sciany byly ladnie odnowione, a strop lsnil biela swiezego drewna, ale jednak czulem, ze czegos mi brakuje. Posrodku nie bylo osmiokatnego podwyzszenia a nisza w ktorej przechowywano niegdys Tore, nie byla oslonieta haftowana tkanina. To miejsce bylo martwe. Nigdy juz nie zgromadza sie tu Zydzci by komentowac Pisma. Nigdy nie zmowia modlitwy kadisz. I nigdy do wnetrza tego przybytku nie sprobujecie wedrzec sie Golem...

Sarkofagow stalo tu kilka, ale tylko jeden byl metalowy. Podeszedlem blizej. Skrzynia byla pusta, trumne wykonana z pociemnialego, przeprochnialego drewna, ustawiono obok. W kilku miejscach wzmocono ja stalowymi okuciami.

-Musielismy wymienic caly spod - odezwal sie zarosniety. - Konce tez mocno spracialy, zrobilismy zastrzyki z zywicy, potem jeszcze przepolerujemy.

Sarkofag wykonano z cynku. Przez te wszystkie lata, gdy przebywal w wilgotnym lochu, zaatakowala go zaraza cynkowa: charakterystyczna odmiana korozji. Metal zamienil sie w mozaike zoltych, rozowych i szarych plamek.

-Mozna na to cos poradzic? - zapytal Szef.

-Mozna, nawet trzeba - powiedzial konserwator. - Tyle tylko, ze niewiele da sie zrobic. Na razie jestesmy na etapie prob i bledow

- pokazał nam na boku skrzyni kilka zacieków różnego koloru. -
Po pierwsze te plamy to różnego rodzaju związki cynku, głównie sole. Trzeba je najpierw, jak się to mówi ustabilizować, żeby korozja nie postępowała głębiej. Potem trzeba podjąć decyzję czy rozłożyć je, uzyskując z powrotem metaliczny cynk, czy też może lepiej zostawić w postaci ustabilizowanej i tylko połączyć galwanicznie nową warstwę metalu.

-Po ustabilizowaniu korozja nie będzie postępowała w głąb? -
zaniepokoiłem się.

-Do końca nie da się temu zapobiec - westchnął. - Mam jednak nadzieję uratować większą część. Ocalale zakonserwowane fragmenty osadzimy prawdopodobnie na mniejszej stalowej skrzyni...

-Chcielibyśmy obejrzeć wieko - powiedziałem.

Uśmiechnął się lekko.

-Tam leży - wskazał wannę wypełnioną jakimś roztworem. Zjrzałem do środka. Blacha zachowała się w kilku kawałkach. Pod wpływem oparów kwasu zakreciło mi się w nosie.

-Wieko nie ciekawe - powiedział brodacze. - Na wierzchu resztki napisu "Cosmopolita", za to od środka przykrecona była ta płyta - wskazał na leżącą w kuwecie płytkę wielkości mniej więcej kartki z bloku. Pochylił się z ciekawości.

-Możecie wziąć w ręce - uśmiechnął się, co poznałem po falowaniu brody. - Już odczyszczona i zakonserwowana.

Uniosłem ostrożnie ciężką blachę. Lśniła jak złoto.

-Tombak? - zapytała Stasia.

-Złoto Alchemików - powiedział z szacunkiem konserwator.

-Stop miedzi i antymonu - wyjaśnił Szef dziewczętom. - I mamy tu napis po hebrajsku...

-Ciekawe - mruknąłem.

-To stara praktyka - uśmiechnęła się Stasia. - Hermetycy chronili swoje prace pisząc je po łacinie, albo po hebrajsku, rzadziej greką lub po aramejsku. Chodziło im o to, żeby ktoś z ulicy nie mógł tego odczytać. Jeśli pozwolicie, przepiszę i odczytamy.

Przeleciała wzrokiem pierwszy rząd, a potem coś przez chwilę rozważała.

-Siedemnastowieczna łacina zapisana hebrajskim alfabetem, co więcej pisana nie z prawej w lewo, ani nawet z lewej w prawo, tylko pionowymi kolumnami.

-Skąd wiesz? - zdumiał się Szef.

-Spotkałam się już z tego typu szyframi - powiedziała.

Oczy brodacza zablysły.

-A powiadają, że język polski jest taki trudny do nauczenia się dla cudzoziemców - mruknął.

Zaczerwieniła się ładnie. Przepisalismsy informacje i opuściliśmy

goscinnie progi pracowni.

-I co tu dalej robic z dniem tak mile rozpoczetym? - zadumal sie Szef.

-Pora tak jakby cos zjesc - zauwazylem.

Pan Samochodzik pokrecil z dezaprobata glowa.

-Od ciaglego napychania kalduna sie glupieje - powiedzial z nagana. - Lepiej mysli sie na glodnego.

-A czy musimy o czyms jeszcze myslec? - zdziwilem sie. - Odnalezlismy wszystko. Mamy ksiege i klucz do niej wyryty w sarkofagu Setona...

Szef podniosl wzrok na dziewczeta.

-Naprawde chcecie sprobowac? - zapytal.

-Musimy! - Kasia umilkla skarcona wzrokiem kuzynki.

-Pojedziemy do znajomego rzemieslnika - powiedziala. - Rozmawialysmy z nim juz przez telefon. Odbierzemy jajo filozoficzne i wieczorem siadamy do pracy. Zechca nam panowie towarzyszc w tym szalonym przedsiwzieciu?

Na twarzy Szefa pojawil sie szeroki, szczery, slowianski usmiech.

-Z najwieksza przyjemnoscia - powiedzial.

Rozdzial XVIII

Przystępujemy do wielkiego dzieła * Jak chłopi robili bimber *
Kolacja w antykwariacie * Nasienie złota * Przez siedem królestw
*

O oznaczonej godzinie znaleźliśmy się przed antykwariatem. Drzwiczki były naглуcho. Wrażenie opuszczenia podkreślała dodatkowo zielona plastikowa wywieszka z napisem: "Zamknięte".

-Zakpiły z nas - zauważyłem.

Pan Samochodzik uśmiechnął się lekko.

-Nie, nie sadzę. Po prostu chwilę poczekajmy.

Faktycznie nie minęło dziesięć minut, a przed antykwariatem zatrzymał się z piskiem opon mały fiat. Z wnętrza wygramoliły się obie krakowianki. Kasia z uśmiechem obarczyła mnie sporym kartonem, z którego sterczały wióry rogoży.

-Przeszliśmy długą drogę i oto jesteśmy niemal u celu - uśmiechnęła się Stasia. - Zapraszam do środka.

Weszliśmy i zamknęliśmy za sobą drzwi wejściowe. Przeszliśmy na

zaplecze, a potem po kilkunastu stopniach zeszliśmy do głębokiej piwnicy. W lochu zainstalowano oświetlenie elektryczne. Pośrodku pomieszczenia królowało spore palenisko, nad nim umieszczono nowoczesny wyciąg. Na jednej ze ścian widniał oleodrukowy portret alchemika Michała Sedziwoja oprawiony w złoczone ramki. Po chwili

Kasia zniosła na dół cztery krzesła.

-Jesteśmy gotowi - powiedział Szef uśmiechając się lekko.

-Słońce właśnie zachodzi - zameldowała Kasia. - To najlepsza pora, by zacząć. Słońce odchodzi w mrok. Nim wszędzie ponownie, rozblysnie w naszych rękach.

-A zatem możemy przystąpić do wielkiego dzieła - oświadczyła Stasia.

Z pierwszego ze słoików wydobyla garść opilków jakiegoś metalu. Umieszcila go w metalowym stożku i podpaliła. Zabłysło ostre, jasne światło.

-Magnez - szepnął do mnie Szef.

Po kilku minutach pozostał z niego tylko biały proszek, tlenek magnezu. Kasia przesywała go ostrożnie do szklanej retorty. Następnie położyła na wierzchu płatek białego płotna, a na to nasypała czerwonego proszku.

-Tlenek żelaza? - zagadnałem.

Kasia uśmiechnęła się lekko.

-Tlenek rtęci - powiedziała. - I jeszcze trochę siarki...

Retortę umieściła w naczyniu wypełnionym piaskiem i zapaliła pod spodem palnik gazowy. Stasia uruchomiła wyciąg i dosypała jeszcze jakiegoś szarego proszku. Zawartość wolno rozpuszcila się. Z retorty szła jasna para.

-Lepiej tego nie wdychajcie - zauwazyl SzeF. - Opary rtéci sa bardzo trujace.

Kiwnela powaznie glowa i cofnela sie o krok. Minela mniej wiecej godzina. Stasia zajrzala do retorty i ocenila, ze doswiadczenie dobieglo konca. Popatrzylem i ja. Na dnie naczynia znajdowaly sie niewielkie grudki spieczonego metalu i jakichs zwiazkow, zapewne siarki z magnezem, oraz olej czarnego koloru. Kasia przelala go ostroznie do sporego naczynia, jak sie moglem zorientowac byl to nieznacznie przerobiony rosyjski szybkar. W pokrywie nawiercono dziure, od ktorej biegla dluga plastikowa rurka.

Stasia ustawila na stole dwa imadla laboratoryjne i zakrecila w nich spora chlodnice.

SzeF popatrzyll w zadumie na rurke szklana, wewnatrz ktorej zwinieta w spirale biegla druga rurka.

-Chlodniczka niczego sobie - powiedzial. - Identyczna widzialem kiedys na wsi. Chlopi produkowali za jej pomoca bimbler.

-Obecnie tez sie chyba ich do tego uzywa - usmiechnela sie Stasia.

Kupilam w Warszawie, w sklepie gospodarstwa domowego.

-Niemozliwe - zdziwilem sie. - Kazdy bimbrownik - amator moze sobie w sklepie kupic urzadzenie, za pomoca ktorego jest w stanie lamac prawo?

-Nie peknie wam? - zaniepokoil sie SzeF.

-Zaraz uruchomimy chłodzenie - uśmiechnęła się Stasia.

Jej kuzynka już ciągnęła z góry cienką rurkę. Zewnętrzna rura chłodnicy

posiadała dwie dziurki zaopatrzone w krótkie wypustki. Rurka pasowała do jednej z nich. Od drugiej też poprowadziły rurkę, która nikięła w wiaderku pod stołem. Kasia zniknęła na chwilę. Pietro wyżej puściła wodę. Ta, płynąc przez grubszą rurę, obmywała wewnętrzną, chłodząc ją. Stasia zapaliła płomień pod palnikiem, a u wylotu chłodnicy postawiła szklaną menzurkę.

-Co to będzie? - zagadnałem.

-Likwor - wyjaśniła obojętnie.

-Wedle ksiąg alchemicznych rozpuszczalnik potrafiący pozrec
każde ciało - wyjaśnił Szef.

Stasia czuwała nad destylacją. Niebawem menzurka wypełniła się żółtawą, oleistą cieczą, a powietrze wypełniły dość nieprzyjemne opary. Otworzyły szybownik. Na jego dnie zostało sporo czarnego gęstego oleju, podobnego do smoly. Wylały go do wiadra na odpadki i wyczyszczonego szybownik uruchomiły raz jeszcze linię destylacyjną.

-Nudne to robienie złota - zauważyłem.

-Nie robimy złota, tylko kamień filozoficzny - oświadczyła z godnością Kasia. - Czerwona tynktura.

Szef pochylił się nad menzurką z płynem.

-Hm - powiedział, - to mi wygląda na kwas siarkowy.
Przynajmniej z grubsza. Gryzacy zapach, żółty kolor...

Stasia usmiechnęła się lekko.

-Czy to ważne, co otrzymaliśmy? Liczy się, że postępujemy
ściśle

wedle przepisów...

-I co dalej? - zaciekawilem się.

-Ano część tego pozostawiamy na później - odlała zrecznie
połowe

kwasy - a resztę mieszamy ze złotem i siarką.

Faktycznie z kolejnego słoiczka odsypała opilków złota. Na oko
szacując, było ich co najmniej sto gram. Dodała rtęci i siarki, po
czym umieściła te mieszaniny na ogniu.

Szef popatrzył na to w zamysleniu.

-Coś mi się tu nie zgadza - powiedział. - W pierwszej reakcji
obecne były wszystkie składniki kwasu siarkowego...

-Brakuje wodoru - zauważyłem - chyba że...

-To szare to był wodorotlenek litu - powiedziała obojętnie Stasia.

-Ale i tak nie mógł powstać kwas siarkowy - powiedziałem. - Nie
wiem, czy się orientujecie, ale substancje te wytwarza się w
fabrykach, pod wysokim ciśnieniem...

-No to może powinniśmy opatentować te metody - uśmiechnęła się Stasia.

-Niewykluczone, że któryś z metali podziałał tu jak katalizator - powiedział pan Tomasz. - Ale mimo wszystko trochę to dziwne... Zresztą co do patentu, to wydaje mi się, że wasz sposób otrzymywania tej substancji daje zbyt wiele toksycznych odpadów i bezużytecznych produktów ubocznych. Tak czy siak, nie wydaje mi się możliwe, żeby w warunkach domowych otrzymać...

-Chyba, że to nie jest kwas siarkowy - uśmiechnęła się Kasia.

W tyglu syczało, a opary stawały się coraz bardziej duszące. Nie pomagał nawet szybko pracujący wyciąg. Wreszcie reakcja chyba dobiegła końca, bowiem Kasia zajrzawszy do tygla uśmiechnęła się.

-No i mamy wapno - powiedziała.

-Zamieniliście złoto na wapno - uśmiechnął się Szef. - to antyalchemia. Ta droga nie zdobędziecie bogactwa ani sławy. Zamienić kruszec w bezwartościowy kamień...

-To przełomowe odkrycie - zapaliłem się - Wystarczy włamać się do amerykańskich rezerw i można wywrócić do góry nogami gospodarkę światową...

-Przestaniecie państwo blaźnować - uśmiechnęła się Stasia. - To nie jest wapno w potocznym tego słowa znaczeniu, ale wapno alchemiczne.

Kasia przyniosła miske destylowanej wody i wsypała do niej zawartość tygla. Zasycała. Stasia wyłowila kawałek i podała Szeferowi. Wztał go ciekawie do reki. Odlamek był sinobłękitny i faktycznie przypominał wapno.

-Coż to jest takiego? - zagadnął mnie.

-Sadze, Szeferie, że złoto związało się z rtecją, a potem mieszanina uległa utlenieniu. To tłumaczyłoby, dlaczego kolor jest biały, a nie czerwony jak związki rtęci. Pewnie zawarte w tym złoto w jakiś sposób wpływa na barwę substancji. Trzeba by dać to do laboratorium...

Szefer wzruszył ramionami.

-Tylko właściwie po co?

Oddał okrusek Kasi, a ona wrzuciła go wraz z innymi do fiolki o długiej szyi. Teraz dołaly do tego część likworu i podpaliły palnik. Masa wewnątrz zaczęła powolutku cyrkulować.

-Chyba się pogubiłem - powiedziałem. - Po co to wszystko?

-No coż - uśmiechnęła się Stasia. - Robienie kamienia filozoficznego nie jest łatwa, prosta i przyjemna rzecz.

-Jest dość proste i na swój sposób przyjemne - zaprotestowała Kasia. - Mnie w każdym razie jest miło.

Szefer uśmiechnął się.

-Nam również - powiedział. - Zbliża się pora kolacji. Jeśli nie

macie nic przeciwko temu, to wysle mojego wspolpracownika naprzeciwko, do chinskiej restauracji. Niech nam przyniesie jakies owoce morza albo cos podobnego.

Otrzymaawszy instrukcje poszedlem.

-Tylko nie wysadzcie kamienicy i nic nie robcie beze mnie - rzucilem na odchodnym.

Wrocilem po chwili. Siedlismy sobie na parterze przy dziewietnastowiecznym stoliku nakrytym koronkowym obrusem, takze pamietajacym ubiegle stulecie. Stasia wyciagnela z szafki komplet srebrnych sztuccow. Troche to dziwnie wygladalo, gdy jedlismy w tym milym, stylowym wnetrzu chinskie potrawy z plastikowych zasobnikow.

-Czy sprawdzil pan skrzynie, Szefie? - zapytalem ocierajac usta serwetka.

-Skrzynie? - zdziwil sie.

-Z pewnoscia tam na dole w skrzyni zostawily malego chlopca, ktory teraz dodaje potajemnie zlota do kolby - powiedzialem.

Uśmiechneli sie w trojke.

-Tam nie ma zadnej skrzyni - powiedziala Stasia. - Zreszta nie oszukiwalybysmy sie same.

Zeszliśmy do lochu. Wyciąg odprowadził już większość oparów i znowu można było swobodnie oddychać. Szef zajrzał do kolby.

-No, no - powiedział. - Niezle...

-Co tam jest?

-Coz, zloto zaczelo tworzyc chyba jakies związki chemiczne, bo calosc przypomina krupnik i jest czerwona...

Kasia usmiechnela sie.

-To dobrze - powiedziala. - Powinno osiagnac konsystencje miodu.

Stasia obejrzala zawartosc butli i zamieszala w niej szklanym pretem.

-Chyba gotowe - powiedziala. - Teraz trzeba schlodzic.

Przestawila kolbe na stol i wlaczyła niewielki wentylator, aby chlodzil ja pod powietrza. Zawartosc kolby przypomniala wisniowy budyn.

-Co pan o tym sadzi? - zagadnalem. - Z jakim związkiem chemicznym mamy teraz do czynienia?

-To, jak przypuszczam, sole amalgmatu rtęciowo-złotego, wymieszane z kwasem siarkowym...

Stasia nie pozwolila nam specjalnie dlugo podziwiac efektow, bo przelala zawartosc do wyczyszczonego w miedzyczasie szybkowaru i postawila na ogniu. Do menzurki na koncu chlodnicy znowu zaczely skapywac zolte krople.

-Oddzielacie kwas od reszty substancji - domyslił się Szefer.

-Zgadza się - twarz Kasi przyozdobił uśmiech.

Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Wstałem i zacząłem się przechadzać po piwnicy.

-Ach, ta młodzieńcza niecierpliwość - uśmiechnął się Szefer.

Kasia zdjęła szybownik z palnika i otworzyła pokrywę.
Substancja

wewnątrz miała gęstość smoly i była ciemnoczerwonego koloru.

-Witrol - powiedziała z dumą.

-To znaczy? - brwi Szefa uniosły się do góry. - Duch materii
czyli...

-Nasienie złota - dokończyła za niego Stasia.

-I teraz wystarczy to wysuszyć, by mieć kamień filozoficzny? -
zainteresowałem się.

Kasia westchnęła głęboko, chyba z ubolewaniem.

-Panie Tomaszu, czy nie należało przeprowadzić testu na
inteligencję zanim go pan zatrudnił?

-Testował go mój przyjaciel, poeta, mistrz Nataniel - powiedział
Szefer. - Test wypadł pomyślnie, a nawet jeszcze lepiej.

-Poeci testują kandydatów na detektywów? - zdumiała się jej kuzynka. - To chyba ten regres cywilizacji, o którym ostatnio mówili w radio.

-Sam pomysł - powiedział do mnie Szef. - Gdyby to był produkt finalny, to po co byłby im atamanator?

-Faktycznie - mruknąłem zawstydzony.

Kasia z pudła wydobyla spore naczynie w kształcie kuli, zaopatrzone w gwintowany korek z wentylkiem.

-Jajo filozoficzne - usmiechnął się Szef ze zrozumieniem. - Wytrzyma?

-Tak - usmiechnęła się Kasia. - To szkło żaroodporne. A zatem umieszczamy wewnątrz nasienie złota, merkuriusz, likwor, srebro oraz - wylowila z pudła butle z zelaza - Alkahest.

-Co zaczął ten alkahest? - zaciekawilem się.

-Azoth medrców - wyjaśniła. - Uniwersalny rozpuszczalnik rozkładający i pochłaniający każdą materię.

-Sądząc po etykietce, stezony kwas azotowy - uzupełnił Szef.

Stasia wlała połowę zawartości butli do wnętrza jaja. Szkło w dolnej części zmetniało nieco pod wpływem kwasu, ale ona nie zrażając się tym zamieszała szklanym pretem zawartość kuli, po czym włożyła na miejsce korek i zakreciła go. Opuszcila szklana kule do piecyka.

-Gotowe - powiedziała. - Teraz pozostaje czekać.

Podpaliła umieszczony u spodu palnik gazowy. Zamknęła pokrywę. Jak zauważyłem, w jedną ze ścian wbudowany został niewielki kawałek szkła żaroodpornego.

-Dzięki temu będzie można kontrolować proces przemiany - powiedziała Stasia widząc moje zaniepokojenie. - Dawniej robiono to unosząc pokrywę pieca, co powodowało niepotrzebne wychłodzenie i groziło pęknięciem jaja.

-Czytałem kiedyś taki horror, w którym włamano się do pracowni wampira - alchemika i rozbito taki właśnie piecyk. Wtedy tam, gdzie chlapnęły wyciekające z niego substancje, porastały podłogę niewielkie diamenty... - zauważyłem.

-On chyba źle się czuje - zwróciła się Kasia do Pana Samochodzika.

Szef popatrzył na mnie pobłaźliwie.

-Powinieneś, Pawle, umieć odróżnić fikcję literacką od rzeczywistości - powiedział z delikatną przyganą w głosie.

-Szefie, to chyba pan i te dwie młode damy nie potraficie odróżnić

rzeczywistości od fikcji - powiedziałem poważnie. - Sądziłem wcześniej, że odtworzenie eksperymentów Sedziwoja ma na celu rekonstrukcję dawnych technologii chemicznych, a tymczasem od kilku godzin znajdujemy się w średniowieczu. Kamień filozoficzny sobie produkujemy...

-Zanadto to przeżywasz - powiedziała Kasia przeciągając się

leniwie. - Zreszta nie należy się dziwić...

-Próbowaliście nawiązać kontakt z zachodnimi towarzystwami alchemicznymi?

-A jakże - uśmiechnęła się Stasia. - Alkahest we Francji, Neptunea we Włoszech... Straszne palanty. Głównie zajmują się wznoszeniem toastów na cześć Paracelsusa i Villanovy. Czcza złoto jak balwochwalczy opisani w Księdze Wyjścia. Żaden z nich nie stał w życiu przy atanatorze.

Piecyk powoli rozpalal się do czerwoności. Nabral ciemnowisniowej barwy.

-Nie za goraco? - zapytałem z niepokojem.

-Nie przypali się - uśmiechnęła się. - Wyższa temperatura przyspieszy nieco reakcje.

-Przyspieszy?

-Dla uzyskania właściwego efektu teoretycznie należy podgrzewać

zawartość na minimalnym ogniu przez kilkanaście dni, a według innych

autorytetów nawet i tygodni. My jednak wyznajemy pogląd Abrahama von Helsinga, że wystarczy czas od zmroku do świtu.

-Von Helsing zajmował się alchemią? - zdumiał się Szef. - Myślałem, że interesował się tylko wampirami.

-Dłubał trochę przy tym - uśmiechnęła się Kasia. - Choc oczywiście bardziej interesowały go przypadki ludzi, którzy nie umarli. Szukał niesmiertelnych z zaciętością godną lepszej sprawy. To był kompletny swir, znacznie większy niż opisuje go literatura. Ale trzeba przyznać, że wykazał się sporą przedsiębiorczością. Ponad dwadzieścia razy wyprawiał się do Rumunii i na południe Francji, by szukać niesmiertelnych w kryptach zamków owianych legendami...

-Niesmiertelnych? - zdumiałem się.

-Wampirow. Wierzył, że istoty odżywiające się ludzką krwią żyją wiecznie. Trochę się oczywiście mylił. Życie wieczne, no może nie wieczne, ale bardzo długie, można uzyskać pijąc złoto, czy też raczej sproszkowany kamień filozoficzny rozpuszczony w merkuriuszu...

Stasia pochyliła się nad wziernikiem i poswieciła do środka latarką, aby zobaczyć, jak przebiega proces.

-Chyba mamy królestwo Merkurego - powiedziała.

-Szare z dodatkiem czerwonego i zielonego? - Kasia przymknęła oczy, jakby chciała coś sobie przypomnieć.

-Tak.

-Teraz powinno pozieleniec.

Popatrzyła na nas z roztargnieniem.

-O czym to ja?...

-Wyprawy von Helsinga - przypomnialem.

-Ach tak. W swoich pamietnikach wydanych pod koniec zycia wspomina, ze w Rumunii spotkal czlowieka, ktory zazywszy w mlodosci eliksiru zycia dozyl wieku stu trzydziestu lat. Gdy skonczylo sie dzialanie preparatu w ciagu kilku tygodni obrocil sie w zgrzybialego starca. Sporo tego typu opowiesci krazilo po Europie. Ich slady znajdujemy w co trzeciej bajce lub legendzie. Zreszta mit niesmiertelnosci jest duzo starszy. Wezmy chocby opowiesc o Gilgameszu z Uruk, zapisana przez starozytnych Sumerow.

-Calosc jest ciemno zielona z czarnymi plamkami - zameldowala Stasia znad aparatury.

-To tak zwana glowa wrony - powiedziala Kasia. - Na razie wszystko idzie jak po masle - zaraz odpukala w kawalek brzozonego polana poniewierajacego sie na stole.

-Czarne - zameldowala jej kuzynka.

-Czyli krolestwo Saturna. Teraz masa umiera. Zabilismy nasienie zlota.

-Nie rozumiem - westchnal Szef. - Inna sprawa, ze traktaty alchemiczne pisane sa takim jezykiem, aby byly calkowicie niezrozumiale.

-Masa w jajach musi umrzec, aby nastepnie sie odrodzic - powiedziala Kasia. - Nasienie zlota musi osiagnac wyzszy stan istnienia - czerwona tynktura.

Poczulem zmeczenie. Popatrzyłem na zegarek. Było już po północy. Stasia zauważyła mój gest.

-Sadze, że zdazymy do rana - powiedziała. - Jesien i zima sa najlepszymi porami roku na takie zabawy.

-Czy wschod slonca ma jakies szczegolne znaczenie? - zagadnałem. - Czy tez jest to tylko jakis taki zabobon?

Mrugnęła do mnie.

-Trudno powiedziec - usmiechnęła się - Ale lepiej niczego nie zaniedbac. Moze ma to znaczenie, a moze i nie...

-Masa brazowieje - zameldowała Stasia.

-Coz to za krolestwo? - zapytałem zlosliwie.

-Krolestwo Jowisza - powiedziała Kasia powaznie. - Czy pojawily się pary?

Jej kuzynka oswietlila dokladnie jajo.

-Tak. Skraplaja się w gornej czesci naczynia i opadaja na dol.

-Ciagle na dobrej drodze - usmiechnęła się.

-Jesli panie pozwola troche się zdrzemne - SzeF wygodniej zapadł w fotel. - Ale prosze mnie obudzic, jesli cos się stanie.

-My jestesmy zajete - powiedziała Stasia. - Ale ty, Pawle, moglbys skoczyc na gore i zaparzyc kawy.

Poszedlem poslusznie. Gdy po dwudziestu minutach wrocilem z dzbankiem aromatycznego napoju, obie siedzialy wpatrujac sie atanator. Z otworu zabezpieczonego szybka padalo jasne biale swiatlo.

-Dosypalyscie czystego radu? - zapytalem.

-Nie, masa przeszla w tak zwane krolestwo Diany - wyjasnila Kasia nalewajac sobie szklanke. - To pierwszy etap. Gdyby teraz zamknac doplyw gazu i ochlodzic urzadzenie, otrzymalibysmy gorszy gatunek kamienia filozoficznego - biala tynktura.

-Do czego sluzy? - zapytalem.

-Och, zamienia dowolny metal lub niemetal w srebro - wyjasnila.

-Srebro to tez cenny kruszec - zauwazylem.

-Tak, ale zloto jest cenniejsze niz srebro, a jestesmy juz dosc blisko - usmiechnela sie. - Jesli chcesz zapalic sobie fajke, to przesiadz sie blizej wyciagu.

-Nie, nie potrzebuje. Pale fajke tylko wtedy gdy musze nad czymś

pomyslec.

Nie wiem czemu, ale moja uwaga wywolala spora wesolosc.

-Co zrobicie, jak juz bedziecie mialy kamien filozoficzny? - zapytalem.

-Kupie sobie wlasna wyspe u wybrzezy Kanady - powiedziala

Kasia. - Dosc duza by jezdzic po niej konno.

-A ja pojde na kurs pilotazu - powiedziala Stasia. - I kupie wlasny samolot. Bede latala...

Masa wewnatrz pociemniala.

-To jednak nie jest rad - usmiechnalem sie.

-Nie widzialam nigdy radu - powiedziala Stasia. - Tylko slyszalam, ze naswietla sie nim chorych na raka.

-Twoje informacje sa mniej wiecej o szescdziesiat lat przestarzale - usmiechnalem sie. - Owszem, chorych sie naswietla, ale przy pomocy kobaltu. I to bardzo cienka wiazka, zeby nie uszkodzac sasiednich tkanek. Natomiast rad ciagle jeszcze uzywany jest do roznych badan naukowych. Oczywiscie mozna by zrobic z niego tez zarowke, ale to bylo by marnotrawstwo.

-Zarowke z radu? W jaki sposob? - zdziwila sie.

-Och, to bardzo proste. Do szklanej banki wystarczy wsypac gram tego pierwiastka. Taki wynalazek swieci z moca okolo szescdziesiat wat, a przy tym w ogole nie trzeba podlaczac tego do pradu. Tylko to paskudne promieniowanie.

-A gdyby uzyc zarowki ze szkla olowiowego?

-Za cienkie. Rad jest jedna z najbardziej promieniotworczych substancji na naszej planecie...

-Lepiej leczyc ludzi kamieniem filozoficznym - mruknela Stasia. -

Jako eliksir życia, po rozpuszczeniu powinien leczyć także raka.

-Ale Setonowi jakos nie pomógł - zauważyłem. - Miał go spora ilość, a zmarł na skutek obrażeń poniesionych w trakcie tortur.

-Byłoby naiwnością sądzić, że lekarstwa leczą każdy przypadek -

powiedziała Kasia. - Przecież trad czy gruzlica zabijają, jeśli choroba poczyni zbyt duże spustoszenia w organizmie przed rozpoczęciem leczenia...

-Ciemnieje i przechodzi w zielony - powiedziała Stasia.

-To niedobrze - zmartwiła się moja rozmówczyni. - Chyba, że przez turkusowy przejdzie do niebieskiego. A ty trzymaj kciuki - poleciła mi.

Zacisnęła dłoń na srebrnym krzyżyku i czekaliśmy w milczeniu.

-Robi się granatowe - zameldowała obserwatorka.

Zdziwiła mnie nagła zmiana w ich zachowaniu. Wyglądały na zdrowo

przestraszone. Kasia nalala sobie wody mineralnej z butelki i wypila duszkiem. Dłonie jej drżały.

-Czerwienieje - odetchnęła z ulgą Stasia.

-A więc weszliśmy wreszcie w królestwo Weneri - powiedziała moja rozmówczyni. - W ostatniej chwili...

-Robią się kolory - zaraportowała Stasia śledząca przemiany

wewnątrz jaja. - Takie jak teczka.

-Tak zwany pawi ogon - wyjaśniła jej kuzynka. - To znaczy, że powoli się zbliżamy.

Mimo jej zapewnien przez następną godzinę nic specjalnego się nie działo. Znad masy unosiły się czerwone opary co dziewczęta określiły jako królestwo Marsa. Obudził się Szefer.

-I jak tam produkcja kamienia filozoficznego? - zapytał zaciekawiony.

-Na razie bez większych przygód - powiedziała Kasia. - Zaraz powinniśmy wkroczyć w królestwo Apollona.

Korzystając z chwili, gdy druga z dziewcząt poszła na górę, zajrzałem ciekawie przez szybki. W jaju, co było kiepsko widac, bowiem powierzchnia zmatowiała, znajdowała się masa przypominająca czerwone błoto. Substancja rozpurchlała się, z bębni wytryskiwał jakiś gaz. Wreszcie Kasia zdecydowanym ruchem ręki przekreciła zawór z gazem.

-Niech sobie stygnie - powiedziała. - Za godzinę będziemy wiedzieli.

Wyjęła bankę z ciekłym azotem i wycelowawszy dysze w piecyk, wolno popuściła gazu. Piecyk utonął w mlecznych oparach.

-Nie podusimy się? - zapytał z niepokojem Szefer.

-Azot jest obojętny - powiedziała Stasia.

W piwniczce zrobiło się nieco chłodniej. Piecyk stygł.

Przeszliśmy na pietro, gdzie dziewczęta sprokurowały niewielkie śniadanie, czy też raczej należało by powiedzieć podkurek, jako że słońce jeszcze nie wzeszło. Szef jadł z apetytem, ja też po całonocnym czuwaniu czułem się głodny.

Rozdział XIX

Dawne opisy kamienia filozoficznego * Co udało nam się uzyskać? * Strzaskanie jaja * Czerwona tynktura * Elixir nieśmiertelności * Transmutacja * Ruszamy do domu * Złamany klucz

Dziewczęta tylko skubaly, jakby napięciu nerwów nie pozwalało im jeść. -Sądźcie, że naprawdę udało wam się otrzymać kamień filozoficzny? - zapytałem.

-Kamień filozoficzny to tylko zabobon - usmiechnęła się przekornie Stasia. - Ludziom z tytułami naukowymi po prostu nie wypada wierzyć w takie bzdury...

-Jak powinno wyglądać? - zaciekawilem się. - Zakładając na chwilę, że faktycznie uzyskaliście tynkturę. Czerwona bryłka?

-Ach nie - usmiechnęła się Stasia. - Istnieje wiele relacji dawnych alchemików oraz przypadkowych ludzi, którym wpadł w ręce kamień filozofów. Van Helmont twierdzi, że był to ciężki proszek koloru żółto-szafranowego, wielu twierdziło, że jest żółty lub żółcisty, ale ci najpoważniejsi utrzymywali, że jest barwy płatków maku.

-My też tak uważamy - usmiechnęła się Kasia.

Po śniadaniu zeszliśmy do piwnicy. Piecyk pokrył się powierzchu

szronem, ale jajo wewnątrz ciągle było ciepłe. Wydobyłem je ostrożnie przez szmatę i położyłem na specjalnie przygotowanej podstawce.

-Nie wybuchnie? - zaniepokoił się Szef.

-Ma wentylek w korku - uspokoiłem go.

-Ale zatkany - powiedziała Stasia spokojnie. - Cisnienie mogło odegrać ważną rolę. - Gdybys, Pawle, mógł teraz wykrecić zawór...

Założyłem klucz na występy, ale mimo że próbowałem z całej siły, nie chciał drgnąć ani o cal.

-Chyba się zapiekło, albo nawet zalutowało - powiedziałem. -

Ostatecznie temperatura w piecyku była bardzo wysoka...

-Stłuczemy? - zaproponowała Kasia. - Na gorze mamy chyba młotek.

-Przynies - poleciała jej kuzynka. - Zabierz też butelkę, wiesz czego...

Po chwili dziewczyna wróciła z solidnie wyglądającym młotem i zakurzona flaszka z ciemnego, brązowego szkła. Butelka kojarzyła mi się z apteką. Stasia spokojnie ujęła w dłoń młot.

-Wybacz - powiedziałem zabierając jej śmiertelne narzędzie.
- Może lepiej ja się tym posłużyć. A wy wszyscy cofnijcie się na wypadek, gdyby jajo się rozerwało. Nie wiem, jakie może być wewnątrz ciśnienie.

Cofnęli się posłusznie. Przez chwilę wazyłem narzędzie w dłoni,
a

potem uderzyłem. Szło było bardzo twarde. Pekło dopiero po trzecim uderzeniu. Przesypałem zawartość do miski. Wewnątrz było sporo rudego pyłu, spieczone grudki jakichś substancji oraz popiół bladego koloru. Pośród tego wszystkiego leżało około dziesięć deko ciemnoczerwonych kryształków. Były drobne jak cukier. Kasia zdjęła z szyi krzyżyk i przekreśliła jedno z ramion. Jak się okazało, w wydrążonym wnętrzu krzyżyka znajdowała się skrytka. Do podstawionej miseczki przesypała odrobine czerwonego proszku, z wyglądu identycznego jak ten pozyskany z jaja. Nabrała na koniec palca kilka kryształków i dotknęła ich językiem. Skrzywiła się lekko. Potem powtórzyła próbę z nową porcją.

-I jak? - z niepokojem zapytała Stasia.

-Bingo! To to samo - powiedziała Kasia.

Napełniła dziurę w środku krzyżyka proszkiem i zakreśliła korek.

-Zapasy na przyszłość - powiedziała. - Na kilka stuleci...

Szef podniósł na palcu kilka kryształków.

-Kamień filozoficzny - uśmiechnął się. - Kto by pomyślał.

-Pan nie wierzy - oskarzycielskim tonem powiedziała Kasia.

-Ano, co mam robić - wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się.
- Jestem sceptykiem.

-Transmutacja metali jest niemożliwa - poparłem go. - Być może uzyskalyscie jakiś związek chemiczny tożsamy z tym, co alchemicy uważali za kamień filozoficzny, ale za jego pomocą nie można zamienić w złoto nawet grama innego metalu.

-Ha, niedowiarki - powiedziała Stasia. - Chcecie przekonać się na własne oczy?

-Z przyjemnością - Szef popatrzył jej prosto w oczy.

-Kasiu, przynies szklana salaterkę z wystawy - poprosiła.

Jej kuzynka wbiegła z gracją po schodach na górę.

-Znam wiele sztuczek stosowanych przez dawnych alchemików - powiedział Szef. - Dlatego od razu powiem, że nie uwierzę w grudki złota z rzekomo przetopionego ołowiu.

Zamysliła się, a potem uśmiechnęła lekko.

-Ma pan przy sobie zapewne klucze od mieszkania w Warszawie -

powiedziała. - Przekona pana transmutacja ich właśnie w złoto?

Wrocila Kasia z salaterką. Szef uśmiechnął się.

-Proszę - odpiął od peczęta jeden z kluczy i podał jej.

Na niewielka miseczke nalala kwasu i wyplukala w nim klucz.
Nastepnie do salaterki wsypala szczypte proszku.

-Zobaczycie na wlasne oczy transmutacje metali - powiedziala twardo.

-Ech, wracaja dawne dobre czasy - powiedziala Kasia. -
Przyniesc szklanki?

-Przynies. Cztery.

Znowu znikla na pietrze.

-A wiec do szklanego naczynia wsypujemy szczypte czerwonej
tynktury - powiedziala Stasia. - A potem zalewamy ja
merkuriuszem - nalala z butli jakiegos plynu. Pomimo
dzialajacego wyciagu buchnal upiorny duszacy smrod.
Zwiekszyta szybkoosc obrotow wentylatora i po chwili znowu
mozna bylo swobodnie oddychac.

-Do roztworu wrzucamy przedmiot - klucz chlapnal w ciecz. -
Teraz wystarczy poczekac...

Wrocila Kasia ze szklankami.

-Przygotujemy eliksir zycia - powiedziala. - Napijcie sie z nami.?

Szef skrzywil sie.

-Wybaczcie - powiedzial. - Ale wazylyscie ten proszek z takich
paskudztw, ze chyba nie zamierzacie pic jego roztworu?

Stasia usmiechnela sie pogardliwie.

-Jak sobie zyczycie.

Do szklanek wrzucily po szczypcie tynktury i zalaly plynem z butelki. Proszek rozpuscil sie bardzo szybko. Stuknely sie szklankami nad stolem.

-Za nastepne stulecie - powiedziala Kasia. - Oby nam, droga kuzynko przynioslo wiele nowych ciekawych doswiadczen.

-Miejmy nadzieje, ze bedzie spokojniejsze niz poprzednie trzy - dodala Stasia, po czym obie wychylily zawartosc. Zaraz tez zaczely sie gwaltownie krztusic i najwyrazniej nie mogly zlapac oddechu. Zwalily sie na podloge. SzeF zlapal sie za glowe, a potem przyskoczyl do jednej i wetknal jej palec do gardla, by zmusic ja do wyplucia tego, co polknela. Ja zajalem sie druga. Kasia omal nie odgryzla mi palcow. Odzyskiwaly oddech.

-Wszystko pod kontrola - powiedziala Stasia. - Po prostu troche to dlawiace...

-Co to za swinstwo - SzeF podniosl butelke. - Surowy eter?
Chyba

zwariowalyscie.

Przynioslem z pietra zauwazona podczas sniadania butelke wody mineralnej. Przyssaly sie do niej jak cieleta i szybko oproznily calkowicie.

-Wariatki - skwitowal Pan Samochodzik.

-To jest kamień filozoficzny - zaprotestowała Kasia. - Zreszta sami zobaczycie.

Szczypcami wyjęła z miski klucz od mieszkania Szefa. Zmienił kolor. Był teraz złocisty, piękna głęboka barwa. Przypomnił mi się złoty pociąg pod górą Sobiesz i tysiące sztab złota w rdzewiejących wagonach...

Szef obejrzał go obojętnie i przyczepił do peczka.

-Ladne doświadczenie - powiedział.

Przyszły już do siebie. Na dole silnie cuchnęło, wyciąg nie był w stanie oczyścić piwniczki z wszystkich oparów eteru.

-Chodźmy na górę, bo głowy nas rozbola - poleciła Stasia.

Z ulgą wyszliśmy na powietrze. Łapałem dłuższą chwilę oddech.

-W czasie okupacji, gdy były problemy z wódką, ludzie tak właśnie się oszalamiali - powiedział Szef. - Szklanka herbaty, a do środka kilkanaście kropli eteru. Na pewno dobrze się czujecie?

-Zupełnie dobrze - powiedziała Kasia. - Nic nam nie będzie.

-Mimo wszystko chyba powinniście zwymiotować te paskudztwa -

poradziłem im życzliwie.

Stasia uśmiechnęła się.

-Wymiotowac eliksirem zycia? Chyba zwariowales. Bedziemy na dniach likwidowaly ten sklepik. Moze cos was interesuje?

Szef wzruszyl ramionami.

-Chyba nic szczegolnie...

Kasia pochylila sie nad gablotka i wyjela ze srodka dwa zlote zegarki firmy Patek. Oba ozdobione byly herbem Leliwa. Przypomnial mi sie wrak zegarka kupiony od Admana na Araracie. Mial sobie potracic z okupu, a tymczasem nie dostal za nas ani grosza. Zawstydzilem sie. Postanowilem wpalac sto dolarow na rzecz jakiej kurdyjskiej organizacji i choc w ten sposob uregulowac ten dlug.

-Wezcie na pamiatke - powiedziala. - Z tego co wiem, panu ten herb bedzie pasowal?

Szef usmiechnal sie z zazenowaniem.

-Moja rodzina od dawna nie uzywa tytulow, ani herbu - powiedzial. - Krew tez sie troche wymieszala. Kto dzis pamietala o pochodzeniu...

-My w kazdym razie nie zapominamy - usmiechnela sie Stasia. - Zegarki sa na chodzie i jeszcze przez cale dziesieciolecia beda wam sluzily.

Szef usmiechnal sie i schowal rece za siebie.

-To bylby dla nas zaszczyt, ale to zbyt drogi prezent - powiedzial.

-Wezcie - poprosila Kasia. - Moze kiedys bedziecie chcieli

powszpominac te noc alchemikow...

Wreszcie Szef z ociąganiem wyciągnął dłoń.

-Dziękuję - powiedział. - To bardzo ładny prezent.

Poszedłem w jego ślady. Pożegnaliśmy nasze uroczę przeciwniczki i zasiedliśmy w samochodzie. Kupione kilka dni temu krzesło Storma umieściłem na tylnym siedzeniu.

-Zdrzemnij się - poradził Szef. - A ja będę prowadził.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością i usadowiwszy się wygodnie na tylnym siedzeniu odpłynąłem w ramiona Morfeusza. Gdy otworzyłem oczy, mijaliśmy właśnie centrum handlowe w Jankach. Byliśmy więc na przedmieściach Warszawy.

-No, trochę odzywam - powiedziałem. - Noc była meczaca...
Postrzelone dziewczyny.

-Ale przydałyby nam się takie współpracownice - uśmiechnął się.
- Trzeba przyznać, że główki mają nie od parady. Księgi odszukały, rozszyfrowały całą zagadkę... Gdybym miał dwa wolne etaty w naszej komorce, to bez wahania... Zreszta nic trudnego. Odchodzi niedługo na emeryturę, ty pojedziesz na moje miejsce, a twoje się zwolni. Zatrudnisz Stasię, chyba jest starsza... Albo obie na pół etatu.

-Różnice wieku są niewielkie, trudno ocenić - uśmiechnąłem się.

-Nie wiem wprawdzie, jakie mają wykształcenie... ale nawet jeśli historia sztuki interesują się tylko amatorsko, to nie szkodzi.

Czasem

amator-hobbysta może znać daną epokę lepiej niż zawodowy historyk.

-Skoro miały własny antykwariacik, to musiały się choć trochę orientować w cenach, rynku i innych detalach.

-Mogły wynajmować kogoś do pomocy - powiedział. - Jakiegoś emerytowanego fachowca. No, nieważne. Niezłe sobie poradziły z tym starym alchemicznym przepisem...

-Liznęły trochę chemii - uśmiechnąłem się. - Ale mnie ta dziedzina wiedzy też nie jest obca.

-A więc co właściwe nam pokazały? - Szef był wyraźnie zaintrygowany. - Jakos pozłociły mój klucz...

-To bardzo proste - uśmiechnąłem się. - Byłbym w stanie powtórzyć ich doświadczenie. Faktycznie wygląda to trochę niesamowicie, ale łatwo da się wyjaśnić...

-Nie medrkuj, tylko mów konkretnie - huknął.

-A więc bierzemy trochę chlorku złotawego. Jest on ładnego czerwonego koloru.

-W reakcji nie brało udziału żadne ciało zawierające chlor - zauważył.

-Więc to był siarczan, albo coś bardziej prawdopodobnie azotan złotawy. Vitrol to prawdopodobnie kwas siarkowy, a Azoth

Medrcow - jak pan zauwazyl - kwas azotowy. Te dwa kwasy zmieszane w odpowiednich proporcjach tworza tak zwana wode krolewska - substancje rozpuszczajaca zloto. W ogromnej temperaturze i cisnieniu panujacych w jaju filozoficznym sole metali mogly skrystalizowac.

-A wiec mamy azotan albo siarczan zlota... I co dalej? Numer, ktory pokazywali Sedziwoj i Seton?

-Dokladnie tak. Nastepnie rozpuszczamy go w wodzie albo jeszcze lepiej w czystym eterze lekarskim.

-Hmm.

-Nastepnie wrzucamy do srodka metalowy przedmiot. Najlepiej przetrzec go wczesniej kwasem aby usunac z jego powierzchni tluszcze, tlenki i inne zanieczyszczenia. Tak jak zrobily to z panskim kluczem.

-Rozumiem. A potem na drodze elektrolizy, uzywajac klucza jako elektrody, doprowadzic do osiadania na nim drobinek zlota?

-Nie, Szefie. Po co tak sie meczyc. Wystarczy poczekac pietnascie minut az eter wywietrzeje. Azotan po rozpuszczeniu rozpada sie na jony, azot ulatuje wraz z eterem, a na powierzchni klucza osadza sie gruba na milimetr albo i lepiej warstewka metalicznego zlota i to proby 999.

-Czyli w ten sposob pozlocily mi klucz - usmiechnal sie. - Azotan zlota jest trujacy?

-Obawiam sie ze tak, ale mysle, ze raczej nic im sie nie stanie.

Dawka nie była duża. Raczej zaraz po naszym wyjściu szła je z nog eter. Parując w żołądkach...

-Przeżyja?...

-Oczywiście. W razie czego, gdyby zaobserwowały jakies niepokojące objawy, zadzwonia po pogotowie. Maja przecież telefon w antykwariacie i chyba co najmniej jeden komorkowy. Poradza sobie...

Zaparkowałem przed domem Szefa.

-Gdybys mógł mi pomóc jeszcze z tym krzesłem - poprosił.

-Jasne.

Wyciągnąłem z wozu krzesło Storma kupione w Krakowie.

Pan Samochodzik ujął walizkę, a ja mebel i wdrapaliśmy się na piętro. Włożył klucz w drzwi. Spróbował przekrecić.

-Zaciął się - westchnął.

-Pewnie pokryły go zbyt gruba warstwa - zauważyłem. - Weźmę pilniczek i zeszlifuje trochę.

-Czekaj, chyba poszło...

Z wysiłkiem zaczął przekreczać i nieoczekiwanie klucz się złamał.

-A niech to! - zaklął. - Uczyli cię w Czerwonych Beretach otwierac zamki wytrychami?

-Nie tylko wytrychami - powiedziałem wesolo. - Zaraz skocze do samochodu po narzędzia i sforsujemy te drzwi. Trzeba tylko spróbować wydłubać ten ulamany koniec...

Wyjąłem z kieszeni cienkie czałki i złapawszy za trzpień wyciągnąłem go z trudem.

-Pewnie był pecherzyk powietrza w odlewie i dlatego się złamał - powiedziałem i szukając potwierdzenia zbliżyłem go do oka.

Złoto pokrywało klucz tylko po wierzchu, dość cienka warstwa. Głębiej metal był srebrzysty, tak jak powinno być kiepskie gatunkowo żelazo...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-16

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/